

13
FERDYNAND ANTONI OSSENDOWSKI

MOCNI LUDZIE

POWIEŚĆ



KSIĄŻNICA-ATLAS * WROCŁAW-WARSZAWA



u. s. o. 35 / 1946 / 47

2396

Państwowe Zakłady Graficzne nr 2, Wrocław — 976 (F 0488)

ROZDZIAŁ I

T A J G A

Padł strzał... Padł jak grom z pogodnego nieba, nieoczekiwany, groźny, obcy i straszny w tym uroczysku, martwą ciszą otulonym i przytłoczonym.

A ten, kto spłoszył i stargał ciszę, bez szmeru wyszedł z gęstwiny niskich, pokrzywionych zarośli brzezin i począł się wspinać na śliskie, mchem i liszajami okryte zbocze pagórka. Niebieskie plamy czarnych jagód, czerwone — borówek, były w oczy tam i sam, gdzie bujna, sztywna, już żółknąć poczynająca trawa i liście paproci tworzyły małe polanki, odkryte dla promieni słońca, jak gdyby przygasłego już, nie tryskającego płynnym złotem żaru.

Człowiek stanął wreszcie na kopulastym szczycie wzgórza i odetchnął z ulgą. Czarne, skośne jego oczy — bystre i gorące, wbite w gąszcz i zwałiska gnijących, zbutwiałych pni i konarów świerków i modrzewi, błysnęły triumfem i radością. Na miękkim mchu, prawie tonąc w jego grubej okrywie, wsparty rogatą głową o pień drzewa, leżał łoś. Potężne, rozłożyste, ciemnobure łopaty, szeroki łeb i szczeciniasty kark świadczyły o podeszłym wieku zwierza.

Człowiek westchnął jeszcze raz i poruszył grubymi, ciemnymi wargami. Po chwili podniósł karabin. Z gruba ociosana kolba brzoza, długa lufa i ciężki kurek żelazny z kawalkiem krzemienia pod nim, mogły się stać bronią niebezpieczną wyłącznie w ręku wprawnego myśliwca.

On zaś w tej chwili przerzucił przez ramię jeszcze dymiącą strzelbę i usiadł na zwałonym przez burzę drzewie. Rozpiął na piersi losiową, obcisłą kurtkę, mocniej ściągnął przy kostkach także portki i lekkie chodaki, z pasków skóry splecione, a potem zdjął z głowy czepek, szeroką, prawie czarną dłonią ocierając spocone czoło i krótką, siwiejącą czuprynę.

Nie spoczywał długo, bo nie mógł.

Ciemna chmara komarów i bąków opadła go, cięła, brzęczała, wdzierając się do ust, oczu i uszu, chociaż twarz łowcy okryta była grubą warstwą smoly.

Nie to jednak przerwało spoczynek człowieka.

Coś innego zmusiło go do powstania z miejsca. Słońce bowiem nabrzmiewać poczęło szkarłatem i jak gdyby ociążało szybko staczało się ku zachodowi, za ścianę czarnego boru.

Myśliwy wprawnymi ruchy szybko oprawił zabitego losia. Zdarł z niego skórę, wyciął ozór, a potem, przerzuciwszy rzemień przez gałąź modrzewiu, w górę podciągnął zwierzę, aż zawisło ponad ziemią kołysząc się powolnie. Zrobiwszy nacięcie na korze drzewa wszedł znowu na pagórek i zmrużywszy oczy obejrzał się wokół. W wejrzeniu tym zaszklili się rzewność, rozgorzała i już nie przygasła, aż przeszła w przenikający całą istotę niemy zachwyty.

— Tajga, tajga! — szeptał ledwie poruszając wargami.

Istotnie, słowa te wymawiał w sercu dziewiczego boru, który ciągnął się nie wiedzieć skąd i odchodził nie wiadomo dokąd. Człowiek, stojący na kopulastym pagórku, wiedział tyle tylko, że przez ów las, poprzez tę tajgę jego rodzimą, opiekunkę i karmicielkę, biegły potężne, wartkie strugi żółtej Obi, prawie czarnej Keci, a przedzierając się przez chaszcze wpadały w nie liczne rzeki i potoki: Tym, Kolik-Egen, Caŋgilka-Wwy, Narymka, Połoj i Bezimienny Wwy, żłobiące swe łożyska w bagnach i trzęsawiskach torfowych, pełne ryb i nieznanych istot, co straszą po nocy, wciągają do wirów, dolów lub zapędzają nieprzytomnych z przerażenia wędrowców do ba-

porów, gdzie czai się bezdenne otchlań małych jezior — oczu „Szygi“, złego ducha tajgi.

Jak okiem sięgnąć, rozbiegła się, rozparła tajga od północy do południa, od zachodu aż do wschodniej połaci nieba.

Zielony ocean, a na nim, niby rozwichrzone grzywy fal, korony drzew ciemnych, niemal czarnych!

Ruszył człowiek, niosąc na barkach zwiniętą skórę losia, rozsuwając kolbą zbitą, zwikłaną sieć traw, chwastów, badyli i pierzasty gąszcz paproci.

Szedł i myślał.

Jakież to dziwne! Nazywa się Wotkul, urodził się w „czumie“, namiocie samojezdkiem, jest synem tajgi, a zna zaledwie mały jej szmat?... Bo któż by poznać zdołał cały jej ogrom bezkresny?

Nie znają go ani pobratymcy niżowi, ani nawet Ostiacy Kamienni!

Nikt nie odważy się zapuścić w mroczne ostepy kniei ciemnej, pełnej tajemniczych, przerażających odgłosów, pomruków, poszeptów, plusku potoków, ukrytych na dnie głębokich, ponurych rozlogów i loskotu padających olbrzymów leśnych, na co odkrzykuje z daleka czujne echo leśne.

A przecież nawet tu, nad Kecią i Połojcem, dzieją się rzeczy tajemne, rozumem Wotkula nie ogarnięte!

Któż to przebija ścieżki zwodnicze poprzez chaszczę?

Kto wytycza je aż do toni jezior leśnych, niemych, zaczajonych, bezdennych?

Kto tam jęczy, szlocha i nawołuje po nocach?

Kto szeleści suchymi liśćmi w południe i cicho, cicho puka w konary świerków uschniętych?

Kto wreszcie unosi się wieczorami ponad trawą, kto się wynurza z czarnych przepaści tajgi i rękami z mgieł i oparów lepkich macha, wabi, woła i mami?

Czyjeż to źrenice, krwawo-czerwone, gorejące, pochwytyją odbłysek plonącego ogniska?

Czyj to lot — chybki i miotający się — budzi ospałą ciszę?

Wotkuł wypuścił był pierwszą kulę w pierś niedźwiedzia „czaldona“ jeszcze w zaraniu swego życia, bo liczył wtedy za ledwie dwanaście wiosen. Przecinał potem tajgę od brzegu Obi aż hen, do trzęsawisk Wielkiej Basargi i źródeł Tary na zachodzie, a na wschodzie dobiegał był do brzegu modrego Jeniseju, pełnego rozszalałych wirów i kipiących porohów.

Zna swoją tajgę.

W jej sercu odnaléżć można ślady jego siekiery, zaciesiami znaczącej na pniach cedrów i modrzewi szlak zuchwałego myśliwca.

Wotkuł wie, bo jak gdyby widział to na własne oczy, że echo przynosi odgłosy ostrożnych, skradających się stąpań niedźwiedzia, gdy zwęszy on ślad losi i polarnych jeleni, lub gdy czając się podchodzi, aby spojrzeć na człowieka, wdzierającego się zuchwale w odwieczne uroczyska leśne.

Już nieraz łowiec słyszał ciche krzyki, przerażeniem i rozpaczą przepojone, i teraz wiedział, że wydawał je gluszec, gdy drapieżna kuna lub lasica wpijała mu się w gardziel; przekonał się też niejednokrotnie, że chrapliwe „ja-u“, „ja-u“ wyrzucana z głębi piersi głodny ryś, wychodzący na lowy; znał ponury bek rogaczy i groźny — byków losi i jeleni; rozróżniał tęskne nawoływania puchacza i jęki siwej sowy polarnej, ścigającej pstrokate lemingi i pasiaste „burunduki“. Poznał od dawna głosy wszystkich ptaków i zwierząt, w tajdze żyjących i walczących o byt, czy to w lecie, czy też w zimie, gdy pod grubą powłoką lodu znikają wartkie prądy rzek, a biały całun śniegu okrywa ziemię, domy i nawet samą tajgę.

Wszystko to poznał, pojął Wotkuł, łowiec samojedzki, a przecież kryła jeszcze przed nim tajemnic bez liku rodzima tajga! Nawet ta, którą przebiegał na rączym reniferze w lecie lub zimą na nartach przeciął nie raz i nie dwa; ilekroć bowiem dosięgał najdalszych kresów tajgi, zawsze czuł, że stoi dopiero w przedlesiu, gdy tymczasem zielony ocean przerzu-

cał swe fale za Tarę i Jenisej i znikał za dalekim horyzontem takż zielony, a jeszcze bardziej tajemniczy, bezgraniczny i potężny.

Tak myślał myśliwy, idąc szybko na zachód i nie spuszczać oczu z ledwie dostrzegalnej ścieżki, wijącej się wśród paproci na z lekka przydeptanym mchu.

Czuł miłość i lęk przed bezmiarem tajgi. Wierzył, że przed wiekami stała się ona siedzibą Numy — Wielkiego Ducha, o którym chętnie gwarzą staruchy po domach i do którego woła podczas igrzysk i modłów wiosennych szalony pustelnik — tajemniczy szaman.

Myślał też o tym, że gdyby jego pies — kudłaty szpic „Wyr“ — nie był pokłul sobie łap o kolce głogu, mógłby teraz podejść drugiego losia, którego Wotkuł był spłoszył strzałem.

Jednak uczucie lęku wobec ogromu tajgi i ukrytej w niej tajemnicy nie opuszczało go. Ostro słuch jego łapał każdy dźwięk, dochodzący z głębi kniei, a spotęgowany echem, biegnącym od pnia do pnia; rozdęte nozdrza Samojeđa pochwytywały zapachy żywicy, zgnilych roślin, grzybów, dojrzałej jarzębiny i cierpki aromat czeremchy, roniącej swe liście na puszysty, zimny i wilgotny mech.

Przez tę woń wieloraką przebijały się inne, ostre lub mdle, zwierzęce lub ptasie zapachy. Poznawał je w mig i w mig pochwytywał nowe.

Ni to dziki, wolny zwierz posługiwał się chętniej słuchem i węchem niż wzrokiem, toteż szedł szybko, prawie biegl, z głową opuszczoną i oczami, przykrytymi grubymi powiekami.

Czasami tylko poruszał głową i węszył głośno, a potem mrucał do siebie pod nosem:

— Tu zapalałem fajkę, tu strzeliłem do „sochatego“... He! Nieruchome powietrze tajgi przechowuje zapach tytoniu i zjadliwy dym prochu... Zwęszą je natychmiast niedźwiedź, ryś i jelen... Cha! Cha! Każde zwierzę ominie to miejsce... będzie się kryło z daleka czując mój ślad...

Tak rozważając doszedł do miejsca, gdzie do Keci wpadała brunatna struga Lagus-Wwy, małej rzeczki leśnej, w której, jak sobie natychmiast przypomniał, nie trzymała się ryba.

Odpedził dłonią rój komarów, uwijających się przed oczyma, i spojrział na słońce.

Ujrzał je już poprzez konary drzew.

Błyskało czerwienią pomiędzy pniami drzew i krwawilo iglice świerków zapadając po tamtej stronie Obi, za tajgą tarską.

Nagle drgnął, uniósł głowę wysoko i jał nasłuchiwać.

Długo nie mógł pojąć dobiegających go dźwięków, aż wreszcie zrozumiał — i nachmurzył czoło.

Posłyszał bowiem tupot trójki koni, szcęk podków, potrącających o kamienie, turkot kół i skrzypienie wozu. Ktoś śpiewał ponurym głosem smętną pieśń, ktoś inny coraz częściej pokrzykiwał głośno i gniewnie.

— „Urus“... „Urus“... — mruknął Wotkul i zmrużył oczy, w których się natychmiast zaczęła nienawiść.

Przypomniał sobie najazdy urzędników rosyjskich, przybywających po podatki. Obchodzili oni „czumy“ i chaty osiedla, wdzierali się wszędzie i wszędzie zaglądali, porywając drogie skóry soboli, popielic, lisów i gronostajów, bijąc wylekłych Samojedów, krzywdząc kobiety i klnąc ohydnie.

— Urus!... — mruknął raz jeszcze i, nie wychodząc na drogę, która biegła z południa, szybko ruszył ku osiedlu, aby uprzedzić rodaków o zbliżającym się niebezpieczeństwie. Zdążył na czas.

Ten i ów z Samojedów natychmiast porywał toboły i ukrywał je w chaszczach. Inny uciekał do tajgi uprawiając ze sobą rodzinę. Reszta z trwogą czekała nieproszonych i znienawidzonych gości.

Przybyli wreszcie.

Na mały placyk osiedla Narym, otoczony kilkoma chatkami i pięćdziesięciu czumami, zbudowanymi z drągów mo-

drzewiowych, okrytych skórą i korą, wjechał duży, ciężki wóz, w którym siedziało czworo ludzi.

Obok woźnicy tkwił urzędnik policyjny, wysoki, chudy, o steranej twarzy i bezbarwnych oczach. Płowe włosy, wąsy i broda jego były w nieładzie, twarz, dla ochrony przed bawkami wysmarowana dziegciem, wyrażała wielkie znużenie i wyczerpanie. Co chwila, krztusząc się od kaszlu, z jękiem chwytal się za pierś. Z tyłu, na siedzeniu, widniały dwie postacie, młody, nadmiernie barczysty i rozrosły mężczyzna o wesółym, beztroskim wyrazie oczu, uśmiechał się i podtrzymywał pod ramię kobietę o przybladłej, łagodnej twarzyczce i wielkich niebieskich oczach.

— Stój! — wrzasnął policjant i woźnica zdarł zmęczone konie. Młody człowiek zeskoczył z wózka i jął zdejmować kufry i worki, uwiązane z tyłu powozu.

Policjant oddalił się do domu wójta i wkrótce powrócił razem z nim. Był to stary, zżarty przez ospę Samojed, mówiący po rosyjsku.

— Sluchaj! — oznajmił mu policjant. — Dostawiłem do Narymu tego zesłańca. Jest on wrogiem naszego ubóstwianego cara, Polakiem, jednym z tych zbrodniarzy, którzy podnieśli oręż przeciwko naszej ojczyźnie. Za ten występny czyn został on skazany na osiedlenie w Narymie aż do śmierci. Przybyła tu z nim dobrowolnie jego żona... Masz śledzić, aby ten Polak nie zemknął stąd, bo inaczej!...

To rzekłszy podniósł pięść pod nos wójta i zaklął.

Wotkuł, stojący na uboczu, przyglądał się przybyszom i przysłuchiwał rozmowie policjanta ze starym wójtem.

W godzinę później zesłańcy zostali umieszczeni w chacie miejscowego kupca, Michała Rodionowa, który trudnił się też rybolówstwem na Obi i Keci, mając tam swe łodzie i niewody. W jego też domu ulokował się na noc urzędnik policyjny, gdyż nazajutrz miał odjechać do Tomska, skąd, jako z głównego miasta guberni, przywiózł był zesłańca i jego żonę.

Rodzina Rodionowa, urzędnik i Polacy zasiadli przy wspólnym stole do wieczerzy. Przed nimi buchał parą błyszczący samowar, stał półmisek ze smażoną rybą, kasza gryczana, obficie polana tłuszczem, i pierogi z rybą. Gospodarze milczeli, policjant posepnie pociągał gorącą herbatę i kaszłąc drapał pociętą przez baki szyję. Polacy nie odzywali się, z rzadka zamieniając pomiędzy sobą porozumiewawcze spojrzenia.

Pierwszy rozpoczął rozmowę Rodionow:

— Przepraszam pana urzędnika — rzekł — ale niezupełnie dokładnie zrozumiałem, o co chodzi? Mówiliście, że to zbrodniarz... Cóż to? Zabił kogoś, ograbił czy podpalił?

— Nie! — odparł zanosząc się od kaszlu policjant. — Jest to oficer polski... zesłany za bunt przeciwko carowi.

— Nie rozumiem jednak... — szepnął kupiec podnosząc ramiona i pytająco patrząc na zesłańca.

Ten spojrział na urzędnika i spytał:

— Czy mogę objaśnić gospodarzy, panie urzędniku?

Ten wciąż kaszłąc skinął głową.

Młody zesłaniec rozpoczął swe opowiadanie:

— Jestem Polakiem, nazywam się Władysław Lis. Byłem ulubionym przez cesarza trębaczem. Grałem w pałacu carskim... Nie wiedziałem wtedy, że jestem Polakiem, bo byłem sierotą i wychowywano mnie w korpusie kadetów. Pewna panienka, ot ta, która jest teraz moją żoną, wyjaśniła mi wszystko. A gdy Polska, którą nieprawnie rozdarły i podzieliły między siebie Rosja, Austria i Niemcy, chciała uzyskać wolność, zupełnie tak, jak Rosja niegdyś usiłowała wyrwać się z niewoli tatarskiej, wstąpiłem do polskich wojsk, biłem się, zostałem ranny, a rannego schwytano mnie, sądzono i — zesłano tu... do was.

Policjant milczał i jak gdyby nie słuchał, zajęty rybą, leżącą przed nim na talerzu.

Zona Rodionowa spoglądała wokół zdumionym wzrokiem i wreszcie spytała:

— Gdzież tu zbrodnia? Za cóż taka ciężka kara?

— Mój mąż odznaczył się jako bohater! — wtrąciła z dumą żona zesłańca.

— Bohaterów przysyłać na Syberię, jak pospolitych złoczyńców, tego jeszcze nie bywało! — zauważył Rodionow z obawą patrząc na urzędnika.

Ten potoczył dokoła ponurym wzrokiem i odparł suchym głosem:

— Taki rozkaz przyszedł ze stolicy... Nie nasza w tym głowa...

— No, pewno, że tak! — zgodził się kupiec. — Przepraszamy za skromną kolację, pokoje są już przygotowane. Czas udać się na spoczynek! Z Bogiem!

W domu Rodionowa wkrótce zgasły lojowe świece i cisza zapanowała w małych izdebkach dalekiej i nędznej siedziby ludzkiej nad brzegiem północnej rzeki.

Psy, spuszczone z łańcucha, poszczekiwały odpowiadając na odgłosy, dopływające z tajgi. Całe osiedle, zdawało się, było pogrążone we śnie.

Tylko w chacie wójta, starego, dziobatego Pyragi, przy tlejącym ognisku siedział sam gospodarz, a przed nim łowiec Wotkuł.

— „Urus“ mówił mi — szeptał wójt — że ten człowiek nie jest „urusem“ i że został skazany za to, że bronil swego kraju przed „urusami“.

— Dobry, snadź, i sprawiedliwy człowiek — mruknął Wotkuł.

— Kazał mi go strzec, aby nie uciekł z Narymu — ciągnął dalej Pyraga.

— Jak kazał, tak też i uczynisz, bo inaczej całe osiedle będzie cierpiało od „urusów“ — odezwał się łowiec.

— Dobrze mówisz! — pochwalil wójt.

Wotkul wstał, obciągnął na sobie bluzę i nacisnął głębiej skórzany czepek. Skierował się już był do drzwi, aż nagle przystanął i rzucił w przestrzeń:

— Ten przybysz — sprawiedliwy człowiek, bo „urusów“ nie lubi...

— Trzymaj język za zębami, młody! — ofuknął go wójt.

Myśliwy wzruszył ramionami i pochyliwszy głowę wyszedł z izby. Za ścianą ubogiej chaty ujadać jęły psy zwęszywszy obcego człowieka.

— Oj, harr! — krzyknął wójt.

Psy natychmiast umilkły. Nic już nie mąciło ciszy, napływającej od czarnej ściany tajgi. Czasem tylko głośniej pluśnięła ryba w rzece lub jakiś głos nieznaną dobiegł z kniei.

Narym spał.

ROZDZIAŁ II

W Y G N A Ń C Y

Krótką jesień syberyjską miała się ku końcowi. Zresztą w roku 1833 nikt w całej Syberii nie uskarżał się na lato i jesień. Lato bowiem wypadło wyjątkowo pogodne i skwarne, a jesień ciągnęła się aż do połowy października. Na drobnych zagonach obrodziło żyto, na grzędach — kapusta, groch i marchew, na łąkach stanęły wysokie stogi siana, ciesząc wzrok gospodarzy, posiadających konie i bydło domowe.

W małym, liczącym wtedy zaledwie trzystu mieszkańców Narymie mówiono dużo, a jeszcze bardziej przyglądano się temu, co robi niespodziewanie przysłany do miasteczka zesłaniec polski.

Tęgi to lud — Sybiracy, wytrzymały i mocny, a jednak nawet oni nie mogli wyjść z podziwu patrząc na pracę Polaka.

Zesłaniec dostał podług prawa w przydziale szmat ziemi

na wyjeździe z osiedla, tuż przy drodze, prowadzącej z Tom-ska.

Tymczasowo mieszkał wraz z żoną u Rodionowa, a pomiędzy rodziną kupca a wygnańcami polskimi od pierwszego wejścia nawiązał się przyjazny stosunek.

Rodionow po odjeździe urzędnika policyjnego zaprosił zesłańca do sklepu i pozostawszy z nim w cztery oczy wypytał go o wszystko.

Wkrótce dowiedział się też całej prawdy i z szacunkiem przyglądał się barczystemu, zawsze spokojnemu i pogodnemu Polakowi.

Wzruszonym głosem opowiadał potem Rodionow swej żonie, jak to ich lokator, porucznik ułanów polskich, Władysław Lis, był niegdyś wyróżniony przez cara Mikołaja za piękną grę na trąbce i niezwykłą siłę; jak poznał się był na balu dworskim ze swoją obecną żoną, krewniaczką księżny Łowickiej, małżonki zmarłego wielkiego księcia Konstantego, jak owa panienka oświeciła go i na inne pchnęła drogi. Z zachwytem wspominał syberyjski kupiec o czynach Lisa pod Stoczkiem, na polu grochowskim, a potem na Litwie. Na Syberii nikt o zmaganiu się Polaków z cesarzem nie wiedział dokładnie, a że Sybiracy nienawidzili Rosjan — ciemiężców i łapowników jednocześnie, marząc o niezawisłej Syberii, więc ich serca skłaniały się na stronę Polaków, broniących własnej ojczyzny i wolności.

Opasła, chora na nogi małżonka kupca rozplakała się słuchając opowieści o tym, jak narzeczona Polaka, szlachetna, ze znakomitego rodu panna, szukała po świecie zaginionego młodzieńca, odnalazła go zakutego w kajdany na etapie ural-skim i razem z nim przechodziła teraz drogę krzyżową, męceńską.

Władysław Lis, otrzymawszy kawał ziemi, nie zwlekając przystąpił do budowy własnego domu.

Nie tylko nieliczni Rosjanie, mieszkający w Narymie, lecz i Samojedzi nie mogli się nadziwić.

Młody Polak, posługując się wyłącznie piłą i siekierą, walił w tajdze co najtętsze modrzewie, przerabiał je z niezwykłą szybkością na belki i wynajawszy dwu Samojedów z końmi wywoził z lasu budulec, a w tydzień potem przystępował już do stawiania chaty.

Z tym szło oporniej i wolniej, gdyż poza starannością i siłą mięśni praca ta wymagała wiedzy fachowej, której zesłaniec nie posiadał. Jednak nie upadał na duchu przed piętrzącymi się trudnościami; pilnie wymierzał, heblował, wcinał wręby, wiązał strop, dopasowywał belki. Od czasu do czasu tylko, gdy nikt nie widział, z niepokojem spoglądał na niebo. Stawało się ono coraz bardziej szare, a ciężkie chmury zasłaniały je uprzedzając, że poza nimi sunie od północy wichery syberyjski, niosący ze sobą śnieżne zamiecie i mróz trzaskający. Musiał zbudować dom przed nadejściem zimy, więc pracował jak wściekły. Zbrakło mu jednak paru belek. Wziąwszy od Samojedów konie ruszył do tajgi. Wybrał potrzebne mu drzewa i jął podpiłowywać.

Gdy zwałił jedno, wyprostował się i otarł czoło.

Wtem doszedł go daleki krzyk, trwożny i błagalny, a po nim groźny ryk, krótki, urwany. Lis nadsluchiwał przez chwilę. Krzyk powtórzył się raz jeszcze, już bliżej, a wnet po nim chrapliwy ryk i wyraźny trzask tratowanych krzaków.

— Na po — moc! na po — moc! — niosło echo, zamierające w oddali.

Nie namyślając się długo Lis porwał siekierę i popędził w kierunku krzyku. Posłyszał strzał, nowy ryk i jeszcze żałośniejsze wołanie o pomoc.

Zesłaniec dotarł wreszcie do obszernej polany i stanawszy w krzakach nadsluchiwał.

— Ktoś biegnie w moją stronę... — pomyślał słysząc zbli-

zający się z chwilą każdą wyraźniejszy trzask i łomot gałęzi, tupot nóg i chrapliwe poryki.

Przebiegl polaną i zaczął się w krzakach zaciskając w ręku siekiere.

Wkrótce z gąszczu wypadł jakiś chłopak, bez czapki, w podartym ubraniu, wyjący z przerażenia. Pędził jak szalony, nie oglądając się i nie przed sobą nie widząc. O kilkanaście kroków za nim, do czarnego, toczącego się kamienia podobny, biegł duży niedźwiedź brunatny. Małe ślepie błyskały mu wściekle, szczyrzył straszliwe kły i jeżył sierść na karku. Przebiegłszy kilka kroków zwierz stanął na tylnych łapach, gotowy do napadu, lecz po chwili przekonawszy się, że ofiara odbiegła daleko, pomknął znów za nią.

Lis od razu zrozumiał zamiary niedźwiedzia.

Bury drapieżnik chciał przeciąć drogę uciekającemu chłopakowi, zapędzając go na bagnisko, porośle sitowiem.

Szybko i cicho przedarłszy się przez krzaki Lis stanął na ich skraju i podniósł siekiere w potężnym zamachu.

Nie pomylił się.

Kosmaty napastnik biegł szybko w jego stronę, a gdy na chwilę zatrzymał się i przystanął, aby obejrzeć okolicę, Lis spuścił mu na czaszkę ostrze siekiery odwalając leb i wbijając stal w ramię niedźwiedzia.

Zwierz runął bez życia, a Lis jął wolać na uciekającego. Nic już nie słysząc, nieprzytomny z przerażenia chłopak, gnał jak wicher, aż zniknął wkrótce w tajdze.

Zakończywszy robotę Polak umocował belki na osi o dwóch kołach i poganiając drobnego, kosmatego, lecz bardzo silnego konika, wyciągnął drzewo z lasu. Wyjechawszy na drogę ruszył w stronę osady.

Zastał tam wielkie poruszenie.

Ludność osiedla otaczała chłopaka, który drżącym głosem opowiadał, że napadł go znienacka niedźwiedź i gonił

przez tajgę. W tym momencie nadszedł Lis. Przyjrzał się blademu chłopakowi i zawołał radośnie:

— Sieńka! to ty byleś?!

Poznał bowiem syna kupca Rodionowa, czternastoletniego Szymona, którego polubił za cichy, łagodny wyraz oczu i śpiewną mowę.

— Nie bój się! — dodał ze śmiechem. — Już ten „czatdon“ ciebie nigdy nie dogoni! Ubiłem go siekierą... Idź teraz i zabierz mu kożuch na pamiątkę przygody!

Poklepał chłopca po ramieniu i poszedł do pracy, po drodze opowiadając żonie o wypadku w kniei.

— Bardzo jestem rad, Julianko, że mogłem się odwdziżyć tym dobrym ludziom za ich przyjaźń dla nas! — zakończył Lis swe opowiadanie.

— Chwała Bogu, żeś był w lesie, inaczej z pewnością na rodzinę naszych przyjaciół spadłby ciężki cios! — zawołała żona zesłańca.

Znowu zastukała siekiera wcinając się w świeże, smolne drzewo, leciały drzazgi, zgrzytała piła i syczał hebel wyrzucając długie, skręcające się wióry.

Dopiero gdy mrok zapadł, powrócił zesłaniec do domu. Zastanowiły go na chwilę skupione, poważne twarze Rodionowych, zapłakane oczy żony i matki kupca i radosne błyski w oczach Sieńki i jego młodszej siostry, czarnowłosej Duni.

Obmywszy się i przebrawszy po pracy, wraz z Julianną poszedł na wspólną wieczerzę, jak to się odbywało codziennie.

Cała rodzina Rodionowych była już przy stole.

Gdy weszli Polacy, wszyscy się podnieśli, a sam Rodionow głosem pełnym przejęcia i wzruszenia zwrócił się do Lisa z tymi słowy:

— Uratowałeś nam jedyne go syna! Nie możemy wyrazić ci, bracie, wdzięczności naszej inaczej, jak tylko czynami, bo język ludzki słaby jest i zdradliwy. Teraz wiedz, że możesz

liczyć na nas w każdej potrzebie, jak na najbliższą rodzinę!

Tyle zaledwie powiedział Michał Rodionow, kupiec i rybak narymski.

Lisowie dziękowali wszystkim i wyrażali radość, że mogli odwdziżyć się za ich dobroć i przyjaźń, bo na obczyźnie brak jej bodaj najdotkliwiej odczuwali.

Na tym cała ceremonia się zakończyła.

Przy wieczerzy już nikt ani słowem o przygodzie Sieńki, ani czynie Władysława Lisa nie wspomniał.

Jednak szczęśliwe i zagadkowe spojrzenia, rzucane przez Rodionowych, zwróciły na siebie uwagę Polaków. Nie wiedzieli jeszcze, czym mają to sobie objaśnić.

Władysław Lis po wieczerzy i modlitwie już układał się do snu, gdy uszu jego doszły jakieś głośnie rozmowy przed domem, skrzywienie kół i gwar znacznego tłumu ludzi. Ponieważ wszystkie te odgłosy wkrótce się oddaliły i umilkły, usnął spokojnie.

Rano, tuż o świcie, zabrawszy narzędzia pobiegł do roboty.

Jakież było jego zdumienie, gdy ujrzał całą gromadę Samojedów, którzy pod przewodnictwem Rodionowa uwijali się wokół nie dokończonej chaty.

Cztery duże ogniska, palące się przy domu, nie zdążyły jeszcze wygasnąć.

Zesłaniec wydał okrzyk radości. Budowa chaty przez noc znacznie posunęła się naprzód. Ciesle pokrywali już dach deskami i nabijali białe gonty. Stolarze dopasowywali framugi w oknach i w drzwiach, inni strugali deski na stoły, szafy, łóżka i stolki.

Do stojącego w osłupieniu Lisa zbliżył się Michał Rodionow.

— Gdym opowiedział Samojedom o uratowaniu przez ciebie syna mego, nazwali cię sprawiedliwym człowiekiem.

Zyję z Samojedami po dobremu, bo nie myślę, że Rosjanin jest lepszy od tuziemca, nie chelpię się swoim pochodzeniem i nie krzywdzę nikogo. Samojedzi postanowili wspólnymi siłami dopomóc ci, bo sam nie zdążyłbyś ukończyć budowy przed zimą. Patrz! Dzisiaj nad ranem szron okrył już ziemię. Radbym was mieć u siebie na zawsze, lecz wiem, że we własnym kęacie człowiekowi zawsze raźniej i przyjemniej; no, to i ja do roboty stanąłem i Sieńka tuż przy mnie!

— Dziękuję wam... dziękuję!... — wybelkotał wzruszony zesłaniec. — Niech wam Bóg wynagrodzi...

— Co tam rozprawiać o wdzięczności! — machnął ręką kupiec. — Cóż bym ja miał wam rzec za poratowanie syna?! Stawajcie do roboty i tyle! Myślę, że za trzy dni chata stanie jak żywa, cha, cha, cha! Już posłałem po cegłę do Arguna, naładuje ją mój przyjaciel Osipow i ze swoim zdunem na „pauzku“ spuści z biegiem Obi, to i piece wnet staną...

Stało się istotnie tak, jak obliczał Rodionow.

Samojedzi i Rosjanie pracowali w dzień i w nocy nie żalując rąk i wysiłku. W ciągu tygodnia stanął niewielki domek, o jednej dużej i dwu małych izbach, z obszerną kuchnią, gdzie się piętrzył potworny, ale za to ciepły piec rosyjski. Nawet drzwi i ramy okien zdołano pomalować niebieską farbą i wstawić przezrocyste, cienkie szyby z miki. Wszystkie szpary pomiędzy belkami i framugami szczelnie zatkaano mchem, jelenią sierścią i pakułami, ustawiono łóżka, stoły, szafy i inny sprzęt domowy.

W ten to sposób powstała siedziba Władysława Lisa i jego żony, Julianny z Truszkowskich, co to byli spokrewnieni z Joanną Grudzińską, księżną Łowicką, małżonką cesarzewicza Konstantego. Wchodząc do swego domu, pełni wdzięczności dla ludzi, ufności i miłości wzajemnej, nie pamiętali, może nie chcieli pamiętać, że nowa siedziba prastarego rodu Lisów założona została nie nad brzegami rodzimej Bzury, lecz na wygnaniu — nad Obiā, potężną rzeką syberyjską.

Przypomnieli sobie o tym później, gdy siedząc we dwoje w milczeniu patrzyli na dogorywające smolne luczywo, palące się w piecu. Wtedy to Władysław podniósł nagle głowę i zawołał:

— Słysz, Julianko, co za dziwny traf?! Pamiętam, jakbym wczoraj dopiero słyszał o tym, jak ciotka Romerowa rozpowiadała o dawnych przewagach i splendorach Lisów! Ona to wspomniała wtedy, że niejaki Marcin Lis, sławny zagończyk pułkownika Aleksandra Lisowskiego, zapędził się był aż hen, pod Berezów, i brzegiem Obi szedł, aż po bitwie, ciężko postrzelony, uchodzić musiał za Ural. No, widzisz, serce moje, że poszedłem w jego ślady...

Uśmiechnął się smutnie i zakończył:

— Postrzelon ciężko pod Grochowem i w lasku Oltarzewskim uchodzić musiałem za tenże Ural i życie pędzić nad Obi...

Westchnęli oboje i wzięwszy się za ręce milczeli.

Chociaż byli na obczyźnie, chociaż dusze ich rwały się do ojczystego kraju, wygnanie znosili z łatwością; otaczała ich bowiem szczerą życzliwość i współczucie prostych, uczciwych mieszkańców małej miejsciny, jaką był Narym, gdzie w owe czasy zaledwie jeden raz do roku przybywali urzędnicy, aby sądzić poważniejszych, ściągać podatki i krzywdzić spokojną ludność, wymuszając łapówki i przeróżne nieprawne pobory.

Pierwszego listopada spadł śnieg; mróz ściał go na kamień; słońce, coraz niżej podnoszące się nad horyzontem, roziskrzyło go milionami błysków i ogników, zielonych, czerwonych i niebieskich. Przyszła zima syberyjska, na ogół pogodna, choć mroźna; czasami tylko zawył wichur, zionął zamiecią, targnął szybami, zakolatał do drzwi i usiłował zerwać poszycie dachu.

W chacie zesłańców ciągle przewijali się sąsiedzi.

Polacy widząc, że w miasteczku nie ma szkoły, zaczęli

uczyć dzieci; szczególnie trudnił się tym Władysław Lis, władający dobrze rosyjską mową.

Pani Julianna miała natomiast inne zajęcia: uczyła młode dziewczęta kroju, szycia i haftowania, a co najwięcej przywiązywało do niej serca ludzkie, leczyła i doglądała chorych.

Miała ze sobą poradniki lekarskie, a jej wuj, doktor Gałęzowski, przysłał do Narymu sporą paczkę nowych ksiązek francuskich i niemieckich, pouczających, jak leczyć należy różne dolegliwości ludzkie.

Rozejrzawszy się dobrze podczas przejazdów z miasta do miasta, zrozumieli oboje, że olbrzymi Sybir pozostaje bez pomocy lekarskiej, więc prosili rodziców, dawnych znajomych i przyjaciół w Polsce, aby przysyłali im skuteczne lekarstwa, mikstury, dekokty, maści i zioła. Sypnęły się więc posyłki i wkrótce uzbierała się spora apteczka, ustawiona w wielkim porządku.

Przychodzili do domku Lisów, a nawet przyjeżdżali z dalekich osiedli i koczowisk Samojedzi, Ostiacy, rosyjscy kupcy i przemysłowcy po poradę i leki.

Byli to chorzy przeważnie na febrę, zwykłą w błotnistych miejscowościach, reumatyzm, szkorbut, choroby skórne, trapiące koczowników, pędzących nędzne życie w brudnych czumach i chatach, a także zapalenie oczu, szeroko rozpowszechnioną dolegliwość, spowodowaną ciągłym dymem ogniska i płonącego w izbach łuczywa, którym oświetlano domy. Z tymi właśnie chorobami najskuteczniej porała się pani Julianna Lisowa.

Koczownicy, rybacy i łowcy klaniali się jej nisko i płacili, kto czym mógł, a więc ogromnymi jesiotrami, kawio-rem, skórkami kun, wydr i soboli, Rosjanie pozostawiali pień-ki lub obdarowywali tkaninami, sprowadzanymi z Moskwy, domowymi statkami, cukrem, herbata, mąką pszenną, w owych czasach na Syberii prawie nieznaną.

Niczego więc nie brakowało w domu wygnańców, a gdy wychodzili na ulicę, ludzie uśmiechali się do nich radośnie i życzliwie, zbliżali się z serdecznym pozdrowieniem potrząsając im ręce przyjaźnie.

Do szkółki Lisa uczęszczało około pięćdziesięcioro dzieci, które robiły szybkie postępy, z czego cieszyli się najczęściej Samojedzi. Niepiśmienni i nieczyteln tubylcy stawali się ofiarami niesumiennych urzędników. Pokazywali oni bowiem Samojedom różne papiery, nieraz szmatę starego dziennika, i na mocy nie istniejącego rozkazu władz żądali nowych podatków i różnych wysokich opłat, pobieranych bezprawnie.

Teraz, mając w domu dzieci, umiejące czytać po rosyjsku, mogli się już bronić przed zuchwałym i zbrodniczym wyzyskiem urzędników, policji i sędziów.

Pierwsze, nieznanne tu ziarna cywilizacji rzuciły dłonie polskich zesłańców, pokutujących w Sybirze za to, że pragnęli wolności dla swego kraju i narodu, umiłowanego całym sercem, czystym, bohaterskim i ofiarnym.

ROZDZIAŁ III

NOWY PRZYJACIEL

Gdy się zima syberyjska ustali, to już panoszy się i wścieka przez całe sześć miesięcy.

Tak też było i w opisanym roku. Po kilku dniach, w których gęsty, biały szron okrywał ziemię aż do południa, przyproszał tajgę i dachy domów, nadeszły ciężkie chmury, sygnęły śniegiem i znikły, spędzone nagle porywami północno-wschodniego wiatru.

Gruba warstwa śniegu natychmiast stężała na kamień, rozbłysła barwnymi ognikami kryształków lodu; białe esy-floresy wykwitły na szybach z miki, a wokół szpar w oknach narosły wewnątrz izb puszyste naloty białej sady i sople lodu. Pod nogami przechodniów skrzypiał śnieg, który przytłaczał

ulice nędznego miasteczka; słońce nabrało czerwonych blasków, wschodziło późno i znikало raptownie w gęstych mgłach, unoszących się nad rzeką.

Lasy, otaczające osiedle i dochodzące do brzegów Obi i Keci, stały się zupełnie czarne i niedostępne. Broniły ich bowiem przed ludźmi wysokie, sypkie wydmy śnieżne, z dniem każdym rosnące wzwyż, bo gęste zarośla krzaków podszytu tamowały im drogę do głębin tajgi.

Po skwarnym lecie wypadła zima ostra, niebywale surowa. W tydzień po pierwszej śnieżycy uderzyły mrozy, a tak siarczyste, że „dymić“ natychmiast zaczęły rzeki, popłynęły po nich białawe, mętne plamy, stwardniały na krę i zatamowały sobą wart od brzegu do brzegu.

Nie mogła Ob zwalczyć tej przegrody, podniosła ją tylko, zsunęła ku niskiemu brzegowi i — wylała, zatapiając łąki na lewym brzegu i nizinne miejsca aż do Narymu.

Próżna jednak była walka rzeki-olbrzymia z zimą-władczynią północy!

Mróz, niebywały o tej porze roku, w mig skul wartki prąd i unicestwił jego szalone wysiłki. Stały rzeki, okryły się lodem, a zamieć zrzuciła nań stopy śniegu iglastego, dzwoniącego jak szkło. Przepastne trzęsawiska, bagna, niezliczone „oczy“ jezior, skryte w uroczyskach leśnych, wszystko znikło pod lodem i śniegiem. Zwarzone mchy, gąszcz paproci, kępki porośle wrzosem i jagodą leśną, legły pokotem, a wicher nasypał na nie białe kopce.

Ludzie wychodzili z domów otuleni aż po same oczy. Kozuchy, futrzane portki, wojskowe buty — „pimy“ albo „kisy“, kosmate czapy jelenie z uszami, zwykle tu „małachaje“ okrywały ciała mieszkańców, którzy zaledwie przez trzy miesiące zaznawali pieszczoły słońca.

Ostrożny, nieufny i przezorny Sybirak już w końcu września przygotowany był na spotkanie zimy. Przy domach, w kłociach złożył zapas drzewa i lucywa do opalu i oświet-

lenia, w spiżarniach ryby solone i wędzone, mrożone mięso, mąkę, sól, masło, słoninę, kiszone ogórki i kapustę, suszone jagody — oblepichę, maroszkę, malinę, żurawinę, borówki i drobne kwaśne jabłka — dziczki. Kobiety nawarzyły konfitur z porzeczek, czarnych jagód, poziomek, jarzębiny i głógów, napełniły duże butle nalewkami na jagodach i ziołach wonnych, nasuszyły i nasoliły grzybów-borowików, rydzów, lisek i śliskich, smakowitych „gruździ“, porobiły zapasy cebuli, marchwi, pietruszki, kopru i dzikiego anyżu.

Na podwórkach stały sterty słomy i siana, w śpichrzach skrzynie — „zakromy“ z żytem, jęczmieniem i owsem.

Sybiracy starannie zaopatrzyli się na długą zimę północną. Tylko w nowym domku Lisów nie było prawie żadnych zapasów. Żona zesłańca zdążyła jeszcze ubierać trochę grzybów i jagód, a Lis, pożyczwszy od Rodionowa „kotce“ — sznury ze zwisającymi hakami z przynętą, tuż przed nadejściem zimy spędził kilka dni na Obi chwytając ryby. Nie były to nadzwyczajne okazy, w które obfitują rzeki syberyjskie; złapał jednak sporo dużych szczupaków, okoni, „szczokurów“ i „pyżjanów“, należących do rodziny sig, a nawet zdobył kilka najlepszych i najdroższych tu ryb „nelm“.

Zresztą tak się stało, że zesłańcy nie potrzebowali zbytnio się troszczyć o zapasy. Wdzięczni mieszkańcy Narymu dostarczyli wszystkiego, czego było potrzeba zesłańcom, bo ci chętnie szli im z pomocą i pociechą.

Pani Julianna Lisowa, dowiedziawszy się o nagłej chorobie wójta, starego, dziobatego Samoje da Pyragi, przysłała do niego i zbadła go. Miał opuchnięte stawy i gorączkował. Młoda kobieta przyrządziła dla niego maść, nauczyła, jak należy nacierać i obwiązywać chore miejsca, i dała do picia jakieś gorzkie, piekące ziółka. Starzec wkrótce poczuł się znacznie lepiej, przyszedł podziękować lekarce, przynosząc w darze nowe buciki futrzane, piękną „dachę“ z kołnierzem z wydry i takiż kołpaczek, ozdobiony wyszyciem z paciorków.

Ciągle teraz ktoś wpadał do Lisów. Były to najczęściej sąsiadki, które Julianna leczyła, pomagała im uszyć to i owo, uczyła nieznanych tu, ślicznych robótek ręcznych, doradzała w gospodarstwie. Te za to znosiły do chaty Lisów różne zapasy i potrzebne w domu przedmioty.

— Jak tak dalej pójdzie, — śmiała się Polka, — to z waszych śpiżarni wszystko przeniesiecie do naszej, a cóż dla was pozostanie?

Odpowiadały z wesołym uśmiechem, iż starczy dla wszystkich, gdyż Sybiraczka, jak wiewiórka, wie dokładnie, ile potrzeba robić zapasów do czasów „wonz”.

— Co to jest „wonz”? — pytała Julianna.

— Jest to ta pora, w której po spłynięciu lodu rzeki przepelnione są rybami, sunącymi w górę, przeciwko prądowi, aby złożyć tam ikrę. Wtedy to wyrasta już świeża trawa, bydło się najada do syta i daje dużo mleka. Dobre nastają czasy! — mówiły z zachwytem mieszkanki Narymu.

W ciągu pierwszych dwu zimowych miesięcy Władysław Lis oddał się całkowicie szkole. Uczył dzieci sztuki czytania i pisania, przy czym i dorośli, niepiśmienni mieszkańcy miasteczka przychodzili do niego ukradkiem przed żonami i dziećmi, aby posiąść tajemnicę wszelkiej wiedzy — alfabet.

Wieczorami zesłaniec zapraszał do siebie sąsiadów z rodzinami. Siadali przy piecu, w którym potrzaskiwały gałęzie modrzewiowe, tryskające czerwonymi iskrami. Mężczyźni plekli sieci, sporządzali narty, naprawiali futrzane pończochy łowieckie, a kobiety szyły lub pod kierownictwem Julianny haftowały. Pan Władysław, siedząc przy ścianie albo chodząc po izbie, przypominał sobie, czego się uczył z geografii w korpusie kadetów oraz to, co słyszał od podróżujących za granicą krewnych żony, i opowiadał o dalekich i nieznanych tym ludziom cudzoziemskich krajach, o życiu różnych narodów, o ich wiedzy i wielkim szlachetnym wysiłku woli, umysłu i serca.

Najczęściej jednak przechodził do historii, którą ze wszystkich nauk lubił zawsze najwięcej. Mówił wtedy o usilowaniach ludzi, aby ustalić ład i sprawiedliwość na ziemi, o wielkich, świetlanych hasłach wolności, równości i braterstwa, o sławnych wynalazcach, podróżnikach, uczonych i prawodawcach, dowodząc, że ci skromni, usposobieni pokojowo ludzie stokroć więcej zaważyli na szali szczęścia ludzkości, niż osławieni najeźdźcy, zaborcy, zwycięscy wodzowie i przelewający potoki krwi bohaterowie.

Lis z zapalem mówił o wielkiej rewolucji francuskiej, o której czytał w Warszawie w pięknej książce, pożyczonej mu przez posła na sejm, pana Nakwaskiego; opowiadał o tym, że Francja rzuciła siew, który nie zginie, a jest nim wolność sumienia i wniosłe prawa człowieka i obywatela. Dowodził z płomieniem w oczach, że chociaż krwawa to była rewolucja i w obłędnym strachu trzymała Francję, to jednak dokonała przewrotu w przekonaniach ludzkości i bezwiednie może utrowała nowe drogi dla nauki Chrystusa, o której świat coraz bardziej zapominał i w życiu ludzi i państw nie stosował.

Po jednej z takich pogadanek, Rodionow odprowadził na stronę Lisa i szepnął mu:

— Bój się Boga, bracie! Cóż ty opowiadasz? Mówisz akurat to samo, co głosili Rylejew, Pestel, Trubieckoj i Wołkonskij... i ci wszyscy, którzy należeli do jakiegoś tam tajnego stowarzyszenia, tego, co to policja nazywa teraz buntowniczą bandą „dekabrystów“!

— Rylejew, Pestel!... — szepnął Lis, przypominając sobie rewizje i dochodzenia w korpucie, gdy znaleziono tam pewnego razu życiorysy tych wrogów samowładnych carów.

— A widzisz? — ciągnął dalej kupiec. — Jedni z nich poszli na szubienicę, drudzy gniją po kopalniach syberyjskich... Nie daj Boże, dowiedzą się o twoich słowach władze, zgnijesz i ty w Nerczyńskiej katordze, a i nam skórę wygarbują ci łapownicy!... Strzeż się, bracie!

Lis westchnął głęboko i odparł:

— Mówię to, co czuję i w co wierzę! Nie ma życia bez wolności, Michale Szymonowiczu, zapamiętaj to sobie! Dopóki pozwalacie, aby marni, występni urzędnicy jeździli na was, jak na oswojonych reniferach, będziecie żyli jak ludzie bezbronni i ślepi. Tylko wolny, prawdziwie wolny naród może osiągnąć szczęście na ziemi!...

Rodionow skrzywił twarz figlarnie i szeptać zaczął dusząc się od śmiechu:

— Powiadasz — wolny naród? Cha! Cha! A czy ty wiesz, bracie, że u nas za słowo „wolny“ wrzucają do więzienia?! Opowiadał mi o tym syn sąsiada popa, seminarzystą z Kazania, uczony młodzieniec... Cha! Cha! Cha!... Jakiś człek napisał książkę kucharską, a w niej między innymi stało: „Pie-rogi z grzybami należy piec na wolnym ogniu“. Czy ty wiesz, co z tego wynikło?! Biedaka zesłano na osiedlenie, aby zapomniał o „wolnym“ ogniu! Czy rozumiesz?

Polak wzruszył ramionami i odparł:

— Co się rzekło, to już pozostało w waszych sumieniach i myślach! O nic innego mi nie chodzi, przyjacielu miły! Przecież już ucierpiałem i cierpię za umiłowaną wolność...

— A mimo to jesteś zawsze wesół i pogodny? — zauważył Rodionow.

— Bo wierzę, że wolność zwycięży! — zawołał Polak.

— Daj Boże, oby prędzej! — westchnął kupiec, lecz natychmiast usta dłonią przykrył i jął się oglądać bojaźliwie.

Gdy goście po takich pogawędkach żegnali gospodarzy, zjawiały się jeszcze dwie istoty, które pozostawały w chacie Lisów nieraz do północy. Jedną z nich była Dunia Rodionowa, cicha, skromna dziewczyna, przywiązana do pani Juliany całą duszą. Godzinami rozmawiała z nią, a wieczorem przychodziła pomagać, gdy młoda kobieta przyrządzała leki dla chorych.

Pani Julianna przed zamążpójściem zamierzała pojechać

do Paryża, aby się uczyć medycyny, do której czuła od dzieciństwa powołanie. W tym to właśnie celu przebywała niegdyś w Petersburgu, aby przez protekcję księżny Łowickiej uzyskać od cara Mikołaja I pozwolenie na wyjazd do Francji, ponieważ cesarz nienawidził Francuzów za ich umiłowanie wolności i dlatego poddanych swoich poza granice imperium nie wypuszczał.

Drugim późnym gościem w domu Lisów był samojedzki łowiec Wotkul. Przekradał się zwykle, gdy wszyscy już powracali do domów, wchodził do izby i siadał przy progu. Nic nie mówił, tylko patrzył czarnymi, bystrymi oczami. Ledwie dostrzegalny uśmiech błąkał się chwilami koło wydętych, ciemnych ust Samojeda i coś błyskało wtedy w jego nieruchomych, tajemniczych źrenicach.

Lisowie częstowali go herbatą z cukrem lub chlebem z kawałkiem mięsiva i wkrótce przyzwyczaili się do odwiedzin milczącego gościa.

Pewnego wieczora Wotkul przemówił:

— Wy — sprawiedliwi ludzie! — rzekł mrużąc oczy. — Twoja kobieta wyleczyła starego Pyragę — wójta... To dobrze! Pyraga uratował mego ojca, gdy ten tonął w Obi... Pyraga jest przyjacielem mego starego i waszym przyjacielem...

To powiedziawszy pochylił głowę do ziemi i czołem dotknął dęsek podłogi.

— Dziękujemy wam, Wotkule! — odparli Lisowie, ze zdziwieniem patrząc na Samojeda.

— Ty — ciągnął Wotkul wskazując na Polaka — walczyłeś o wolność, jesteś przeto człowiekiem sprawiedliwym! Samojedzi też walczyli niegdyś, lecz zostali zwyciężeni. Każdy może skrzywdzić, pchnąć, obić, oszukać, znieważyc Samojeda, bo jest on wobec „urusa“ bezbronnym niewolnikiem! Musimy cierpieć teraz i milczeć... A ty — sprawiedliwy człowiek! Mówił mi o tym Pyraga! Stary ma rozum i wie, co mówi. Chcia-

łem ci powiedzieć od dawna, że twój druh — mój druh, twój wróg — wróg Wotkula...

— Dziękujemy wam! — powtórzył Lis wyciągając dłoń do tuziemca.

Ten wstał i pochylając mu się do ucha szepnął:

— Pyraga otrzymał nakaz baczyć, abys nie uciekł... Surowy nakaz!... Pyraga jednak powiedział mi, że jeżeli zechcesz uciekać, to powiedz mi o tym, a ja was przez tajgę przeprowadzę i ukryję... Pyraga nie wyda... Stary powie, że o niczym nie wiedział... Pamiętaj o tym!

Lis drgnął.

Uciec z tej surowej krainy, powrócić do ojczyzny, zawieźć umiłowaną żonę do domu rodzicielskiego, posłyszeć mowę ojczystą, odetchnąć powietrzem polskim!

Opamiętał się jednak i westchnął:

— Dziękuję wam, Wotkule, dziękuję za dobre chęci! — wyszeptał. — Nie skorzystam jednak z waszej dobroci i przyjaznej pomocy. Moja ojczyzna daleko stąd, nie potrafilibyśmy przekraść się do niej!... Nie, byłoby to szaleństwem!

Samojed usiadł podwinąwszy nogi pod siebie i mruknął:

— Com miał rzec, tom rzekł! Moje słowo — krzemień, a ty z krzemienia wykrzesz iskry!...

Słowa te uderzyły Polaka.

Po raz pierwszy bacniej przyjrzał się Wotkulowi.

Wysoki, barczysty i zwinny, miał ostre spojrzenie północnego łowcy, śmiałą, rozumną twarz i mocno zaciśnięte wargi, oznakę niezłomnej woli.

Lisowi błysnęła nagle myśl. Uśmiechnął się i rzekł:

— Dobrze! Od dziś zacznę krzesać iskry z tego krzemienia, Wotkule!

Samojed podniósł głowę i oczami wpił się w twarz Polaka.

— Słuchaj! — zaczął zesłaniec. — Straciliście wolność nie tyle dlatego, że was zwalczono, ile przez to, że pozostajecie

w dzikości. Wrogowie wasi są przebiegli i nikczemni. Oni wiedzą, że ciemnota zgubi was, że wkrótce wyrzecie wszyscy, a wasze ziemie, tajga i rzeki przejdą w ich ręce...

— Prawdę rzekłeś! — kiwnął głową Samojed. — Każdej niemal zimy wymierają całe koczowiska. Rosyjscy kupcy płacą nam za nasze towary wódką, urzędnicy łupią nas. Głodny, pijany, zrozpaczony człowiek prędko ginie!

Lis wzdrygnął się cały.

Po raz pierwszy posłyszał o tym, co się działo na Syberii, i dusza jego odczuła bunt na myśl o zbrodni władz wspianiego cara Rosji.

— A widzisz? Widzisz! — mówił podchodząc do Samojed. — Musicie się zatem bronić! Jedyne wasze broń to oświata! Uczę już kilku waszych młodzieńców, lecz tego mało! Przychodźcie do mnie wszyscy, a nauczę was nie tylko czytać, pisać i rachować, lecz doradzę, jak należy żyć, aby być godnymi nazwy ludzi, a nie bydła, na jakie zamierzają was zamienić wasi wrogowie.

Od tego pamiętnego wieczora Samojedzi z Narymu, a nawet z pobliskich okolic przychodzili do Lisa, a ten uczył ich i opowiadał, jak należy strzec się chorób i pijaństwa, jak wychowywać dzieci, jak trzeba rozumieć przepisy prawa, załatwiać spory pomiędzy sobą i Rosjanami, jak zawierać umowy z kupcami.

Dla tych pogadań musiał przeczytać całą kupę książek, które przywiozła z sobą na wygnanie pani Julianna i które przysyłano im z Polski; przewertować obowiązujące prawo o syberyjskich tuziemcach i instrukcje, przesyłane ze stolicy do władz miejscowych, chociaż urzędnicy syberyjscy od najwyższych dygnitarzy do najniższych oficjalistów — z nieznaczonymi wyjątkami, drwili sobie z rozkazów cara, ministrów i urzędów, rządząc gwałtem, wołającym o pomstę.

Wotkuł bardzo prędko nauczył się czytać po rosyjsku i ulubionym jego zajęciem stało się kaligraficzne wypisywanie

różnych słów, które wydawały mu się tym piękniejsze i ważniejsze, im były bardziej długie i niezrozumiałe. Zdolny, pojętny i posiadający zdumiewającą pamięć Samojed robił szybkie postępy. Zajmowało go wszystko, toteż prowadził z Lisami nieskończone rozmowy i uczył się zawzięcie.

Pewnego razu zapytał:

— Kto jest lepszy, samojedzki Numa — „Wielki Duch“, czy wasz Bóg?

— Znasz naszego Boga? — zadał pytanie Lis.

— Nie!

— A Wielkiego Ducha znasz?

— Modłę się do Numy od dzieciństwa, a on pomaga mi i broni, gdy jestem samotny w tajdze lub na warcie rzeczonym! — odparł z westchnieniem.

— Tedy módl się do niego i nadal!! Z pewnością każe on wam nie zabijać, nie kraść, nie mówić nieprawdy, kochać wszystkich, jak braci...

— Kochać wszystkich, a więc i „urusów“? — przerwał mu Wotkul ze zdziwieniem patrząc na Polaka.

Lis zamierzał odpowiedzieć mu, lecz po chwili namysłu machnął ręką i nic nie odrzekł.

Przecież wiedział dobrze, że i on sam „urusów“ kochać nie potrafi.

— Módl się do swego Wielkiego Ducha, Wotkule! — powtórzył.

— Wkrótce już nasze spotkania muszą ustać... — rzekł cichym, smutnym głosem Samojed. — Zaraz po świętach narodzenia waszego Boga Samojedzi wyruszą do tajgi na lowy... Musimy zdobyć dużo skór, aby starczyło na podatki „urusom“ i aby głodu i nędzy nie było po czumach! Ciężkie czasy nadchodzą...

Lis zamyślił się i rzekł:

— Tę zimę muszę spędzić w domu. Nie mogę przecież

pozostawić żony bez opieki?! Gdy się przyzwyczai do życia w Narymie, na przyszły rok wybiorę się z wami na łowy.

Wotkuł błysnął oczyma i głosem wzruszonym zawołał:

— Piękny to będzie czas! Po dziennych łowach rozpaliemy sobie ognisko pod łapami świerków rozłożystych, będziemy patrzyli na ogień i słuchali syku pary, buchającej z kociolka... Tajga będzie przemawiała do nas setką przeróżnych głosów, gwiazdy będą migąły w wyżynie, z szelestem spadnie skrzepły śnieg z gałęzi, strącony przez wiatr, a ty znów opowiesz nam o wszystkim... o wszystkim! Będzie słuchał ciebie Wotkuł, Rabah i Gasta, będą słuchały świerki, rosochate modrzewie, czarne niebo i gwiazdy; ucho swoje ku tobie pochyli Wielki Duch, co niewidzialny przebywa w tajdze!...

W taki to dziwny sposób nawiązały się nici przyjaźni prawdziwej między zesłańcem-Polakiem a prostodusznym, wiernym w swym uczuciu, półdzikim tuziemcem-Samojedem znad Obi.

ROZDZIAŁ IV

SŁOWEM A PIĘŚCIĄ

— Żle! — zawołał pewnego razu Rodionow wchodząc do domu Lisów. — „Zamór“ się tworzy!

— „Zamór“? — powtórzył Lis nie rozumiejąc znaczenia tego słowa.

— Od czasu do czasu na rzekach naszych lód zaczyna nabierać brunatnej barwy, a wtedy ryby usiłują przebić powłokę lodową — objaśniał kupiec. Podczas „zamor“, widać, braknie im powietrza, bo zdychają masowo. Gdy rzeka ruszy, tysiące trupów rybich płynie z prądem, a potem, aż do jesieni żywe ryby unikają tych miejsc. Klęska to prawdziwa, bo przecież wiesz, jak ważne pożywienie dla nas stanowią świeże ryby!

Lis zamyślił się głęboko, a potem rzekł:

— Muszę pójść i zobaczyć ten wasz „zamór“!

Na Obi rybacy przebili już przeręble i skupili się koło nich. Polak stanął nad skrajem otworu i przyglądał się uważnie.

Z warkotem biegła rzeka, skuta lodowym pancierzem, i wypłukiwała na śnieżną powłokę. Lis ze zdumieniem spostrzegł, że duże i małe ryby stoczyły się koło przerębli i pływały niespokojnie. Niektóre, nie zdradzając strachu przed ludźmi, wynurzały się z wody i znówu wpadały w nią po to, aby po chwili powtórzyć ten sam manewr. Bez wątpienia, musiało coś wpływać na to, że rybom nagle zbrakło powietrza, ale co, tego nie wiedział. I nie dziw, bo o wiele później dopiero uczeni wykryli istotną przyczynę „zamóru“, zjawiska, często zachodzącego nie tylko w północnych basenach wodnych, ale zdarzającego się też w europejskich gospodarstwach rybnych.

„Zamór“ może mieć miejsce w takich rzekach i jeziorach, do których wpadają potoki i źródła, obfitujące w żelazo oraz w wody torfowe. Te produkty szybko pochłaniają z rzeki potrzebny do życia ryb tlen.

Takiego objaśnienia istoty „zamoru“ Lis nie znał, lecz rozumiał jedno: skoro rybom zabrakło powietrza, to należy im dać je w jak największej ilości. Naradziwszy się z Rodionowym, wójtem i innymi rybakami, Lis uplanował przebicie w lodzie kilku szerokich, w poprzek przecinających rzekę przerębli. Cała ludność stanęła do tej roboty z kilofami, kłonicami, siekierami a nawet pilami, którymi cięto lód. Dla ułatwienia ciężkiej pracy na powierzchni rzeki rozpalono ogromne ogniska, długie stosy suchej trawy, trzciny i porąbanych suchych krzaków. Przez kilka dni ryby tłoczyły się w szerokich „pojmach“ — pasmach wolnej od lodu rzeki, lecz wkrótce zauważono, że ilość ich zmniejsza się z dniem każdym.

— A — a! — pomyślał Lis. — Ryby mają już dość powietrza, które dosięgło głębiny...

Skinąwszy na rybaków rzekł do nich:

— Zdaje mi się, że znaleźliśmy skuteczny sposób na „zamór“! Nigdy on się już tu nie powtórzy, o ile będziecie utrzymywali przeręble w dobrym stanie, nie dopuszczając, aby zamarzły. A teraz za powietrze, które daliśmy rybom, możemy zażądać od nich zapłaty. Spuścimy niewody przez przeręble i zgarnijmy zapas świeżej ryby, bo to już post, a i święta Bożego Narodzenia za pasem!

Rybacy jęli się co żywo roboty.

Nielatwa to rzecz opuścić ogromne niewody do przerębli, gdzie rzeka rwie z zawrotną szybkością, a każdy ruch rybaka grozi mu poślizgnięciem się i wpadnięciem do toni bez nadziei ratunku, gdyż wartki prąd niezawodnie wciągnąłby go pod powłokę lodową. Przewidział to Lis, więc rybacy uwiązali do pasów sznur, którym wszyscy ze sobą byli połączeni.

Pomysł Polaka udał się.

Spuszczona przez jedną przeręblę sieć została wyciągnięta przez następną. Mozolna to była praca i długa. Wymagała zręczności, sprytu i siły, którą właśnie zadziwił wszystkich barczysty Władysław Lis.

Tam, gdzie potrzeba było dziesięciu ludzi, aby utrzymać uńszone prądem skrzydła sieci, wystarczał on jeden. Wpierał nogi w śnieg, wyteżał ramiona i kark walcząc z wartem Obi, porywającej długą matnię niewodu.

Gdy wyciągnięto sieć, ujrzano zawartą w niej obfitą zdobycz.

Szczupaki, liny, okonie, miętusy biły się polyskując łuską w długim saku niewodu. Do innego połowu przyzwyczajeni byli Sybiryacy, lecz świeża ryba zawsze lepsza jest od suszonej i solonej, toteż cieszyli się mieszkańcy Narymu i obdarowawszy Lisa w koszach znosili zdobycz do domów.

Od tego czasu na Obi i Keci stałe widniały grupki ludzi, oczyszczających przeręble od lodu. W ten to sposób Lis obrobił Narym od klęski „zamoru“, a tym jeszcze bardziej pod-

niósł i utrwalił ogólny szacunek dla siebie i swoje znaczenie wśród okolicznej ludności.

Wieść o sposobie walki z wymieraniem ryb ze zdumiewającą szybkością rozbiegła się po całym kraju, więc teźże już zimy rybacy na Wachu, Czulymie i Tomi jęli zapobiegać „zamorowi“ robiąc duże przeręble na rzekach. Wtedy to po raz pierwszy posłyszano nazwisko wygnańca w stolicy zachodniej Syberii, Tomsku, przez który przechodził był, jako pędzony po etapach więziennych zesłaniec, posiadający wtedy kolejny numer, lecz nie mający ani nazwiska, ani imienia, gdyż był uważany za istotę, skazaną na śmierć niechybną.

Zbliżały się święta Bożego Narodzenia. Zaledwie kilka dni pozostawało już do wili.

Mieszkańcy Narymu z niecierpliwością wyglądali poczty, którą dostarczano końmi z Tomsku raz na miesiąc. Zdażyła na dwa dni przed świętami. Lisowie ze Izami odczytywali listy od rodziców Julianny, od ciotki — generałowej Romerowej i od państwa Kobierzyckich spod Sieradza, gdzie Władysław leżał był niegdyś ranny i gdzie wyznał Juliannie swoją miłość.

Wieści z kraju nie były radosne, bo ręka moskiewska coraz bardziej gnębiła naród polski, siała niezgodę pomiędzy włościąństwem a szlachtą, ściagała najslabszy nawet przejaw dążenia do wolności i zachowania ducha narodowego. Jednocześnie jednak dowiedzieli się zesłańcy, że cała Polska, od dołu do góry, czasowo odrzuciła nieczyszczalne na razie plany, bo ujrzawszy, że brutalny wróg zagraża ziemi, wzięła się do wytężonej pracy, do niewidzialnej, cichej, a uporczywej obrony każdej piędzi ojczystej roli i każdej dziedziny życia. Przesłano rzuconym na Syberię drogim istotom opłatki wigilijne, życzenia świąteczne i słowa pełne otuchy i nadziei; znalazły się teź w listach jakieś głuche, półsłówkami wyrażone przewidywania możliwej amnestii dla więźniów i zesłańców politycznych. Poczta dostarczyła teź Lisom skrzynię, w której znaleźli trochę bielizny, obuwia, mak, stale przysyłane lekar-

stwa i kilka nowych ksiązek polskich, francuskich i niemieckich.

Pani Julianna przyrządziła wspaniałą ucztę wigilijną, tradycyjną litewską „kucję“ na sianie, z kilkoma daniami rybnymi, z zupą grzybową z uszkami; był też tarty mak z miodem i „śliżami“.

Lisowie przelamali oplatek i związani serdecznym uściskiem dziękowali Bogu, że nie rozłączył ich i nie pozbawił nadziei, mimo iż przeszli ciężką, męczeńską drogę.

Przy wieczerzy rozmawiali o drogich dla siebie osobach: rodzicach, krewnych i przyjaciółach, dalekich a niezapomnianych nigdy.

Władysław Lis ożywił się nagle i rzekł z mocą w głosie:
— Dobrze jest, że Polska porzuciła na razie politykę! Ta rodzi nieraz niesnaski, waśnie i rozbija siły narodu. Praca — to grunt! Im cięższa i żmudniejsza — tym lepsza! Jak wapno cegłę, tak ona zwiąże wszystko w jeden zwal niezłomny, a to, co rozluźniło się podczas sporów o władzę w dobie powstania, praca znowu wzmocni, zacieśni żelaznym pierścieniem wspólnego wysiłku. Dobrze jest! Nie upadajmy na duchu! Wierzmy w świetlaną przyszłość naszej ojczyzny!

Jakaś nadzieja, zdawało się na niczym nie oparta, wstąpiła w ich serca i rozplomieniła spojrzenia.

Odśpiewali kolędę, a potem nucić zaczęli z przejęciem:
„Jeszcze Polska nie zginęła...“

Ciche głosy Polaków, rzuconych na daleką północ, potężniały z każdą chwilą, aż wreszcie rozbrzmiały w całej pełni, wesole, drgające zapalem do czynu i pewnością jutra.

Gdy skończyli pieśń, wtedy dopiero spostrzegli Wotkula.

Wśliznął się niespostrzeżenie i teraz swoim zwyczajem siedział na podłodze przy progu, podwinąwszy nogi pod siebie i spoglądając na gospodarzy ostrym wzrokiem czarnych, bystrych oczu.

— Siadajcie do stołu, przyjacielu! — zawołał Lis. — Żona

poczęstuje was rybą i czymś, czego, z pewnością, nigdy nie próbowaliście.

Samojed przysiadł się i spożywał podawane mu jedło szybko, jak gdyby z jakąś niecierpliwością.

Zauważył to Lis i pytająco spojrział na gościa.

— Są nowiny, a nie wiem — dobre, czy złe? — szepnął Samojed. — Woźnica, który przywiózł pocztę, opowiadał w zajeździe, że zaraz po świętach zjechać mają do Narymu urzędnicy... A przybędzie też ten najgorszy z „urusów“ — Safianow... Mówił też woźnica, że niedawno wiózł policmajstra z Tomska do Szitana. W rozmowie z komisarzem policji „urus“ często wspominał wasze nazwisko.

Lis zamyślił się.

Nowiny były istotnie ważne, a do przyjemnych nie należały. Jednak po chwili uśmiechnął się i z beztróską machnął ręką:

— Niech wspominają sobie — mruknął — chociaż, co prawda, wolałbym, żeby zapomnieli o moim nazwisku...

Zapanowało milczenie. Przerwała je Julianna:

— A może ktoś doniósł o twoich rozmowach z uczniami, Władeczkę?... — szepnęła z obawą w głosie.

— Eh! cóż znowu? — wzruszył ramionami Lis. — Czyżbyśmy mieli wśród nas szpiegów i donosicieli? Co mamy zaprzętać sobie głowy? Przyjadą, wtedy dowiemy się.

Wotkuł, podjadłszy, stanął przy drzwiach i kłaniał się w pas.

— No, do jutra, przyjacielu! — rzekł podchodząc do niego pan Władysław.

— Nie! — odparł z westchnieniem Samojed. — Nim świt rozbłyśnie, opuszczę z towarzyszami osiedle. Idziemy do tajgi... Musimy zbudować zimowe obozowisko, gdyż polowanie będziemy mieli w dalekiej tajdze... a tymczasem okres łowów już nastaje... Bądźcie zdrowi! Niech Wielki Duch ma was w swej opiece! Jeżeli będziesz mnie potrzebował, szepnij me-

mu synowi Gandze: „Biegnij po ojca!“ Więcej nic! On już znajdzie mnie, bo rozpozna moje zasięki na drzewach... Bądźcie zdrowi!

Bez szmeru otworzył drzwi i zniknął w ciemnej sieni. Szedł tak lekko, że nawet śnieg nie skrzypiał pod jego futrzanymi chodakami.

Gdy nazajutrz Lis odwiedził Rodionowa, ten opowiedział mu, że Samojeździ, którzy zamierzali polować w pobliżu „Łosiowych Jarów“, ruszyli tej nocy na łowy.

Rodionow, dowiedziawszy się o możliwym przyjeździe urzędników z Safianowym na czele, porwał się na równe nogi.

— To coś nowego! — wybelkotał. — O tej porze nigdy nie przyjeżdżali do nas. Skoro jednak ma zawitać tu Safianow, niczego dobrego spodziewać się nie możemy! Będziemy mieli kłopoty, przykrości i wydatki, bo to stary wyga, drapieźny, chciwy łapownik!

— Nie rozpaczajcie, Michale Szymonowiczu, jakoś damy sobie radę z nim! — uspokajał go Lis.

— Właśnie wy dacie sobie z nim radę! — z oburzeniem zawołał kupiec. Wy — zesłaniec bezprawny?! Musicie raczej zaszyć się do jakiejś nory i pary z ust nie puścić, bo inaczej zadręczy was...

Lis wzruszył ramionami.

— Ja tam kryć się nie myślę! — odparł. — Mam czyste sumienie...

— Safianow tak się zna na czystym sumieniu, jak koza na pieprzu! — syknął z nienawiścią Rodionow. — Stary wilk; lis i żmija — to jest Safianow! Stał się takim, będąc dozorcą katorgi salairskiej, gdzie był postrachem więźniów.

— A teraz czym jest? — spytał Lis.

— Starszym radcą przy gubernatorze, jego oczami i prawą ręką! — odpowiedział kupiec. Rządzi gubernatorami, jak chce. Jeżeli któryś z nich okazał się człowiekiem uczciwym i zaczynał ścigać urzędników za bezprawie, łapownictwo i inne

nadużycia, Safianow zawsze potrafił urządzić tak, że gubernator szedł pod sąd i zostawał wydalony. Nikt dotąd nie odważył się z nim zadrzeć!

— Ależ napędził on wam strachu! — zaśmiał się zesłaniec.

— Straszny to człek! Zresztą wkrótce ujrzysz go na własne oczy... — mruknął Rodionow.

— Widziałem straszniejszego, bo samego cara Mikołaja! — uśmiechnął się Lis.

Pomilczeli chwilkę, po czym kupiec uspokoiwszy się nieco rzekł:

— Chodźmy nad rzekę, tam dziś od rana odbywa się widowisko, które się zowie u nas „wojniszka“. Urządzają ją nasi Samojedzi i Rosjanie z Tatarami tamtego brzegu. Popisują się tam co najciekawsze chlopy!

— O cóż im poszło? — spytał pan Władysław.

— O nic, bo to tylko zabawa, która odbywa się co roku w pierwszy dzień Bożego Narodzenia! — objaśnił kupiec. Chodźmy, zobaczysz ją, a warto widzieć, bo rzecz ciekawa i podniecająca!

Skierowali się ku rzece. Na brzegu stłoczyli się wszyscy mieszkańcy: mężczyźni, kobiety i dzieci.

Na lodzie widniały kupki uczestników tej syberyjskiej „zabawy“.

Lis myślał, że ujrzy zwykle zapasy silaczy i borykanie się, lecz natychmiast przekonał się o swej pomyłce.

Była to prawdziwa, zażarta bitwa.

Rozpoczęli ją chłopaki, drobiazg jeszcze, otulone w baranie kożuszki, w kosmatych „małachajach“ i wołkowych butach. Chłopcy bili się z krzykiem i piskiem machając rękami, tonącymi w przydługich rękawach kożuchów i żółtych skórzanych rękawicach. Wodzili się za czuby, okładali pięściami, padali ślizgając się na gładkim lodzie i hałasując straszliwie, lecz wkrótce z jeszcze głośniejszymi krzykami jęli uciekać.

Do bitwy ruszyli w tej chwili wyrostki, zmiotli ze swej drogi zmykający przed nimi i czubiący się drobiazg i dopadli przeciwników.

Zmieszały się szeregi i łamać się zaczęły, to po jednej, to po drugiej stronie.

Dochodziły odgłosy ciężkich razów, głuche, złe okrzyki, brzydkie wyzwiska.

Tam i sam z jękiem padali zapaśnicy, rażeni pięściami w brzuch lub skroń. Na śniegu coraz częściej wykwitwały szkarłatne plamy krwi. Płynęła ona obficie z rozbitych nosów i warg, pękających pod ciosem ciężkich, skórzanych rękawic.

Lis nie mógł ochłonąć ze zdumienia.

Zabawa, przy której z taką łatwością leje się krew?!

Było to coś niezrozumiałego dla Polaka. Wstrętem i oburzeniem przejęło go to dzikie widowisko.

— Krew? — wyszeptał oczami wskazując na pole bitwy.

— A tak! — z beztroskim wyrazem na twarzy zaśmiał się Rodionow. — Nieraz nawet kogoś tam zabiją podczas „wojniszki“! Cóż chcecie?! Przy tej okazji można załatwić stare porachunki lub dokonać zemsty!... Takie tu panują u nas prastare obyczaje. Przyjeżdżał do Narymu pewien uczonec i badał zabawy ludowe. Co do „wojniszki“, to opowiadał później, że powstała ona bardzo dawno, wtedy gdy rosyjscy ludzie za cara Iwana Groźnego, po podbiciu Syberii, zaczęli się tu osiedlać. Tacy wyzywali na pojedynek lub na zbiorową bójkę tuziemców — Tatarów, Samojedów i Ostiaków, ale przedtem umawiali się, że zwycięzca dostanie szmat łąki lub tajgi, albo też stanie się właścicielem pewnej części rzeki, gdzie odtąd tylko on może rzucać sieci. Tuziemcy chętnie stawali do bitwy, bo w ten sposób mogli się mścić na najeźdźcach. Dlatego to zabawa tego rodzaju nabrała takiego okrucieństwa i zawzięcia! Prastary to zwyczaj, syberyjski!

Lis chciał coś odpowiedzieć, lecz słowa zamarły mu na ustach.

Zobaczył straszny obraz.

Wyrostki zmykali w tej chwili z placu boju, a ku niemu mknęła gromada dorosłych Tatarów, Samojedów i rosyjskich rybaków. Każdy z walczących był uzbrojony. Jedni zaciskali w pięści kawał ołowiu, drudzy mieli kije w ręku, inni długie, ciężkie dyszle lub grube maczugi.

Cała ta grupa, hałakując i wymachując rękami, pędziła w stronę przeciwników, którzy przy przeciwległym brzegu rzeki stali gotowi do odparcia ataku. Zastukały, załomotały kije i drągi, ryk i nowe okrzyki wstrząsnęły zastygłym powietrzem, grzmocić jęły potężne pięści, owinięte rzemieniami. Natychmiast zaczerniały sylwetki padających ludzi, tratowanych nogami walczących.

— Ogły! Ogły! — dobiegły ponure nawoływania Tatarów.

— Gałga! Gałga! — odpowiedziały im gwałtowne okrzyki Samojedów.

— Ach! — zawołał Rodionow. — Teraz dopiero zacznie się prawdziwa bitwa! Słyszysz? Tatary wołają do bitwy swego silacza, olbrzyma Ogły, który z łatwością łamie podkowy, a Samojedzi wystawią przeciwko niemu Gałgę, osilka straszliwego. Czy wiesz, że on duże koło od wozu przerzuca, jak lekki kamyk, poprzez dach domu?! Będzie zabawa! Dziś bez zabójstwa się nie obejdzie...!

Lis nie słuchał więcej opowiadania przyjaciela.

Podgarnął poly kozucha i popędził przez rzekę.

Dopadłszy walczących, jął roztrącać ich, odrywać zwartych ze sobą przeciwników, rozłączać bijących się. Ten i ów z nich, wściekły na nagłą zawadę, podnosił nad Lisem ciężki drąg, lecz nie zdążył go opuścić, gdy coś wyrwało mu broń, a samego podrzucało, zakrecało w powietrzu i ciskało do wysokiej zasy py śnieżnej, ciągnącej się pod urwiskiem.

Lis uwijał się po pobojowisku krzycząc na cały głos:

— Stójcie! Mam ważne wieści... Ani kroku dalej, bo... chcę mówić do was! Słuchajcie! Słuchajcie!

Niewiele pomagały okrzyki i nawoływania Polaka, więc, niedługo myśląc, jał porywać walczących i wstrząsać nimi tak, że aż pasy na nich pękały, odrywały się poły i rękawy kożuchów.

Wtedy dopiero cofać się zaczęły przed nim szeregi podnieconych bitwą półdzikich ludzi, rozpadać się na mniejsze grupki, aż wszyscy się rozpierchli i stanąwszy na uboczu z przerażeniem i z podziwem przyglądali się temu zwykle spokojnemu i pogodnemu człowiekowi. Lubili go przecież wszyscy i szanowali, a teraz zaimponował im i w zachwyty wprowadził siłą i prawie nieuchwytną szybkością ruchów.

Na placu „wojniszki“ pozostało tylko dwóch zapaśników: Ogły, ogromny, ponury, kabląkowaty Tatarzyn i takiż rozrosły, barczysty, jednooki Gałga-Samojed. Okładali się wzajemnie ciężkimi dyszlami, usiłując ugodzić przeciwnika w głowę i zręcznie unikając niebezpiecznych ciosów.

— Rozejdźcie się! — zawołał Lis biegnąc ku nim. — Zaniechajcie głupiej bitwy!

Na chwilę oprzytomnieli i spojrzeli na mówiącego zlymi, groźnie błyskającymi oczyma. Po chwili odezwał się Ogły:

— Odejdź i nie mieszaj się do naszych spraw! — zamruczał.

— Odejdź, bo oberwiesz od nas obydwóch! — wtórował mu ochryplym głosem jednooki Samojed.

— Nie przerwiecie bójki? Nie rzucicie tych drągów? — już gniewnie patrząc na nich, zapytał Lis. — Pytam was po raz ostatni!

Ogły zaklął straszliwie i z podniesioną pięścią skoczył ku Polakowi.

Z drugiej strony biegł ku niemu Gałga dyszlem zakręciwszy młyńca.

Mieszkańcy Narymu i położonych naprzeciwko, na drugiej stronie Obi, tatarskich wsi — Kujalskiej, Daurskiej i Kustarewowej, ujrzeli coś niebywałego. Ledwie bowiem dobiegli

zbrojni przeciwnicy Lisa, jakaś siła nieznaną oderwała ich od ziemi, machnęła w powietrzu, niby olbrzymimi, czarnymi szmatami, zderzyła głowami i z rozmachem rozciągnęła na śniegu.

Po chwili nad leżącymi schylił się Lis, wyrwał im drągi z rąk, a potem, ucapiwszy za baranie kołnierze, powłókł po śniegu ku pobliskiej przerębli i jął plukać w niej olbrzymów, rzekłbyś, praczka, myjąca w rzece pasma nieodbielonej tkaniny.

Wyplukawszy starannie i tym otrzeźwiwszy chłopów, włókł ich dalej ku narymskiemu brzegowi krzyknawszy na innych:

— Hej tam! Za mną! A wszyscy! Wszyscy!

Nie sprzeciwiając się, zbitym tłumem, głowa przy głowie, niedawni przeciwnicy sunęli za nim.

Mieszkańcy osiedla otoczyli Lisa kołem.

On zaś, postawiwszy na nogi Tatara i jednookiego Galgę, przemówił do wszystkich:

— Przelew krwi, bójkę i morderstwo nazywacie zabawą? „Wojniszki“ wam się zachciewa?! Zapomnieliście o dniu narodzenia Syna Bożego, którego umęczono za to, że uczył ludzi miłować się wzajemnie, jak bracia? A wy tymczasem gotowi jesteście pozabijać się dla zabawy? Póki ja tu jestem, nie będzie więcej „wojniszki“! Mówię wam po dobremu, a jeżeli nie usłuchacie, potrafię przekonać was o tym czym innym, a czym, to już dziś widzieliście! Chcecie siłę swoją pokazać? Dobrze! Bierzcie sznur długi i mocny i ciągnijcie go! Kto kogo przeciągnie, ten zwycięży! Wyzywajcie jeden drugiego na rękę, borykajcie się, gońcie lecz wara od bójki!

Lis wypowiedział te słowa tak donośnym i groźnym głosem, że w tłumie natychmiast rozległ się pomruk:

— Sprawiedliwie mówi! Po co bójka? Wielkie Święto... Narodził się Chrystus Zbawiciel... Dobrze mówi!

Resztę święta spędzili zapaśnicy na lodzie borykając się

różnymi sposobami, lecz tego dnia już nikt nie widział na śniegu śladów świeżej krwi.

— Ależ macie siłę w garści! — z zachwytem zawołał Rodionow, gdy wieczorem Lisowie przyszli na herbatę do przyjaciół.

— Eh! — machnął ręką pan Władysław. — Miałem dwa razy tyle, ino mi rany i etapy zabrały jej sporo.

— Starczy wam! — uśmiechnął się kupiec.

— Ja też tak myślę, przeto się nie troskam zbyt! — zaśmiał się zesłaniec. — Nie mogłem dziś wytrzymać! — dodał, jak gdyby się usprawiedliwiając. Gdy pomyślałem, że dzikie zwierzęta podczas zabawy nie czynią sobie krzywdy, a tu nagle ludzie krew z siebie wypuszczają dla widowiska, żartu, weselości! No, wtedy...

Urwał nagle i namarszczył czoło patrząc w ziemię.

Rodionow parsknął śmiechem i dokończył:

— Wypłukaliście w przerebli Galgę i Ogły, a oni, gdyście przemawiali do nas, stali niby słupy z lodu, a trzęśli się niczym liście osiki... Cha! Cha! Cha!

— Może źle uczynilem? — zapytał Lis.

— Gdzież tam! — zawołał kupiec. — Doskonale! Był tu pewien misjonarz, człek uczony, on też przeciwko „wojniskom“ powstawał i „dzikością ohydną“ nazywał ten zwyczaj... Dobrzeście zrobili, sprawiedliwie!

Rodionow jął przypominać sobie wypadki tego dnia i na głos opowiadał o nich wybuchając głośnym śmiechem, w którym było tyleż weselości, ile szczerego zachwytu nad niezwykłą siłą przyjaciela.

ROZDZIAŁ V R E W I Z O R

Narym z niepokojem oczekiwał zapowiedzianego przyjazdu urzędników. Łamano sobie głowy nad tym, co może sro-
wadzać o tej porze roku tak nieprzyjemnych gości, lecz nikt

nie mógł dać wyjaśniającej odpowiedzi. W dwa dni po świętach wpadł do osiedla konny kozak, oszroniony, półzamrażnięty, o brodzie i wąsach, okrytych sopłami lodu. Długo nie mógł mówić, wreszcie ogrzawszy się i wychyliwszy pięć kubków gorącej herbaty, poczuł się na silach i oznajmił, że nazajutrz zawita komisja, złożona z kilku osób.

Istotnie, takie komisje zjeżdżały z rzadka do miast syberyjskich.

Zbrodnicze władze syberyjskie śledziły baczenie, żeby żaden list, opisujący istotny stan rzeczy, nie dostał się poza Ural, a zwłaszcza do stolicy. Jednak czasami rząd petersburski otrzymywał z Syberii dochodzące bocznymi drogami doniesienia i skargi na bezprawie gubernatorów, komisarzy policji i prokuratorów. Wtedy to z Petersburga posyłano potajemnie zaufanego urzędnika lub oficera, zaopatrzonego we wszelkie pełnomocnictwa, a ten zjawiał się nagle we wskazanym miejscu i przystępował do rewizji.

W opisanym roku na rewizję Tomskiej guberni przybył sekretarz ministerstwa spraw wewnętrznych, młody prawnik, baron Alfred Toll, pochodzący z rodziny nadbałtyckich Niemców, wychowanek uniwersytetu heidelberskiego. Rewizor zażądał, aby pokazano mu najbardziej na północ położone miasto guberni. Był to właśnie Narym.

Baron wyruszył w drogę, mając ze sobą radcę gubernialnego Włodzimierza Safianowa, naczelnego lekarza, Niemca, doktora Gustawa Grubera, komisarza policji północnego obwodu, Iwana Rusina i inspektora podatkowego, starego urzędnika, Szymona Kapuścina.

W towarzystwie kilku niższych funkcjonariuszy komisja na sankach odbywała daleką podróż.

Przed urzędnikami pędzili konni kozacy, ci, którzy pełnili straż po drogach i ścieżkach, aby zesłańcy nie uciekali z miejsc osiedlenia, za co dostawali po pięć rubli za każdego schwytanego lub zabitego zbiega. Kozacy ci bez wiedzy rewiz-

zora przygotowywali przed przybyciem jego rozstawne konie, wygodne noclegi i obfite uczyty, które ofiarowywano urzędnikom, rzekomo w imieniu „wdzięcznej i szczęśliwej ludności“.

Młody, pełen dobrej woli, kulturalny baron Toll nie podejrzewał nawet, że kozacy i niżsi funkcjonariusze policji, tak zwani „uriadniki“ oraz szeregowi posterunkowi, zwolowali do urzędów wójtów, najzamożniejszych mieszkańców i żądali pod groźbą więzienia lub chłosty — prowiantów, wina i pieniędzy na wspaniałe przyjęcie rewizora i asystujących mu urzędników. Policja obchodziła wszystkie domy, chaty i czumy tuziemców, grożąc ciężkimi karami i prześladowaniami w razie, gdyby ktoś z mieszkańców ośmielił się wystąpić ze skargą na ucisk władz miejscowych.

Wkrótce po przybyciu kozaka nadjechały sanie, a z nich wygramolił się spod baranicy uriadnik policyjny i kazał wójtowi skrzyknąć ludność na wiec.

Gdy wszyscy się zgromadzili przed domem Pyragi, policjant basowym, ochryplym głosem oznajmil:

— Jutro w południe przybędzie tu rewizor z komisją. Wyznaczono mu na mieszkanie dom kupca Michała Rodionowa. Hej, Rodionow! Musicie się przenieść z rodziną do kogoś z sąsiadów, uporządkować dom, żeby aż blyszczał i świecił od czystości! A wy, obywatele Narymu, znoście co macie najlepszego, aby należycie przyjąć dostojnych gości! Kto nie ma nic szczególnego w spiżarni, ten musi wpłacić mi dziesięć rubli. Tuziemcy mają ofiarować panu rewizorowi z Petersburga upominki: skórki sobole i kunie, futerko wydry na kołnierz do płaszcza i w ogóle wszystko najcenniejsze, aby rewizor was długo i mile wspominał. Tylko niech się nikt nie waży z jakąś tam głupią prośbą lub, broń Boże, skargą wyjeżdżać, bo powiadam wam, jak tu stoję przed wami, ja, Ostap Kriwonogow, tak do grobu takiego wpędzę! N-no zrozumieliście?! Zapamiętajcie to sobie dobrze!

Skończył i gwizdnął nahajem w powietrzu, surowym wzrokiem obrzucając stłoczonych przed sobą mieszkańców Narymu. Dostrzegł wreszcie Lisa, którego konwojował niegdyś na etapach. Kiwnął w jego stronę ręką i zawołał:

— A zesłaniec polski niech lepiej na oczy rewizorowi się nie pokazuje. Surowy to pan i buntowników nie lubi!

Lis wzruszył ramionami obojętnie i odparł spokojnie:

— Nie mam żadnych interesów do pana rewizora, więc nie będę się kwapił z poznanie go.

— No, to już i wszystko! — odetchnął z ulgą Kriwonogow i ujął Rodionowa pod ramię. — A teraz, Michale Szymonowiczu, ugość mnie, jak przystoi, i daj mi jakiś kąs, abym mógł się dobrze przespać. Chodźmy!

Rodionow zgnębiony i stroskany szedł obok policjanta i obliczał w duchu, ile go będzie kosztowała ta nieoczekiwana wizyta petersburskiego urzędnika.

„Uriadnik“ zaś ciągnął dalej:

— Ha! Mądry to człek ten polski buntownik! Cha! Cha! Patrzcie — no go! Powiada: „nie będę się kwapił z poznanie rewizora“! Zręczna, ostrożna sztuka! To nie to, co „dekabryści“, którzy byle co, wnet wylażą ze skargą. A czy ty wiesz, Michale Szymonowiczu, że gdyby zesłaniec wasz zechciał rozmawiać z rewizorem, to ten by go na pewno z uwagą wysłuchał? Pan radca Safianow obawia się tego najwięcej, bo wie, że wy nic gadać nie będziecie, Samojedzi też, gdyż wszyscy wiecie, co was za to czeka! Cha! Cha! Cha! Inaczej z Polakiem Lisem, oj inaczej!

Zniżył głos i dokończył:

— Czy ty wiesz, druhu, że żona Lisa jest niby krewniaczką jego cesarskiej mości, miłościwego cesarza... Mają ci Polacy przy sobie listy polecające od wielkiego księcia Michała, feldmarszałka Paskiewicza i wielkiego marszałka dworu, generała — hrabiego Benkendorfa... Twardy to orzech do zgryzienia! Na to nawet pan radca Safianow nie poradzi... Wierzę

jednak, że mądry z tego Lacha człowiek i żadnej przykrości nam nie sprawi...

Rodionow zrozumiał, że musi podtrzymać dobre zdanie Kriwonogowa o zesłańcu, więc rzekł:

— Spokojny, cichy, mądry to człowiek! Lisowie żyją po Bożemu... Ona leczy chorych, on nas od „zamoru“ wybawił... Mądrzy, spokojni ludzie — to prawda! Wróg by o nich inaczej nie powiedział.

Przez cały wieczór i noc w Narymie panował ruch. Robiono porządki w domu Rodionowych, ozdabiano wieńcami ze świerków i żurawin ściany izb i otaczano girlandami ganek, gdzie wójt i starszyzna miasteczka mieli powitać rewizora chlebem i solą. Posypywano piaskiem ulicę i placyk miejski, a po bokach traktu wtykano w śnieg młode, ścięte świerki.

Pani Rodionowa z sąsiadkami skubała ptactwo w kuchni, skrobała ryby, przebierała suszone jagody i wykopane z piasku w piwnicy jarzyny, przygotowując się do przyrządzenia uczty dla gości.

Sam Kriwonogow doglądał wszystkiego, lecz szczególnie zajęty był badaniem znoszonych zewsząd butelek z wódką, nalewkami i winem. Próbował osobiście każdego napoju, a tak starannie, że już przed południem zataczał się na nogach i nie mógł mówić wydając jakieś niezrozumiałe pomruki i poryki.

Wreszcie wpadł do Narymu jeździec i wrzasnął:

— Jadą! Jadą!

Stłoczony na placyku tłum mieszkańców wkrótce ujrzał w oddali kilka sani. Szybko zbliżały się pozostawiając poza sobą obłoki zmarzłego śniegu i pary, buchającej z koni.

Nagle pierwsze sanie zatrzymały się przy wjeździe do miasteczka. Stała się rzecz, nawet przez samego Safianowa nieprzewidziana.

Wzrok barona Tolla padł nagle na nowy domek o szerokich oknach i złocistych ścianach ze świeżych, roniących żywicę belek modrzewiowych. Rewizor wyraził życzenie poznać

wnętrze domu prawdziwego Sybiraka. Szybkim krokiem wbiegł na ganek i zapukał.

— Proszę wejść! — rozległ się spokojny, dźwięczny głos niewieści.

Baron pchnął drzwi i wszedł do sieni.

Na progu izby, oświetlona słońcem, stała wiotka kobieta o złocistych włosach, słodkim, pogodnym obliczu; czarna gładka suknia z białym kołnierzem koronkowym uwydatniała jeszcze bardziej biel i delikatność jej cery, podkreślała dostojne i piękne kształty nieznaną.

Urzędnik zdjął czapkę i uklonił się. Wobec tej kobiety stał się nie groźnym rewizorem, postrachem dalekiej, głuchej prowincji, lecz człowiekiem światowym, obracającym się w najlepszych salonach stolicy, więc pochylając głowę wymienił swoje nazwisko:

— Baron Alfred Toll, sekretarz pana ministra.

— Proszę wejść! — powtórzyła nieznaną, skinieniem ręki zapraszając gościa do izby. — Pan z pewnością ma interes do mego męża? Natychmiast pójde po niego. Jest na górze...

Na chwilę pozostawszy sam urzędnik rozejrzał się po pokoju. Wyczuł w nim coś odmiennego, podczas pobytu na Syberii nigdzie nie spostrzegano. Na ścianach wisiały mapy, a jedna z nich miała duży, czarny napis — Polska. Na półce stały książki. Zbliżył się i omal nie wydał okrzyku zdumienia. Poradniki lekarskie, kilka powieści i grube tomy klasycznych dzieł francuskich i niemieckich myślicieli, uczonych i twórców prawa mogły istotnie wywołać zdziwienie przygodnego podróżnika po dzikiej, zacofanej Syberii.

Gdy nieznaną powróciła, a za nią wszedł barczysty, o śmiałej twarzy mężczyzna, rewizor spytał po niemiecku:

— Państwo nie są chyba Sybirakami?... Wygląd państwa... te książki...

— Istotnie! — odparł mężczyzna z ukłonem. — Jesteśmy Polacy... Do usług — Władysław Lis, zesłany z wyroku sądu za udział w wojnie 1831 roku.

Do pokoju wetknął łysą czaszkę jakiś urzędnik.

— A, pan radca Safianow?! — przeciągnął niezadowolonym głosem baron. — Proszę poczekać na ganku... chwilkę!

Gdy Safianow, rozgoryczony i zaniepokojony, zniknął, Toll rzucił krótkie pytanie:

— Jakim sposobem pani towarzyszy mężowi w tym odludziu?... To przecież straszne... straszne!

— Taka była wola mojej żony — odparł Lis, — a zezwolenie na swój pobyt tutaj otrzymała za pośrednictwem ciotki — księżny Łowickiej, z prywatnej kancelarii cesarskiej.

— Ach, księżna pani!... Tak bardzo rozpaczała po śmierci cesarzewicza, że wkrótce po jego śmierci sama zmarła!... — westchnął Toll, lecz natychmiast pytał dalej: — Czy państwo zadowoleni są z traktowania ich przez władze?

— Nie mieliśmy dotąd żadnej styczności z władzami, — odpowiedział zesłaniec.

— Co słyszeliście państwo o policji i sądach swego obwodu? — wypytywał Toll.

— Przywieziono nas tu dopiero w tym roku. Mielśmy dużo kłopotów z wybudowaniem domu, z jakim-takim urządzeniem życia, nie mieliśmy czasu na inne sprawy... — wymijająco odrzekł Lis. — Zresztą pierwszym przedstawicielem władzy, którego widzimy tu, jesteś pan, panie rewizorze.

Toll zainteresował się życiem i pracą zesłańców, wyraził im uznanie za działalność ich w dziedzinie oświaty i pomocy chorym i żegnając Lisów oznajmił:

— W razie potrzeby proszę zwrócić się do mnie: baron Alfred Toll, Ministerstwo Spraw Wewnętrznych, Petersburg. Ten adres wystarczy! List państwa z całą pewnością zostanie mi doręczony!

Lis odprowadził rewizora na ganek.

Kilka par oczu z obawą i źle utajoną groźbą wpiło się w spokojną twarz zesłańca. Urzędnicy drgnęli, gdy Toll potrząsnął rękę „buntownikowi“ i rzekł wesołym, przyjaznym głosem:

— Do widzenia, panie Lis!

Gdy komisja zdążyła pieszo do miasteczka, Safianow szepnął do rewizora:

— Ten człowiek, to — zesłaniec, buntownik polski, panie rewizorze...

Toll spojrział na niego pogardliwie i dorzucił:

— ...A nie dodał pan radca, że jest on także inteligentnym człowiekiem!... Ale, ale, doktorze Gruber! Musi pan koniecznie odwiedzić panią Lisową i porozumieć się z nią, bo jest ona, jakby to wyrazić... koleżanką pana; lecz ludność miejscową... Widziałem u niej pierwszorządne dzieła lekarskie... niemieckie dzieła! Może ona być pomocną panu doktorowi!

— To bardzo, bardzo ciekawe! — łamaną mową rosyjską odpowiedział naczelny lekarz. — Niezawodnie odwiedzę... odwiedzę!

Tłum witał przybywające władze gromkimi okrzykami:

— Hurra! Szczęśliwego przyjazdu! Dobrego zdrowia! Hurra!

Sypały się pozdrowienia i życzenia, których przez cały ranek uczył mieszkańców Narymu pijany Kriwonogow, przy czym najmniej pojętych walił nawet nahajem przez łeb i kłął tak, że aż szyby dzwoniły.

Komisja weszła do przyozdobionego zielenią domu Rodionowych, poprzedzana przez dziobatego Pyrage, który szedł, płacząc się w długiej sukmanie, z blachą wójta na piersiach i niósł tacę, na której na bogato haftowanym ręczniku leżał bochenek chleba ze srebrną solniczką — pierwszy dar dla rewizora.

Ręcznik ten „urządnic“ zabrał pewnej samotnej wdowie, a solniczkę „znalazi“ w kredensie Rodionowych.

ROZDZIAŁ VI

NIEBEZPIECZNA GRA

Radca Safianow był starym, doświadczonym wyga. Widział już w swoim życiu najgroźniejszych rewizorów, ale umiał sobie zawsze z nimi radzić. Miał na to sposób niezawodny, niejednokrotnie wypróbowany. Wszyscy bowiem rewizorzy, przybywający na Syberię, popełniali jeden i ten sam błąd.

Wpadali tu w niezłomnym przekonaniu, że w miastach syberyjskich nikt nie wie o ich przybyciu i istotnym celu tej wizyty. A tymczasem żerujący na bierności i ciemności Sybiraków urzędnicy, dochodzący nieraz łapówkami do wielkiej zamożności, nie darmo dzielili się swymi dochodami z urzędnikami petersburskimi. Ci to właśnie bacznie śledzili zarządzenia władz centralnych i donosili swoim kolegom za Uralem o wyznaczonych rewizjach tajnych.

Zwykle zdarzało się tak, że już w Jekaterynburgu rewizor spotykał na stacji pocztowej Sybiraka, człowieka prywatnego, który ujmował nowego towarzysza podróży uprzejmością i grzecznością, bawił rubasznym dowcipem i w międzyczasie informował o kraju i jego mieszkańcach bardzo zręcznie, ze wschodnim podstępem i przebiegłością urabiając opinię rewizora.

Petersburski urzędnik w takim wypadku nie podejrzewał nawet, że wesoly, beztroski, hojny przyjaciel zawczasu był poddesłany przez gubernatora, prezesa sądu syberyjskiego lub izby skarbowej.

Taki był pierwszy błąd rewizorów. Popełniali oni jeszcze inny.

Jazda po marnych drogach syberyjskich, w niemożliwie trzęsących powozach, które, unoszone przez trójkę półdzikich koni, pędziły w dzień i w nocy, w tumanach śnieżnej zamieci i mroźnej mgły, była niezwykle uciążliwa i wyczerpująca.

Zziębnięty, głodny, zdrętwiały człowiek czuł się niemal

szczęśliwym, wchodząc do dobrze ogrzanej izby, gdzie stał stół z przygotowanym obiadem i szeregiem butelek różnych kształtów i kolorów. Mimo woli jadło się wtedy za wiele i piło się bez miary, po czym... panu radcy Safianowowi spadała troška z serca! Sprawa była załatwiona, bo udobruchany, trochę zażenowany, lecz ujęty serdecznym przyjęciem rewizor został ujarzmiony na zawsze. Roztkliwiony i niezupełnie przytomny nieopatrznie przyjmował upominki, ofiarowywane mu „ze szczerego serca“, tak bardzo krępujące w dalszym postępowaniu.

Tak też się stało i z baronem Alfredem Tollem.

Pod koniec obiadu u Rodionowych, najedzony, troszkę podпиты, obdarowany skórkami czarnych soboli, dwiema niezwykle puszystymi wydrami i błamem niebieskich popielic, zapalił sobie wonne cygaro holenderskie i uśmiechał się do opowiadającego anegdoty Safianowa.

Radca czuł się w wyśmienitym humorze, bo wiedział, że groźnego rewizora ma już „w kieszeni“. Przestał się więc obawiać przykrości, lecz przypomniawszy sobie, że się znajduje w kraju, obfitującym w znaczne bogactwa, postanowił czasu nie marnować i odpowiednią chwilę wyzyskać.

Skinąwszy na komisarza policji i urzędnika podatkowego, wyszedł z nimi do sąsiedniej izby i szepnął:

— Nie traćcie sposobności, braciszku! Ja tu już tego baronka ze swoich kleszczy nie wypuszczę, a wy tymczasem pochodźcie po chatach i czumach samojedzkich. Żądajcie wypłaty podatków,... a mówcie, że działacie z rozkazu rewizora.

— Podatków?! — przerwał zdumiony urzędnik. — Na jesieni ściągnęliśmy wszystko i to z lichwą, panie radco!

— E — e, czyś się wczoraj dopiero urodził, Piotrze Pawłowiczu?! — zachnął się Safianow. — Samojedzi albo wcale nie dostają od was pokwitowań, albo też kręcą z nich papirosy i spalają... W razie czego, powiecie rewizorowi, że żądacie nieuregulowanych dotąd podatków. Ale nie może tu być

żadnego gadania! Od czegoż jest nasz miły, energiczny komisarz policji Iwan Własowicz?! On z pewnością nauczy tuziemców zalecanego przez starożytnych mędrców zwyczaju — milczeć, milczeć i jeszcze raz — milczeć! Cha! Cha! Cha!

Po tej krótkiej naradzie Safianow powrócił do izby, gdzie rewizor pił herbatę z arakiem i konfiturami, przy czym oczy mu się kleiły, a głowa raz po raz opadała na piersi. Baron Toll odszedł wkrótce do przeznaczonego mu pokoju, aby wypocząć po podróży i zbyt obfitym obiedzie syberyjskim. Po chwili już spał, lecz i przez sen nie przestawał chwalić kawioru z jesiotra, wędzonych nelm, pierogów z „grużdiami“, jarząbków w sosie śmietanowym i placków, polanych konfiturą z malin.

Tymczasem w domach samojedzkich panował popłoch.

Urzędnik pokazywał im jakiś papier i żądał zapłaty podatków. Nic nie pomogły przysięgi tuziemców, że przed półrokiem ściągnięto z nich podatki oraz haracz, którym obłożyła ich policja. „Isprawnik“ i towarzyszący mu „uriadnicy“ wymachiwali pięściami i batami rozbijając nosy, wargi najbardziej opornych Samojedów i wyciągali ze schowków pieniądze lub najdroższe futra.

Prawdopodobnie sztuka ta udałaby się znakomicie, bo wójt Pyraga, ogarnięty strachem, w milczeniu przyglądał się bezprawiu i gwałtowi, gdyby nie syn Wotkuła, czternastoletni chłopak Ganga, który prędzej od innych uczniów Lisa posiadał był sztukę pisania i czytania.

Gdy urzędnik z policją wdarł się do domu łowca i zażądał od matki Gangi zapłacenia podatków, chłopak wystąpił naprzód i oznajmił:

— Ojciec mój Wotkuł jeszcze w sierpniu zapłacił wszystko!

— Łżesz! — ryknął komisarz policji. — Oto rozkaz rewizora a w nim stoi, że musicie płacić!

To mówiąc machnął przed twarzą chłopca papierem.

— Pokaż, naczelniku! — rzekł Ganga i szybkim ruchem wyrwał dokument z ręki komisarza.

Jakież było zdumienie urzędnika, gdy chłopak, wyraźnie i szybko sylabizując, odczytał:

— Lista opłaconych podatków w mieście Narymie...

Poszukawszy chwilę w spisie nazwisk, znowu przeczytał:

— Samojeń Wotkuł, łowiec, w wyznaczonym przez prawo czasie podatki opłacił, rubli srebrnych...

Komisarz nie czekał więcej, porwał papier z rąk Gangi, uderzył chłopca pochwą szabli i kopnął nogą. Po tak bohater-skim czynie spojrzął na swoich towarzyszy. Ci stali zmieszani i patrzyli na niego z niepokojem. Komisarz zastanowił się na chwilę, odchrząknął i marszcząc brwi mruknął:

— Nie chcecie płacić? Zaraz idę ze skargą do pana radcy Włodzimierza Safianowa, a on już wam pokaże, „gdzie raki zimują“! Dzikie bestie!... Łby dębowl!...

Urzednicy opuścili chatę Wotkuła i szli w stronę domu Rodionowa naradzając się po cichu.

Stary Pyraga, który sunął za nimi, przystanął nagle i ukrywając się za domem przeczekał aż Moskale oddalą się, po czym podążył szybko ku domowi Lisów. Wszedł i oniemiał.

Przy stole siedzieli Lisowie, a naprzeciwko nich Safianow i stary doktor Gruber, towarzyszący rewizorowi. Radca gubernialny czuł się jak na niemieckim kazaniu, bo istotnie doktor rozmawiał z zesłańcami po niemiecku. Wypytywał o stan zdrowia ludności, o sposoby i lekarstwa, które stosowała pani Julianna, chwalił ją, podziwiał jej wiedzę, a potem długo obiecywał przysłać dla niej całą paczkę z towarami aptecznymi, dziękował za skuteczną pomoc władzom i za szlachetną działalność, tak bardzo potrzebną w Syberii, pozbawionej pomocy lekarskiej.

Stary Niemiec tak się rozgadał, że nie dawał Safianowowi dojść do słowa.

Wreszcie radca zdążył wstawić pytanie:

— O czym mówiliście z panem rewizorem? — mruknął, spode łba, nieufnie patrząc na Lisa.

Zesłańcowi krew uderzyła do twarzy. Podniósł głowę i odparł z oburzeniem:

— Nikt nie ma prawa pytać mnie o to! Nie jestem aresztantem więziennym!

— Ta-ak? — przeciągnął Safianow. — A czy ty, bratku, wiesz, że ja cię mogę „w barani róg“ zapędzić, zniszczyć, zdeptać?

— Sądząc ze słów pana radcy, przypuszczam, że nie zatrzyma się pan przed żadnym gwałtem i niktzemnością, ale to stanie się z czasem... Teraz zaś wymawiam sobie poufałość względem mnie, żądam porzucenia owego „ty“ w rozmowie ze mną i radzę pamiętać, że w tej chwili znajduje się pan u mnie, w moim domu, w obecności kobiety... Nie chciałbym sprawić panu przykrości.

— Ach! Polecisz zę skargą na mnie do rewizora?! — zaśmiał się złośliwie Moskał.

— Nie! Tylko pan radca może wylecieć za drzwi... — ze spokojem odpowiedział Lis i podniósł szerokie bary.

— Och! Och! — parsknął śmiechem doktor Gruber. — Dobrze powiedziane... A ty, Włodzimierzu Iwanowiczu, strzeż się, bo widzę, że to zębaty wilk, choć nazywa się Lis! Cha! Cha! Cha!

Zesłaniec spostrzegł Pyrage, dającego mu jakieś znaki.

Wstał i wyszedł za nim do sieni. Wójt opowiedział mu o gwałtach, dokonywanych przez urzędników, odgrządzających się zemstą Safianowa.

Lis zamyślił się. Zrozumiał dokładnie, że przed chwilą uczynił sobie z Safianowa nieprzejednanego wroga. Należało więc usunąć go raz na zawsze.

Postanowił też działać bez zwłoki.

— Słuchaj i zrozum dobrze! — szepnął do wójta. — Obiegnij domy i czumy Samojedów, zbierz wszystkie papiery,

jakie przechowują tuziemcy w skrzyniach i skrytkach, a gdy Safianow z doktorem odejdą, przynieś mi to wszystko!

Przez kilka chwil jeszcze szeptał coś do ucha Samojedą, przekonywał i objaśniał.

— Rozumiem — kiwnąwszy głową odparł wreszcie Pyraga. — Biegnę!

Lis powrócił do izby, gdzie dr Gruber przeglądał nowy poradnik lekarski, napisany po niemiecku przez Czecha Jungmana, rektora uniwersytetu w Pradze, zaopatrzony w rysunki, których stary Gruber nigdy nie widział. O medycynie bowiem naczelnny lekarz syberyjski od dawna zapomniał był doszczętnie. Zamiast gruntownej wiedzy posiadał dyplom doktora medycyny, zdobyty na uniwersytecie dorpuckim i to wystarczało mu najzupełniej. Toteż gdy Gruber znalazł po chwili na półce z książkami inne znowu dzieło, Johanna-Helfericha Jungkena „O środkach leczniczych naturalnych i sztucznych“, ucieszył się bardzo i trzaskając w palce wykrzykiwał:

— O! O! To, dzieło! Wielkie dzieło... sławne!

Pani Julianna, zaniepokojona utarczką męża z Safianowem, nie mogła jednak powstrzymać ironicznego uśmiechu.

Wprowadzające doktora Grubera w zachwyty dzieło Jungkena, od dawna już było zapomniane przez lekarzy jako przestarzałe i w wielu wypadkach posiadające poważne błędy. Pani Lisowa miała je wyłącznie z powodu załączonego doń spisu wszystkich znanych ziół i innych roślin leczniczych. Nie powiedziała tego jednak pani Julianna i spokojnie wysłuchiwała zachwyty starego Niemca.

Radca Safianow palił fajkę i milczał rzucając złośliwe spojrzenia na gospodarzy.

Wreszcie wytrząsnął popiół i mruknął:

— Doktorze, chodźcie już! Pan rewizor przespał się na pewno i zechce zwiedzić miasto. Musimy mu towarzyszyć, aby różni „donosiciele“ nie wprowadzili go w błąd.

To mówiąc wyraziście spojrzął na Lisa i wyszedł, nie skinąwszy mu nawet głową. Gruber długo potrząsał ręką pani Lisowej i znowu obiecywał jej dostarczenie paki z lekarstwami i materiałem opatrunkowym, a więc z szarpią, płóciennymi bandażami, proszkiem węglowym, „piekielnym“ kamieniem i wszystkim, co posiadał na składzie w Tomsku.

Ledwie się drzwi za gośćmi zamknęły, pani Julianna rzuciła się do męża.

— Władeczku! Cóż teraz będzie? — szeptała. — Przecież on gotów zgnać ciebie, ten ohydny gbur Safianow? Ma takie złe oczy... Boję się o ciebie!

— Z pewnością, że już obmyśla dla mnie jakąś przykrą niespodziankę... Jest to wróg niebezpieczny, mający tysiące sposobów szkodenia nam. Nie mogę liczyć na szlachetność z jego strony, nawet jeśli się przekona, że nic o nim z baronem Tollem nie mówiłem. Na takiego wroga należy same-mu niezwłocznie napaść, uprzedzić jego atak, obezwładnić lub zgnieść do reszty. To też zamierzam dziś jeszcze uczynić.

Zamknął drzwi szczelnie, wyjrzał przez okno, aby się przekonać, że nikt ich nie podsłuchuje i jął objaśniać żonie swój plan. Pani Julianna słuchała uważnie, a gdy mąż umilkł, namyślała się długo, aż wreszcie rzekła:

— Inaczej chyba nie można postąpić! Dobrze to sobie ułożyłeś! Reszta będzie zależała od rewizora...

— Wygląda na człowieka oświeconego i uczciwego — odparł Lis i nagle wstał i podszedł ku drzwiom szepcząc:

— Pyraga wraca! Ciekaw jestem, co przynosi z sobą i co z tego można będzie zrobić?!

Wójt wszedł i zdyszczanym głosem zawołał:

— Obiegnę wszystkich naszych, objaśniłem, nauczyłem ich, jak kazales i zabrałem do ostatniego skrawka papiery, które znalazłem po chatach i czumach.

— Dobrze! — rzekł Lis. — Moja żona da ci kubek her-

baty. Pij i milcz, mój stary, bo muszę uważnie przejrzeć te szpargały.

Rozłożywszy na stole przyniesione przez Pyragę papiery, przeglądał je uważnie. Były to pożółkłe arkusiki lub pasemka o wypłowiałych pieczęciach i literach, było też kilka nowych kartek, na których widok zesłaniec ucieszył się niewymownie.

— Patrzcie! — zawołał z cichym śmiechem. — Moskale chcieli pobrać podatki od Wotkuła i starego Rabaha, a tymczasem tu „czarne na białym“ stoi, że zapłacili wszystko, co zostało im wyznaczone! Zbrodnia niewątpliwa! Dostał się do matni pan radca!

Wertując papiery wziął do rąk zwinięty w trąbkę jakiś gruby pergamin. Chciał go odłożyć na bok, lecz nagle coś go tknęło, więc rozwinął i jął czytać.

Był to stary dokument, pisany zawiłym staroświeckim stylem, który prędko znużył Lisa tym bardziej, że wyrazy, złożone z fantazyjnych, kunsztownie połączonych ze sobą liter, nie dawały się z łatwością odczytać. Nagle, rzuciwszy okiem na koniec manuskryptu, pan Władysław zdumiał się. Ujrzał bowiem wielką pieczęć cesarską i podpis „Katarzyna“. Wtedy wyteżając wzrok zabrał się na dobre do czytania rzadkiego dokumentu.

Skończywszy westchnął z ulgą i zawołał radośnie:

— A to dopiero odkrycie! Czy wiecie, co jest zawarte w tym starym pergaminie? Jest to orędzie cesarzowej Katarzyny Wielkiej, która udziela Niżowym Samojedom, przesiedlonym na obszary pomiędzy rzeką Wach a Jenisejem i Kecią, pozwolenia na wieczne czasy polować, uprawiać rybołówstwo, grzybo- i orzechobranie, przemysł leśny i rolny bez żadnych opłat i podatków, w nagrodę za dobrowolne przyłączenie się do imperium rosyjskiego. Nie ma co! Pięknie spełniają rozkaz cesarzowej syberyjscy urzędnicy!

Ochlonawszy ze zdumienia i oburzenia Lis spytał wójta:

— Gdzieżeście wygrzebali ten dokument, Pyraga?

— Dała mi go żona Wotkula — odpowiedział Samojed.

— Wotkula?! Dlaczegoż to on przechowywał tak ważny dla nas wszystkich rozkaz cesarzowej? — dopytywał zesłaniec.

— Wotkul jest prawnukiem naszego ostatniego księcia, Czarnego Nolgi-Ujuka — rzekł poważnym głosem Pyraga.

— No, tak czy owak — zawołał Lis — już ja wezmę teraz w obroty owego brutala — Safianowa! Gdyby nawet był węgorzem, nie wysłizgnie mi się teraz! Ho! Ho! Poigram z sobą, panie radco! Gra to będzie nie lada!

Przysiadł się do wójta i jął go pouczać, jak należy postąpić, gdy rewizor będzie zwiedzał miasteczko i wybadywał jego mieszkańców. Długo tłumaczył, namawiał, aż Samojed odsapnąwszy, głośno zmrużył jedno oko i mruknął:

— Teraz pojąłem wszystko! He? Chyba zrobimy koniec z Safianowem, komisarzem Rusinowem i Kriwonogowem, co?

— To się pokaże, mój przyjacielu. A teraz leć i wszystko przygotuj, aby składnie poszło, dostojnie, bez krzyków, lamentów i hałasów!...

Wójt nacisnął na głowę kosmaty „małachaj“ jeleni i szybko opuścił dom Lisów. Zesłaniec ułożył papiery w porządku i schował w zanadrzu kurty.

— Wyjrzyj — no, Julianko, na dwór, czy Toll nie wyszedł już na przechadzkę? — rzekł Lis do żony wciągając na nogi ciepłe buty.

Powróciwszy po chwili pani Lisowa opowiedziała, że tłum oczekuje już przed domem Rodionowych.

— Tedy czas i na mnie! — rzekł zesłaniec i spojrzawszy na obraz Matki Boskiej Częstochowskiej przeżegnał się i dodał:

— Trudno! — Gdzie siłą nie można, tam politykować radzą ludzie mądrzy.

Westchnął i dorzucił:

— Choć, prawdę rzekłszy, wolalbyśmy po naszymu wal-

nać tego nikczemnika radcę kulakiem w leb i amen z nim zrobić...

— Władku! — upomniała go pani Lisowa, z przerażeniem patrząc w nagle spochmurniałe oczy męża.

— Wiem... wiem, że nie czas po temu... — mruknął machnąwszy ręką. — Toteż chcę go walnąć nie kulakiem, a pieczęcią carowej Katarzyny!...

Podszedł, ucałował żonę w czoło i pochylił głowę, bo podniosła była właśnie dłoń, aby go pobłogosławić. Wiedziała przecież i nieraz sama już doświadczyła niebezpiecznych skutków zatargu z władzami. Władysław Lis zamierzał zaś wydać walną bitwę władzom syberyjskim, on — bezprawny zesłaniec, za którym nikt wszakże ująć się nie mógł. A jednak Julianna rozumiała dobrze, że innego sposobu nie było.

— Boże dopomóż mu, biedakowi, cierpiącemu za ojczyznę umęczoną, naucz i broń tego człowieka, bo czysty, szlachetny jest ten sługa Twój wierny, Boże Wszzechmożny! — szeptała słysząc kroki męża, zbiegającego ze stopni ganku.

Lis dogonił tłum, towarzyszący rewizorowi, który w otoczeniu urzędników i policji szedł jedyną ulicą Narymu i rozglądał się dokoła, zgnębiony nędznym wyglądem miasteczka i żalobnym, smutnym krajobrazem — białą płaszczyną śnieżną, odciętą od wschodu i zachodu czarną ścianą tajgi.

Gdy orszak przechodził koło chaty Wotkula, zbliżył się do rewizora czupurny Ganga. Na bladej twarzyczce chłopca płonęły śmiałe, czarne oczęta.

— Naczelniku! — zawołał mały Samojed. — Gdyś spał, policja chciała skrzywdzić nas biednych, zawsze cichych tuziemców. Żądano od nas po raz drugi wypłaty podatków, już ściągniętych z nas. Zażądaj, naczelniku, od komisarza listy płatników, a my ci złożymy dowody, że policja i urzędnik podatkowy postępują wbrew prawu!...

— Co to, jak śmiesz?! — krzyknął Safianow podbiegając do Gangi, lecz baron Toll zatrzymał go skinieniem ręki i rzekł:

— Muszę zbadać tę sprawę, panie radco, no, i pan też przede wszystkim... Kto twierdzi, że policja żądała nieprawnych podatków?

Z tłumu wystąpiło kilku Samojedów i Samojedek. Ponurymi głosami opowiadali o znęcaniu się nad nimi, o ilości zabranych rzeczy i pieniędzy, o groźbach zemsty Safianowa, którego, jak mówili, ludzie boją się więcej niż zarazy morowej. Oskarżenia padały ciężkie, okropne, a wszyscy potwierdzali je zgodnym chórem cichych, pełnych rozpaczyny głosów:

— Prawdę mówimy! Tak było. Na Wielkiego Ducha, tak było!

Urzędnicy, a nawet sam Safianow przybledli i struchleli. Baron Toll podniósł głowę. Usta mu drżały. Oburzonym głosem zapytał:

— A może kłamiecie? Może istotnie zalegaliście z podatkami?

— Nie, naczelniku! — odezwał się wtedy wójt Pyraga. — Podatki zostały dawno uiszczone. Dziś z rozkazu komisarza policji chodziłem razem z nim i urzędnikami po chatach i widziałem, że żądali na twój rozkaz pieniędzy i drogich skórek; bili, kleli i odgrażali się, że skarżyć się będą radcy Safianowowi, który się zemści... Niech pokażą listę płatników, naczelniku, a my...

— Pokazać i natychmiast sprawdzić listę — krzyknął Toll.

Drżący ze strachu urzędnik podatkowy jął wykrzykiwać nazwiska Samojedów.

Jeden po drugim wychodzili i odpowiadali surowym głosem:

— Jestem! Zapłaciłem!

— To straszne! — zawołał baron Toll. — Za takie nad-

użycie władzy nie ma dostatecznie ciężkiej kary! Surowo odpowiecie przed sądem! Uczynię wszystko, poruszę cały rząd, aby ukarać winnych!! Zbrodnia! Hańba!

Komisarz policji upadł na kolana przed rewizorem i jął szlochać:

— Panie, panie, litości! Jestem obarczony liczną rodziną... Nie moja w tym wina, bo to pan radca Safianow kazał mi dopomóc urzędnikowi w pobraniu podatków po raz drugi w tym roku! To już działo się kilkakrotnie na rozkaz pana radcy. Ja... mały człowiek, nie mogę sprzeciwić się woli mego przełożonego!...

Baron słuchał, a komisarz, ośmielony tym skwapliwie opowiadał różne szczegóły z działalności radcy gubernialnego.

— Cóż powie na to wszystko pan Safianow? — zapytał wreszcie rewizor z pogardą patrząc na radcę.

Ten milczał. Rozumiał, że nawet przy jego zręczności i wpływach gra została przegrana.

Wtedy to z tłumu wystąpił Władysław Lis.

— Sprawiedliwy człowiek! Sprawiedliwy człowiek! — przeszedł pomruk w tłumie.

— O kim mówicie? — zdziwił się rewizor, lecz ujrawszy bladego ze wzruszenia Lisa, zrozumiał, że Samojedzi nazywali tak zesłańca polskiego.

— Panie rewizorze! — zaczął Lis, prostując się po wojskowemu. — Ci bezbronni, ciemni ludzie powierzyli mi różne dokumenty, chociaż nie wiedzieli, ile są one warte. Proszę! Oto kwity, świadczące o uiszczeniu podatków; a ten dokument jest najważniejszym dowodem bezprawia, którego dopuszczały się władze miejscowe. Orędzie cesarzowej Katarzyny Wielkiej, znoszące wszelkie podatki Samojedów! Tymczasem pobierano je od dziesięciu lat, od roku urzędowania pana radcy Safianowa, który dobrze wie o istnieniu tego dokumentu państwowego, wie... bo na odwrotnej jego stronie można dostrzec...

To mówiąc Lis podał pergamin baronowi, a ten zmrużywszy oczy odczytał na głos:

— Zrobić odpis dla mnie i przesłać niezwłocznie.

Starszy Radca Gubernialny Włodzimierz Safianow.

Rewizor zacisnął wargi i wyszeptał:

— Zbrodnia! Hańba!!

Zapanowało milczenie i trwało długo. Toll namyślał się, co ma czynić dalej; tłum wpatrywał się w niego uporczywie i czekał mocnego, stanowczego słowa. Po chwili rewizor jął pisać coś w swym notatniku pytając o nazwiska urzędników, a potem rzekł:

— Panowie natychmiast odjadą do Tomska i zameldują się u prokuratora, jako oddani przeze mnie pod sąd. Proszę iść! Żadnych wyjaśnień nie przyjmuję... Złożą panowie swe zeznania przed sądem, na którym będę obecny!

Zbliżywszy się do Lisa, zapytał:

— Co mógłbym uczynić dla pana? Wyświadczył pan rządowi niebywałą przysługę!...

— Panie baronie — odparł smutnym głosem zesłaniec — uczyniłem to w imię sprawiedliwości i sympatii dla tych bezbronnych ludzi, którzy mnie przyjęli przyjaźnie i z zaufaniem. Zaryzykowałem, gotów jestem cierpieć za to! Wiem jednak, że mściwość władz mogłaby mnie rozłączyć z żoną, a to, z pewnością, zabiłoby nas! Proszę więc obronić mnie przed zemstą pana Safianowa i jego pomocników. Przykro mi jest o to prosić pana, lecz robię to przez wzgląd na kobietę, która tyle wycierpiała!

— Pan może być pewny, że włos wam z głowy nie spadnie! — zawołał rewizor. — Rola Safianowa skończona na zawsze, a inni też tu nie pozostaną. Rozpędzę wszystkich na cztery wiatry!

Baron Toll zaperzył się i tupnął nogą.

— Doktorze — rzekł, zwracając się do Grubera, — musimy razem z panem odwiedzić domy tych skrzywdzonych,

sponiewieranych biedaków! Oświata tu potrzebna, doktorze, uczciwy nauczyciel, rozsądny lekarz, ściśle, ale też i litościwie wykonywujący prawo urzędnik!

— *Ja! Ja! Natürlich!* — mrucał stary Niemiec, wzburzony całym zajściem, gdyż, chociaż był to marny, zacofany lekarz, pozostał jednak uczciwym człowiekiem.

Przed dom Rodionowa zajeżdżały z brzękiem dzwonekówsanie, które wkrótce odjechały uwożąc przerażonych urzędników syberyjskich.

ROZDZIAŁ VII

LUDZIE CZYNU

Rewizor posłany z Petersburga od dawna już odjechał. Życie Narymu, wzburzone nieoczekiwanymi, a tak doniosłymi wypadkami, weszło już było na dawne tory. Nikt więcej nie zaglądał do małego miasteczka, które potrafiło zadać cios występnej działalności samowładnych urzędników. Dopiero około kwietnia doszły tam wieści, że w marcu odbył się sąd na radcą Safianowem i kilku innymi urzędnikami, że zostali oni skazani na pięć lat więzienia, że wyznaczona wreszcie rewizja senatorska usunęła gubernatora, gdyż dowiedziono mu udziału w sprawach łapownictwa, szeroko uprawianego w rządzonym przez niego kraju.

Doktor Gruber spełnił przyrzeczenie i przysłał pani Lisowej duży zapas środków leczniczych i materiałów opatrunkowych, a baron Alfred Toll z własnego popędu wystarał się dla Władysława Lisa o dostarczenie mu z komisji oświatowej podręczników szkolnych, map ściennych, zeszytów, piór i atramentu dla uczniów.

Cisza i spokój panowały w Narymie, zasypanym śniegiem.

Zima zbliżała się już ku końcowi. Codziennie do miasteczka powracali łowcy, spędzający ten czas w tajdze. Przychodzili obarczeni zdobyczą. Nieśli ją na plecach lub wieźli

na wąskich, podłużnych saneczkach — „nartach“, ciągniemych przez renifery lub psy.

Na ostatku powróciła z łowów partia, złożona z czterech najlepszych myśliwych: Wotkuła, Gasty, Robaha i sędziwego Gangi. Czworo sani, naładowanych skórami, mięsem i rogami jeleni i losi, szło za nimi. Za łowcami biegły czujne, mądre łajki, wychudłe, kosmate i zawsze ponure.

Cała ludność wysypała na spotkanie przybywających, aby powitać ich i obejrzeć zdobycz łowiecką. Szerniali na mroźnym wietrze, osmoleni dymem ognisk, z popękaną skórą na wargach i rękach, mieli wygląd ludzi znużonych śmiertelnie, wyczerpanych do reszty.

Siadali przed swymi domami, zapalali małe gałązki miodrzewiu i okadzali się, szepcząc dziękczynne modły do Nummy — Wielkiego Ducha, który szczęśliwie doprowadził ich do rodzinnego domu i drogich istot. Żony i dzieci łowców odwiązywały rzemienie, odprzęgały renifery, zdejmowały skóry i futra z nart i pokrzykiwały radośnie na widok cennej i obfitej zdobyczy.

Żona Wotkuła i mały Ganga rozwieszali w przewiewnej kleci skóry niedźwiedzie, losiowe, jelenie, sarnie; liczyli wiązanki skórek popielic, lisów, kun, tchórzów, gronostajów i lasic, podziwiali piękne futra soboli, wydr, rosomaków, rysiów, zawieszali na hakach szynki niedźwiedzie, ozory, wycięte losiom i jeleniom i długie pasma mrożonego mięsa.

Tegoż dnia Władysław Lis zapukał do chaty Wotkuła.

Samojed spał jeszcze, lecz posłyszawszy głos przyjaciela, stękając, zwał się z tapczanu i serdecznie uściśnął rękę Polaka.

Zeslaniec opowiedział Wotkułowi o wizycie rewizora, zajściu z Safianowem i o zapadłym wyroku sądowym, raz na zawsze pozbawiającym zbrodniarza możliwości powrotu.

Wysłuchawszy uważnie opowiadania Wotkuł pokiwał głową i mruknął:

— Obroniliście nas przed wyzyskiem... Tego wam Samojedzi nigdy nie zapomną! Dobrze jest, że Safianow już nie powróci... lecz miejcie się na baczności, przyjacielu!

— Czegoż się mam bać? — spytał zdumiony Lis.

— Pamiętajcie, że „ręka rękę myje“. Oni tu ze sobą wszyscy związani i jeden drugiego broni... Nie ma Safianowa, lecz pozostali jego przyjaciele, którzy jeżeli zechcą, zemszczą się na was za swojego herszta... O, oni to umieją! Bądźcie ostrożni i przebiegli jak lis, jak prawdziwy lis, co to myszkuje w tajdze!

Słowa Samojedza utkwily w pamięci zesłańca. Postanowił mieć się na baczności i unikać zatargu z władzami.

Wotkuł opowiadał obszernie o łowach tegorocznych w okolicy „Łosiowych Jarów“, gdzie znalazł kilka gniazd sobolich, a na małych dopływach Jeniseju — nory wydr, które schwytał w sidła. Żegnając przyjaciela Samojed raz jeszcze napomknął mu o możliwym niebezpieczeństwie zemsty ze strony przyjaciół Safianowa.

Zesłańcy nie zmieniali trybu życia.

Lis od rana do południa uczył dzieci, pani Julianna krzątała się po domu. Przy obiedzie i potem, aż do wieczora, spędzali czas razem rozmawiając o różnych sprawach; przypominali sobie ubiegłe lata miłości i cierpień, nadziei i rozpacz na widok upadającego powstania, tak wspaniale rozpoczętej walki o wolność, lecz przegranej na skutek niezgody, panującej w kołach naczelnego dowództwa, oraz innych niesprzyjających i nieprzewidzianych okoliczności. Wieczorem zjawiała się nowa partia uczniów, dorosłych, a nawet takich, którym siwizna mocno już przyprószyła czupryny. Lis znowu zmieniał się w nauczyciela, a pani Julianna szła do chorych; albo też w przyległej izbie uczyła sąsiadki haftu i kroju.

Otoczeni przyjaźnią i szacunkiem całej ludności pędzili swój żywot wygnańczy, niosąc oświatę i pomoc ciemnym, bezbronnym mieszkańcom tego zapadłego kąta Syberii.

Pewnego razu zjawiała się u nich starszyzna samojedzka z wójtem na czele.

— Sprawiedliwy człowieku i przyjacielu! — uroczystym głosem rozpoczął starzec swe przemówienie. — Rada Samojedów Niżowych uchwaliła wynagrodzić cię za to, coś dla nich uczynił zwalniając od uciążliwych podatków. Od dnia dzisiejszego pasmo Obi pomiędzy potokiem Gurzy a rzeczką Czoroch należy do ciebie. Tylko ty możesz rzucać tam sieć i łowić ryby!

— Dziękuję wam! — zawołał wzruszony Polak. — Niech jednak tam ktoś inny zajmie się połowem, bo ja nie mogę z tego skorzystać. Nie mam ani łodzi, ani sieci!

— Pomyśleliśmy już i o tym! — odparł Wotkuł. — Nasze kobiety i dziewczęta już plotą dla ciebie niewód, więcierze i mereże, a młodzież przystąpiła do wypalania z pni modrzewiowych czółen dla ciebie. Chłopaki wiją nawet dla ciebie sznury z włósia na wędki, a kowal Basaryn wykuwa haki i ostrza do ości... Ha! Nim nastąpi „wonz“, staniesz się posiadaczem całego rybackiego taboru, przyjacielu!...

Lis nic już nie mówił. Ścisnął ręce pocziwych, wdzięcznych Samojedów, a w oczach miał łzy.

Od tej rozmowy upłynął jeszcze miesiąc.

Pewnej nocy straszliwy hałas obudził Lisów.

Długo nie rozumieli, co się mogło stać, lecz huk i ogłuszający, zgrozą przejmujący trzask powtórzyły się jeszcze raz, jak gdyby kilkanaście dział w jednej i tej samej chwili dało ognia.

Rozległy się trwożne krzyki, nawoływania, tupot nóg biegnących w popłochu ludzi; z małej cerkiewki, gdzie tylko dwa razy do roku odprawiano nabożeństwo, rozległ się jękli-

wy głos dzwonu alarmowego. Był to tak zwany „nabat“, sygnał ognia lub innej klęski, nawiedzającej miasteczko.

Lis ubrał się szybko i wypadł z domu.

— Co się dzieje? — spytał biegnącego rybaka Elisejewa.

— Ob łamie lód, tworzy „zator“ i już występuje z brzegów... Zaczyna się powódź! — odrzyknął przerażony sąsiad i zmieszał się z tłumem, zgromadzonym na placyku.

Zesłaniec nie zatrzymując się pobiegł ku brzegowi Obi. Już po drodze przekonał się, że rybak mówił prawdę. Dość było spojrzeć na małą w porównaniu do Obi rzekę Keć i jeszcze mniejszą Narymkę.

Ukryty pod szerniałym lodem prąd ich wzbierał z każdą chwilą, podnosił zamarzlą skorupę, a woda coraz bardziej zalewała niski zdiar i już pluskała pod zwisającymi nad urwiskiem wysokiego brzegu nagimi pędami krzaków.

Lis dobiegł wreszcie do Obi.

Stała tu gromadka ludzi, przyglądających się rzece.

Brzask — mętny i słaby — sączył się już wokół, a w jego niepewnym, zwodniczym świetle wszystko nabierało tajemniczych, potwornych kształtów i barw.

Lód i śnieg na Obi wydawał się zupełnie czarny.

Na jego powierzchni, tam i sam, z trzaskiem tworzyły się szczeliny i, jak chybkie węże, biegly w różne strony bluzgając spienioną falą.

Szerokie przeręble, chroniące przed „zamorem“, znikły, bo Ob zerwała już była połacie swej lodowej pokrywy i zamknęła nimi wolną przestrzeń. Chwilami zdawało się, że ciężkie, z szalonym wysiłkiem wydobyte westchnienie podnosi twardą, zmarzniętą na kamień pierś mocarnej rzeki, — tak Ob podnosiła i opuszczała nagle swój pancierz zimowy. Wtedy tworzyły się nowe szczeliny, wyrwy i leje, a z nich wytryskały potoki brunatnej wody, wyrastały pagórki i grzędy na miał przetartego lodu tworząc „torosy“.

Tu i tam z pluskiem i loskotem obsuwały się olbrzymie

tafle lodowe i znikaly w szalonym nurcie rzeki; inne nasuwały się na ich miejsce, wślizgiwały się, gramoliły na twardą powierzchnię, łamiąc się i rozsypując w ostre szklwie, dzwonne, szeleszczące, zgrzytliwe. Prąd z wściekłością wyrzucał wciąż nowe stosy odłamków i mialu, gromadził je w piętrzące się coraz wyżej i dalej „torosy“, niósł pod okrywającą go skorupą płynące z południa kry, wypełniał nimi łożysko rzeki, przegradzał rozszalalej strudze jej drogę ku oceanowi, wznosił potężne tamy, których przełamać, zdruzgotać nie mogła rozbestwiona, pianą wirów okryta Ob.

Gdy słońce wyjrzało spoza mgławic przedświtu, rzeka wzbierać zaczęła gwałtownie. Struga żółtej wody, niosącej piaski altajskie i burą glinę stepów kirgiskich, nie mieściła się już w swym korycie odwiecznym.

Zwęziło się ono bowiem przez zimę, gdyż przy brzegach, na łachach piaszczystych, koło wysp nizinnych, na mieliżnach źdźmiarowych rzeka przemarzła do dna i w murze lodowym z trudem, z rozpaczliwym wysiłkiem, sykiem i pluskiem musiała drążyć nowe łożysko. Co chwila wypełniały je po brzegi i przegradzały zbite w jeden zwal odłamki lodu, przyniesione z daleka pnie porwanych drzew, nagromadzone lawice piargu i żwiru.

Ostatnim wysiłkiem wezbrał rozhukany wart, nacisnął, odbiegł był na chwilę krótką, cofnął się i — znowu runął naprzód z łoskotem i trzaskiem podnoszonego, szarpanego, łamanego lodu, zderzył się z tamami w korycie, cisnął na nie nowe gromady mknącej kry, zawirował, plusnął olbrzymią falą i ryknął rozpaczliwie wściekłym głosem burzących sił.

Z ogłuszającym skowytom i łomotem wylatywać jęły w powietrze całe pola lodowe, odłamki i tafle ich padały na stromy spych, tworząc skrzące się w słońcu nasypy.

Tamy wszakże nie puściły... i Ob z groźnym pomrukiem wylała, zatapiając łachy porośle wikliną, dolinę całą,

aż hen — pod Wilczy Jar, gdzie wstrzymały ją pagórki, wrzosami i jałowcami okryte.

Szybko spływała brunatna, spieniona woda do kotlin, rozłogów i wąwozów, przez ulicę wpadała na placyk Narymu i otaczała osiedle ludzkie jeziorem bezkresnym.

Lis zdążył do domu przed ostatecznym wylewem Obi i Keci.

Całe pięć dni mieszkańcy miasteczka spędzili w domu, osaczeni przez falującego napastnika, który przy każdym podmuchu wschodniego wiatru głośno pluskał i ciskał bryzgi na szyby okien, jak gdyby wedrzeć się chciał do siedzib ludzkich i stoczyć tam ostatnią walkę.

Jedna po drugiej padały i kruszyły się topniejące tamy w łożysku rzeki; woda ściekała tą samą drogą poprzez ulicę, jary, rowy i niziny, do koryta Obi i Keci, a resztę, pozostającą w kotlinach i zagłębieniach, wypila, wessała budzącą się do życia ziemia, na głębinię od wieków i na wieki od mrozów i zimnych wichrów północnych na kamień stwardniała.

Ludzie poczuli teraz wychodzić z domów i rozglądać się po okolicy.

Dzieciaki jęły chwycić ryby, pozostałe w wykrotach, a nawet wprost na łąkach, gdzie młoda trawa lekliwie, nieufnie przebijała się już poprzez warstwę zwarzonych przez mrozy zielsk.

— „Wonż“ nadchodzi... „wonż“!

Jednak te z pożądaniami oczekiwane dni nastąpiły dopiero w połowie maja, o dwa tygodnie niemal wcześniej, niż zwykle.

Widocznie, gdzieś na stepach Kulundy lub w górzystym Altaju, skąd swój bieg rozpoczynała Ob, od pierwszych dni wiosny ustaliła się była ciepła pogoda.

Niezliczona masa ogrzanej wody szybko roztopiła lód na rzece i wylała się do oceanu ciepłym prądem.

Gonione instynktem ryby, zbite w olbrzymie ławice, już

podpływały do ujścia rzek, wynurzając się z otchłani morskiej, aby dążyć ku południowi, ku czystym źródłom, tryskającym z piersi gór; w biegu swym do miejsca składania ikry zwalczyć musiały wartki prąd rzeki, nagromadzone na jej dnie głazy i zwaliska skamieniałych drzew, borykać się z przewalającymi się przez nie z pluskiem, wirującymi strugami wodospadów, unikać rozrzuconych przez rybaków pułapek — jazów, niewodów, więcierzy, sznurów, najeżonych chwytymi hakami, w popłochu kryć się przed pościgiem fok, szczupaków i drapieżnego ptactwa.

Poczuwszy ciepły prąd, wpadający do oceanu, niezliczone stada ryb stłoczyły się w ujściu Obi i jęły sunąć na południe, wchodzić do mniejszych dopływów, wpadać do małych cichych zatok — „sorów“ lub nawet na zalane powodzią niziny.

Sprawni, czujni łowcy nie przepuścili tych kilku zaledwie dni „wonzi“.

Na Obi kołysały się już łodzie z piętzącymi się na nich stosami świeżo osmolonych sieci; na mniejszych rzekach, jak Wach, Keć, Połoj, Samojedzi zbudowali zapory, czyli jazy, w których pozostawili dla ryb jedno tylko przejście do głębokiego kosza lub do „ging“ — dużych mereży, z prętów wikliny splecionych; po „sorach“ rozrzucono więcierze i inne samolowy; po okrytych wodą łąkach pływały małe czółenka, z których rybacy chwyтали zdobycz: w dzień za pomocą „krzywdy“, tj. sieci na trójkątnej ramie, a w nocy ościeniem o pięciu zażębionych ostrzach.

Cała ludność wyległa na połów.

Kobiety, a nawet i dzieci „brodniami“ wylapywały szczupaki, okonie, płotki i karasie po kałużach, rowach i małych jeziorkach torfowych.

Władysław Lis od kilku już dni razem z innymi rybakami cały czas spędzał na rzece. Łódź jego, wypalona z moc-

nego pnia modrzewiowego, obszerna była, zaopatrzona w jeden maszt o szerokim, prostokątnym żaglu, dwie pary wiosel, duży zwój sieci i kilka ości. Jednak pojedynczy człowiek, mimo że zwrotna była łódź Lisowa, nie dałby sobie z nią rady.

Wiedzieli o tym przyjaciele narymscy i wyznaczyli mu do pomocy Szymona Rodionowa i Gange, syna Wotkuła. Obaj chłopcy z radością wsiedli do nowej łodzi i przyrzekli sobie w duchu, że uczynią wszystko, aby Lisowi połów udał się tak, jak staremu, doświadczonemu rybakowi. Na pewnej odległości od łodzi w małym czółenku płynął kulawy Garas, wyrostek samojedzki — sierota niespełna rozumu.

Z dołu rzeki nie sygnalizowano jeszcze o zbliżeniu się głównej „wonzi“, więc chłopcy wraz z Lisem badali teren łowów. Wkrótce za pomocą bosaków ściśle określili szerokość większych łąch, poznali wszystkie głębokie doły — „jury“ na dnie, obejrzelili i wymierzili większe zatoki — „sory“, a w kilku potokach, wpadających do Obi, naprędce zbudowali „jazy“, przy ich ostrym końcu zakładając zwykle „mordy“ — podłużne kosze, z jednym wąskim otworem, przez który wchodziła ryba, lecz wyjść już z potrzasku nie mogła. Z niezwykłą szybkością splółł je kulawy Garas bezustannie roześmiany.

„Wonż“ odbywa się zwykle nie jednocześnie, lecz dla każdego gatunku ryb z osobna.

Toteż niewód Lisa zagarniał przez kilka dni liny, mok-suny i nelmy, w następne zaś różne sigi: pospolitą sigę, pyż-jany i szczokury (*Cosegomus polkur* i *nasus*), aż wreszcie rybacy zmuszeni byli wskakiwać do wody i staczać bitwy z olbrzymami rzecznyymi — ogromnymi, ważącymi nieraz do stu kilogramów jesiotrami, sterletami, tajmieniami, należącymi do rodziny łososi i miętusami. Te ciężkie, silne ryby, wpadające do sieci, zaczynały się w niej miotać, a ciągnąc ją na głębinę, wlokły za sobą łodzie rybaków.

Pewnego dnia w sieci Lisa uwikłała się jakaś bardzo duża ryba.

Widać było, jak kotłowała się i pienila woda, którą smała potężnym ogonem szamocąca się w niewodzie zdobycz. Snadź posiadała ogromną siłę, gdyż zaczęła holować za sobą oba czółna, ciągnąc je na najgłębsze miejsce łóżyiska rzeki.

— Zrzuć sznury z kamieniami, aby hamowały ruch łodzi! — krzyknął do Lisa młody Samojeed. — Inaczej ryba wywlecze łodzie na wart i przewróci nas albo przerwie sieć!

Lis opuścił za burtę uwiązane do liny kamienie; wlokły się po dnie, zawadzały o leżące na nim pnie drzew i znacznie zwolniły bieg łodzi.

Kilka razy jeszcze ryba usiłowała powtórzyć manewr, lecz zmęczona w końcu pozostała bez ruchu.

Młody Rodionow zaczął szybko się rozbierać.

— Dlaczego to robisz? — spytał Lis.

— Wskoczę do wody i spróbuję ostrożnie podciągnąć matnię niewodu na mieliznę — odparł chłopak.

— Dobrze! — zgodził się Ganga. — Wtedy uspokoimy naszego jeńca.

Sienka dał nura i długo nie pokazywał się na powierzchni.

Gdy wypłynął, otrząsając z głowy wodę, glinę i wodorosty, zawołał:

— Takiego jesiotra dawno nie schwyłano na Obi! Wieloryb to — nie jesiotr! Zaplątał się skrzelami w okach niewodu i cały omotał się jego żwojami. Podciągnąłem matnię do łachy. Musimy wejść do wody i wydobyć sieć; chociaż inne ryby uciekną nam, ale za to będziemy mieli jesiotra.

Tu urwał, bo woda pod łodzią zakotłowała się znowu i plusnęła falą. Ogromna ryba potężnym wysiłkiem szarpnęła się i z rozmachem wpadła wraz z siecią na łachę, okrytą niegłęboką wodą.

Łowcy z podziwem przyglądali się ciężkiemu potworne-

mu kadłubowi ryby o długim ostrym ryju i rogowym pancerzu.

Nie namyślając się ani chwili Lis wyskoczył z łodzi i stojąc po pas w wodzie z całej siły uderzył jesiotra w głowę obuchem topora. Zwinęło się i wyprostowało potworne cielsko, a rybak uderzył raz jeszcze.

— Uspokoi się teraz! — zaśmiał się Garas, podpływając i wlokąc za czołnem drugie skrzydło niewodu.

Wspólnymi siłami zaczęli wyciągać sieć. Widzieli, jak wyslizgiwały się z niej zwinne sterlety, szczupaki i duże, srebrzyste plotki, lecz nie było innej rady! Jako-tako wydobywali sieć i składali ją w poprzek łodzi, a gdy zaczęły się ukazywać skrzydła matni, Sieńka znowu nurkował uwiązując jesiotra za skrzele.

Z trudem wyzwolono ogłuszonego jesiotra z pęt i spod skrzydeł niewodu wyprowadzono go na otwartą wodę.

Leżał teraz na dnie w całej okazałości, od ostrego ryja aż po płetw ogonowych.

Długi na trzy metry, gruby i ciężki niezmiernie, przypominał kłoc starego drzewa, szerniałego pod wodą.

Uwiązano go na mocnej linie do rufy, a Garas hakiem wyciągnął z sieci inne ryby, pokaleczone i zgniecione przez potwora. Dopiero przy pomocy dwóch innych łodzi udało się rybakom przyholować zdobycz swoją do brzegu.

Tam znów w pocie czoła pracowały ciężko kobiety, a wśród nich — żona zesłańca.

Na brzegu zbudowano kilka szałasów, w których rozwieszano wypatroszone i rozcięte wzdłuż grzbietu ryby. Dzieci posypywały je solą i znosiły nacięte, świeże gałęzie modrzewia i jałowca. Gdy szalasy zostały wypełnione rybami, rozpalono w nich ognisko i zatkano szczelnie wszystkie szpary i otwory. Ogień, ledwie się tłać, dawał dużo dymu, w którym wędziły się sterlety, jesiotry, nelmy, duże sigi, delikatne mok-suny, opływające tłuszczem.

Inne kobiety składały mniejsze, pospolite ryby do kadzi i koryt, przysypywały solą i nakrywszy płachtą, przyciskały kamieniami.

Najprostsze gatunki, jak płotki, okonie, linę i szczupaki, przerabiano na „jukolę“, pożywienie niezbędne dla myśliwych w czasie łowów zimowych.

Taki sposób przygotowania ryby nie wymagał żadnych zachodów.

Przeciętą na połowę rybę posypywano solą i nawlekano na sznur, zawieszony na dwóch żerdziach. Ryby przez kilka dni schły i twardniały na powietrzu, zmieniając się na „jukolę“.

Najdrobniejszych okazów „jukoly“ używano zwykle na „pors“. W tym celu przecierano suchą rybę między kamieniami na mąkę, z której łowcy przyrządzali sobie polewkę rybną, pożywną i nie wymagającą żadnej sztuki kucharskiej.

Pani Julianna wraz z pomagającymi jej dziewczętami i nieodstępną Dunią miała kłopot nie lada z olbrzymim jesiotrem, schwytanym przez męża. Trzeba go było porąbać na kawałki, pociąć na plastry i pasma, bo inaczej nie dałoby się zsolić go i uwędzić.

Tymczasem Lis miał przed sobą jeszcze kilka dni „wonzi“. Każdego dnia przywoził coraz to nową zdobycz.

Po jesiotrach, które szybko przeszły w górę rzeki, zesłaniec łapał teraz sigi; sunęły one ławicami, rozbiły się na mniejsze partie i wdzierały setkami do saku. Chwytał miętusy, goniące je duże szczupaki i wreszcie śledzie morskie, które tego roku zapędziły się aż do ujścia Keci.

Polów udał się znakomicie, a był tak obfity, że pan Władysław zmuszony był część ryb wymienić na kadzie i beczki, aby nie zmarnować reszty. Musiał mieć jak najwięcej ryb, gdyż wiedział, że za ten towar otrzyma od koczujących na tundrze Samojedów oswojone renifery i dobre sanie, potrzebne dla zimowych łowów i w gospodarstwie domowym.

„Wonź“ minęła. Większość rybaków powróciła do domów, lecz łódź Lisa i małe czółenko — „zajazdka“, z kulawym, ciągle śmiejącym się Garasem, wciąż jeszcze krążyły po Obi. Wyciągano z jazów ryby, schwytane w „mordach“ i wiewierkach. Małą siecią łapano sigi i jesiotry i nelmy, które pozostały w „sorach“, gdzie żerowały.

W nocy pani Julianna wyszedłszy na brzeg widziała czerwone światełko, powolnie sunące po ciemnej, prawie czarnej rzece. Wiedziała, że to jej mąż z palącym się w żelaznym koszyku łuczywem płynie w mroku i stojąc na dziobie czółenka wypatruje co najlepszą zdobycz.

Istotnie tak było.

Przy wiosłach na zmianę siedzieli, Garas lub syn Wotkula. Wpatrzeni w ciemną postać Lisa, który na tle, oświetlonym czerwonymi błyskami płonącego łuczycwa, wydawał się czarnym olbrzymem, cicho poruszali wiosłami, bez szmeru i plusku opuszczając je do wody.

Lis wpatrywał się w oświetloną ogniem głębię zatok rzecznych, gdzie prąd płynął wolno, leniwie, a gdzie chętnie żerowały ryby, znajdując wśród wodorostów i traw obfite pożywienie.

Widział z lekka falujące, do włosów podobne wstęgi wodorostów i pędy traw; każdą jamę oglądał dokładnie, szukał w niej i pod zwałami kamieni zaczajonych ryb, zaciskając w mocnej dłoni długie drzewce ości. Przez kilka dni uczył się wbijać zęby tej broni w ciało śpiących ryb, toteż wyciągał teraz karasie, liny, szczupaki i miętusy. Na tych pospolitych rybach, po setkach nieudanych prób, wprawił się znakomicie i już rzadko chybiał.

Pan Władysław posiadał niezwykłą siłę, więc ważył się napadać na duże nawet jesiotry, nelmy i czyhające na nie szczupaki, od starości porośnięte wodorostami na drapieżnych łbach i szerokich grzbietach.

Ostrza jego ościenia wchodziły tak głęboko, że największe ryby szybko słabły i stawały się zdobyczą rybaka.

W końcu maja, gdy wszystkie wędrujące ryby odplynęły już na południe lub ukryły się w dorzeczą Obi, Lis posiadał bardzo znaczny plon połowów wiosennych. Pomyślawszy i naradziwszy się z żoną, wynajął trzech Samojedów i zaczął budować duży śpichrz, w którym na razie miał przechowywać ryby. W tym celu wykopano w nim i ocembrowano deskami dwa głębokie doły. Jeden zasypano czystym, drobnym piaskiem na przechowanie jarzyn, drugi wypełniono lodem, w którym umieszczono kadzie z soloną rybą. Na przewiewnym strychu rozwieszono wędzone ryby, „jukole“ i ustawiono worki z „porsem“.

Pani Julianna była teraz zajęta czym innym.

Wychowana na wsi, znała się dobrze na gospodarstwie, więc razem z Dunią i innymi dziewczętami zakładała ogród warzywny. Skończywszy z kopaniem grzęd, pewnej niedzieli zwołała kobiety z całego miasteczka i zwróciła się do nich z przemówieniem. Opowiedziała im, że podczas swoich przejazdów z miasta do miasta spostrzegła, iż Sybiracy nie znają bardzo pożywnej i dobrej jarzyny, jaką są ziemniaki, które dają obfity urodzaj i nie wymagają trudnych zachodów. Pokazała im worek z ziemniakami, które dostała na prośbę swoją od rodziców. Sybiraczki z podziwem oglądały kartofle, wąchały i nawet nadgryzały je.

— Otóż — mówiła pani Julianna — dam każdej z was po kilka ziemniaków i nauczę, jak należy hodować je; resztę posadzę na swoich grzędach. Pierwszego zbioru starczy nam na całe pole w przyszłym roku. W ten sposób będziecie miały nowe pożywienie, z którego będziecie zadowolone!

Istotnie od tego roku mieszkańcy obwodu Narymskiego, a w ślad za nim — Tomskiego i Tobolskiego rozpoczęli uprawę ziemniaków, które wprowadziła tu rodzina polskich zesłańców, nie zatrutych bierną rozpaczą i bezsilną nienawiścią,

lecz uduchowionych pragnieniem służenia ludzkości, niesienia pomocy w jej szarym, nędznym życiu. Pani Julianna namówiła też gospodarzy narymskich do innej jeszcze czynności, chociaż ta na razie wydała im się blahą i zbyteczną. Jednak, ustępując naleganiom Polaków, podczas żniwa zaczęli Sybiryacy wybierać najbujniejsze, najcięższe kłosa, aby wyłuskawszy z nich ziarna, użyć ich na przyszły siew.

W ten sposób rozpoczęto selekcję zboża, a wkrótce podniesiono znacznie urodzaje i wyhodowano nowe, lepsze gatunki żyta i owsa syberyjskiego.

Taką to pamiątkę po sobie zostawili na Syberii zesłańcy polscy — ludzie czynu i życia.

Nie sądzonym było jednak Lisom doczekać się tego i tylko wieści o wyniku ich rad i pracy doszły wygnańców z daleka, radością napelniając serca.

ROZDZIAŁ VIII

ZEMSTA

Obfity połów ryb w okresie wiosennym pozwolił Lisowi stanąć twardą stopą w Narymie i należycie przygotować się do długiego pobytu w tym małym miasteczku, gdzie miał, zgodnie z wyrokiem sądu rosyjskiego, przebyć aż do śmierci.

Iluż to zesłańców ta śmierć spotkała przed czasem?! Ileż to razy drapieżny wróg — rząd rosyjski — cieszył się, dowiadując się, że przeciwnicy jego jeden po drugim schodzą do grobu?

Pewna część zesłańców wciąż oczekiwała od dawna zapowiedzianej amnestii, lub też pędziła życie nędzne z dnia na dzień, coraz bardziej zapadając w obezwładniającą otchłań rozpacz czy zubożenia, zwiastunów ostatecznej klęski.

Władysław Lis nie należał do takich ludzi. Był człowiekiem walki, czynu i życia, a w tym podtrzymywała go żona — opiekunka, doradczyni wierna, źródło niewyczerpanej nadziei na lepsze jutro i niezmiennej pogody ducha.

Po sprawdzeniu wyników połowu, pan Władysław dokładnie obliczył, ile pożywienia będzie potrzebował dla domu aż do przyszłej „wonzii“, tej powrotnej fali ryb, gdy na jesieni będą dążyły ku morzu od źródeł Obi. Resztę swoich zapasów przeznaczył na wymianę ich na niezbędny w gospodarstwie inwentarz.

Nabył więc krowę i konia, pług, bronę i inne narzędzia rolnicze, ziarno na zasiew, a nawet wynajął parobka, kulawego, lecz pracowitego i silnego wyrostka samojedzkiego, z którym pływał na wiosnę po Obi.

Zesłańcy, podług istniejącego prawa, dostawali szmat ziemi. Nie był on wielki, ale i tak na znaczny zagon pan Władysław nie mógłby się porywać. Przez zimę nieraz rozmawiał z żoną o przyszłym gospodarstwie. Pani Julianna знаła się na rolnictwie, mając ojca — zawołanego, postępowego gospodarza, i napatrzywszy się na nowe sposoby, które stosował w swoich folwarkach pan Kobierzycki — uczony rolnik. Przeczytał też był zesłaniec sporo książek o uprawie ziemi i postanowił należycie wyzyskać swój mały zagon.

Przede wszystkim sprowadził z Omska głęboko orzący pług, o szerokim mocnym lemieszu. Dopiero od niedawna angielscy kupcy dostarczali takich plugów do Rosji, która znała najczęściej plug o drewnianym lemieszu, tak zwaną „sochę“ lub również drewniany, lecz z żelaznym, wąskim, trójkątnym nożem, odwalającym płytką skibę.

Nowy plug pozwolił Lisowi dokonać głębokiej orki i poruszyć nawet zamarzlą ziemię. Skończywszy z zagonem, zabrał ze sobą robotnika, najgęstsze sieci i wypłynął na Ob. Łapał teraz drobne ryby, suszył je w pośpiechu na słońcu i nad ogniskiem, a potem, przetarłszy pomiędzy kamieniami, używał jako nawozu.

Gospodarze narymscy dziwili się pomysłowi Polaka, nie wiedząc, że takie kraje, jak Japonia, Patagonia, Jawa, od wieków innego nawozu nie stosowały i, dzięki nim, miały dobre

urodza je. Lecz w jeszcze większe zdumienie wprowadziły Sybiraków dalsze czynności zesłańca. Niejeden z nich wzruszał ramionami i mruzczał:

— Zwariował chłop! W głowie mu się przewróciło! Kto to widział?!

Istotnie, tego tu nikt nigdy nie widział. A tymczasem Lis, przeczytawszy w piśmie rolniczym artykuł p. Gareckiego, który po odbytej podróży do Chin pisał, że Chińczycy, posiadający drobne działki rolne, zbierają z nich piękny i obfity plon dlatego, że nie s i e j ą zboża, lecz s a d z ą j e, niby groch na grzędach, postanowił zastosować ten chiński sposób na swoim małym polu. Pamiętając o tym, że syberyjskie lato zmienne jest i zdradliwe, bo nawet w czerwcu nieraz przynosi przymrozki i zimny wiatr wschodni, Lis otoczył swe pole od północy i wschodu wysokim plotem z trzciny, a jeszcze kilka podobnych zagród przeciągnął w poprzek pola, przez co ochronił rośliny przed zimnym wiatrem i dopomógł ziemi, aby dłużej utrzymywała pochłonięte ciepło słoneczne. Toteż na polu Lisowym, prędzej niż gdzie indziej, wybujało żyto i owies, a gdy zaczęło się kłosić, Sybiracy kręcili głowami i znowu się dziwili. Ujrzeni bowiem wysokie, ciężkie, obfite w ziarna kłosa, dojrzewające szybciej niż ich żyto.

Na grzędach pani Julianny udały się wszelkie jarzyny, a szczególnie ziemniaki i parę grządek ziół leczniczych.

Jeszcze w lecie, przed zniwem, pan Władysław, pamiętając o oczekujących go zimowych łowach, jeździł do tajgi i zwoził do domu drzewo na opał i budulec, gdyż w jesieni miał przystąpić do budowy obory i stajni.

Jesień wypadła ciepła, pogodna. Zniwa udały się znakomicie, a gdy całe żyto zostało przerobione na mąkę, Lis przekonał się, że dany mu mały zagon ziemi ornej przyniósł mu urodzaj, dorównywający trzykrotnie większym polom. Nie mniej obfity plon ziemniaków zebrała pani Julianna i rozdała kilka worków przyjaciółkom na przyszłe zaopatrzenie pól.

Ziemniaki zasmakowały mieszkańcom Narymu tak bardzo, że kobiety musiały trzymać je pod kluczem, gdyż mężowie natarczywie dopominali się o to nowe, a tak dobre pożywienie.

We wrześniu Lis skończył stawianie obory i stajni, i w kilka dni później musiał przystąpić do jesiennego połowu ryb.

Jesiotry, sterlety, nelmy, miętusy i różne sigi po złożeniu ikry powracały na północ, z prądem staczając się ku oceanowi.

Szczęście i pomoc młodego Rodionowa i Gangi dały Lisowi możliwość tak znacznie uzupełnić swoje zapasy ryb, że zasoliwszy je i uwędziwszy, natychmiast wymienił te, które zebrał był na wiosnę, na potrzebne mu na zimę przedmioty.

Nabył więc w sklepie Rodionowa karabin, proch, kapiszony, najlepsze lane kule, samolowy na zwierzęta, a u Samojedów kupił za „jukołę“ i „pors“ dwa uprężne renifery, narty do chodzenia i narty — sanki do jazdy po śniegu. Ciepłego ubrania, niezczym nie zastąpionych butów futrzanych — „kisów“, podwójnych futrzanych spodni „pime“ i kurtek „sok“ z losiowego zam-szu, „małachajów“, nie potrzebował, bo miał je w darze od Samojedów za skuteczne potwierdzenie ich praw i przywilejów, a także za lekarską pomoc, z którą zawsze tak chętnie śpieszyła do cierpiących żona zesłańca.

Pan Władysław, wzmocniwszy płoty na polu, zaorał raz jeszcze ziemię i zasadził żyto. Chciał spróbować, czy nie zmarźnie ono przez zimę.

Nie przeczuwał wtedy, że nie doczeka się nowego lata w Narymie.

Skończywszy z robotami gospodarskimi i zabrawszy ze sobą karabin i trochę zapasów żywności, wyruszył Lis na polowanie. Z końcem września zaczynał się bowiem przelot ptactwa wodnego. Po wychowaniu młodzi powracało ono z północy do ciepłych krajów. Całymi dniami, kierując się prądem Obi, leciały klucze łabędzi, żórawi, dzikich gęsi i niezliczone stada kaczek. Ptaki opuszczały się na lachy piaszczyste, na jeziora niskiego brzegu, a nawet wprost na płaszczy-

znę torfową, gdzie wypoczywały i żerowały znajdując obfite pożywienie.

Pan Władysław wprawiał się w strzelaniu z karabina.

W korpusie kadetów należał do szeregu najlepszych strzelców, więc i tu wkrótce doszedł do znacznej wprawy; chybiał rzadko i przynosił do domu obfitą zdobycz.

Pewnego razu, gdy zaczajony w krzakach siedział na wysepce, spostrzegł czółno, które, borykając się z prądem Obi, płynęło w jego stronę. Jakiś niepokój zakradł się do serca zesłańca i złe przeczucie jęło gnębić go i przejmować trwogą.

— Na Boga, — pomyślał — czy aby coś złego nie przydarzyło się Juliannie?!

Wybiegł na brzeg i jał wymachiwać w stronę czółna.

Człowiek, siedzący w nim, podniósł rękę nad głową.

— Do cie-bie... do cie-bie!... — dobiegł Lisa zgłuszony podmuchem wiatru głos.

Czółno dobiło do brzegu i na ziemię wyskoczył młody Rodionow.

— Co się stało? — z trwogą zapytał Polak.

— Żle, oj, źle!... — wyjąkał chłopiec. — Przyjechało dwu policjantów, o ciebie pytają...

— Czegóż oni chcą ode mnie? — zdumiał się Lis.

— Nie wiem! Kazali wójtowi odnaleźć ciebie i stawić w urzędzie gminnym... Słyszałem twoje strzały, więc popłynąłem, aby uprzedzić — mówił chłopiec. — Może lepiej będzie, jeżeli nie pójdziesz wcale... i ukryjesz się?... Nasi nie wydadzą ciebie...

— Co też to za gadanie! — oburzył się zesłaniec. — Po co mam się kryć? Czy mam coś złego na sumieniu? Nie boję się nikogo. Powracajmy do miasta!

Wskoczyli do czółen i popłynęli.

Przed chatą starego Pyragi stał tłum. Na widok powracającego Lisa rozstąpił się w ponurym milczeniu. Lis ruszył naprzód ku siedzącym na ganku policjantom.

— Jestem Władysław Lis. Posyłałiście po mnie? — spytał.

— A tak! — odparł jeden z „uradników“ — Przywieźliśmy rozkaz, dotyczący was.

To mówiąc, podał mu szarą, zmiętą kopertę z pieczęcią gubernatorską.

Lis rozerwał kopertę i uważnie przeczytał pismo. W miarę jak zaczynał rozumieć, zaciskał zęby, aby nie zblednąć i nie zdradzić swego wzruszenia.

Kancelaria gubernatora zawiadamiała, że śledztwo wykazało, iż zesłaniec Lis podburzał Samojedów, co się wyraziło w wystąpieniu ich ze skargą w bardzo niestosownym czasie przejazdu petersburskiego rewizora. Ponieważ rząd stara się o jak najlepsze stosunki z tuziemcami, więc osoby, przeszkadzające w tym władzom, nie są pożądane w rejonach, zamieszkałych przez Samojedów. Wobec tego zesłaniec Lis ma być natychmiast osiedlony w innym miejscu, które będzie mu wskazane przez uradnika Leszczenkę.

Lis skończył czytanie i spokojnym na pozór głosem rzekł:

— Tak! Przeczytałem rozkaz gubernatora... Panowie, naturalnie, wiedzą, że ja nikogo nie buntowałem. Zajście w obecności rewizora zostało spowodowane niesprawiedliwym postępowaniem urzędników, oddanych za to pod sąd. Nie poczuwam się do winy!

Leszczenko wzruszył ramionami i odparł:

— My nic na to poradzić nie możemy. Otrzymaliśmy rozkaz i musimy go wykonać. Niech się pan przygotowuje do drogi. Jedziemy za godzinę!

— Ależ ja mam gospodarstwo! — zawołał Lis. — Muszę więc przedtem załatwić się z nim...

— To wszystko potrafi zrobić za was żona wasza, — odpowiedział uradnik.

— Jakto?! — wyrwał się Lisowi rozpaczliwy krzyk. — Zostaniemy więc rozłączeni?!

— Nie mamy rozkazu co do waszej żony, — oznajmił Leszczenko.

— Ależ posiadam zezwolenie kancelarii cesarskiej na towarzyszenie mi mojej żony! — protestował zesłaniec.

— Nic o tym nie wiemy! — wzruszyli ramionami policjanci, a jeden z nich krzyknąwszy, aby przygotowano wózek i konie, powtórzył:

— Zbierajcie się do drogi! Nie traćcie czasu!

Lis zrozumiał, że na nic się nie zdać jego dowodzenia i sprzeciw, więc poszedł do domu i oznajmił żonie straszną nowinę. Dzielna i na wszystko przygotowana niewiasta zbłądła, lecz ani na chwilę nie straciła panowania nad sobą, ani też nie zapłakała. Po długim namyśle szepnęła do męża:

— Jedź, Władeczk, bo opór mógłby ci zaszkodzić... Ja zaś pojedę do Tomska i będę prosiła o potwierdzenie pozwolenia na towarzyszenie ci, a gdy je uzyskam, załatwię się z domem, zabiorę wszystko, co będzie można zabrać, i znowu będziemy razem... w doli, czy niedoli...

Więcej nic już o tych sprawach nie mówili.

Uklękli przed świętym obrazem i długo, gorąco modlili się.

Pan Władysław szybko ukończył przygotowania do nieznanego drogi. Zabrał ze sobą broń, narzędzia ciesielskie i stolarskie, trochę ciepłego ubrania, bielizny i naczynia, a pani Julianna włożyła mu do worka pożywienie i kilka paczek z lekami, które wypróbowała w Narymie.

Przed dom zesłańców zajechał wózek.

Wyniesiono i przywiązano rzeczy, po czym Lis, czując, jak lży mu rozsadzają piersi, żegnał żonę w milczeniu i bólu, którego jednak nikt nie spostrzegł.

Po chwili zacisnął szczęki i podniósł głowę.

Cała ludność Narymu tłoczyła się wokół domu.

Kobiety płakały, mężczyźni patrzyli w ziemię ponuro.

Lis ogarnął wzrokiem sąsiadów i rzucił donośnie:

— Bywajcie zdrowi, przyjaciele! Dziękuję wam za serce

i proszę, nie opuszczajcie mojej żony, dopóki będzie potrzebowała pomocy i współczucia. Bywajcie zdrowi!

Zaczął ścisnąć ręce mieszkańcom Narymu, a potem, ucałowawszy raz jeszcze bladą twarzyczkę i drżące usta żony, wsiadł do wózka.

Konie ruszyły z kopyta. Lis nie obejrzał się ani razu.

Może bał się, że nie wytrzyma, i — albo skręci kark policjantom, albo wybuchnie ciężkim szlochem.

Wkrótce wózek zniknął na zakręcie drogi.

Wtedy dopiero zapłakała pani Lisowa i bezsilna usiadła na kamieniu przydrożnym. Tłum prostych ludzi nie umiał pocieszyć jej, nie znajdował dla niej słów otuchy i ukojenia.

Nie rozchodząc się stali wszyscy w miejscu i patrzyli na płaczącą kobietę niemal surowymi oczami.

Pierwszy odezwał się Rodionow:

— Pomożemy, kupimy waszą chatę na szkołę...

— Pomożemy... — wtórował mu wójt Pyraga. — Kupimy od was wszystko, co będzie dla was zbyt cenne, a was do męża dostawimy.

— Dam konie i wózek wygodny, abyście mogli pojechać do Tomską upominać się o swoje prawa! — dodał kupiec Fedorow, wożący pocztę.

— Dziękuję wam! — szepnęła pani Julianna. — Dziękuję wszystkim!

Poszła do chaty, z której wyszedł był jej mąż, aby tu już nigdy nie wrócić.

Czuła to i lękiem ogarniała ją myśl o samotności. Obejrzała się, posłyszawszy czyjeś kroki za sobą. Była to Dunia Rodionowa.

— Ja z wami pozostanę, pani! — szepnęła.

Żona zesłańca schwyciła ją za ręce i pociągnęła za sobą.

Gdy tłum wzburzonych mieszkańców Narymu przechodził koło chaty Wotkuła, stary Pyraga spojrział w stronę lasu i zmrużył nagle oczy. Nic jednak nie powiedział. A przecież

był prawie pewny, że dojrzał sylwetkę Wotkula, uzbrojonego w karabin i biegnącego ku brzegowi Keci.

Zapukał do okna, a gdy wyjrzała żona Samojedą, szepnął:

— On wyruszył na poszukiwanie „sprawiedliwego człowieka“?

Kobieta z tajemniczym wyrazem twarzy skinęła głową w milczeniu.

— Dobrze! — mruknął wójt. — Wotkul znajdzie go i o wszystkim się dowie... Nie opuści on „sprawiedliwego“ w takim nieszczęściu.

Samojedka potrząsnęła głową i odparła:

— Nie opuści! Wotkul — nie taki! On pamięta, że „sprawiedliwy“ obronił mnie i wszystkich nas przed „urusami“ i że żona jego wyleczyła naszą małą Kusmet, gdy ją trawiła zła zimnica... Wotkul tego nie zapomni!

Stary westchnął i rzekł:

— Żona „sprawiedliwego“ i mnie też wyleczyła, gdy chodzić nie mogłem. Ja też to pamiętam i...

Nie dokończył, bo ktoś zaczął wołać:

— Wójcie! Wójcie! Czy mamy ogłosić wiec?

— Dzwoncie na wiec! Musimy się naradzić! — odkrzyknął.

Pykając fajeczkę pokulał do chaty, gdzie mieścił się urząd gminny.

ROZDZIAŁ IX

WIERNY PRZYJACIEL

Policjanci wieźli polskiego zesłańca przez cały tydzień. Drogi prawie nie było, gdyż nie można było nazwać drogą niegdyś zbudowanej, teraz przegnilej i zburzonej grobli, która szła przez błotnistą część tajgi, co chwila przecinanej rzekami. Wózek zanurzał się w wodzie powyżej kół, z brzękiem i skrzypieniem rozpaczliwym skakał na kamieniach przewala-

jąc się z boku na bok. Wreszcie urządnik Leszczenko rzekł do powożącego policjanta:

— Stój, Iwanie, bo, zdaje się, że to tu.

Rozejrzał się wokół bacznie, sprawdził coś w notatniku i kiwnął głową.

— No, tak! — zamruczał. — Jesteśmy wreszcie na miejscu!

Zwracając się do zesłańca, dodał:

— Macie wasz nowy przydział! Ha! Gorszego chyba nie mogli w Tomsku znaleźć! Szczera tajga, trzęsawiska, pustynia... Tfu! Że też ludzi spokojnych i uczonych na takie nędzne życie skazują!...

Splunął i zaklął.

Rozpalili ognisko i jęli gotować strawę.

— Przenocujemy tu z wami, a jutro odjedziemy — mruknął Leszczenko. — Może pomóc wam w stawianiu szałasów?

— Dziękuję! — odparł Lis. — Przydałby się on w nocy i mnie i wam. Komarów i bąków — wielka tu moc!

Szybko narabali cienkich drągów, ustawili stożkowaty szkielet zwykłego „czumu“ tubylczego i opletli go gałęziami. Lis okrył ziemię kawałkami kory brzoźowej i liśćmi paproci, a na to wszystko zarzucił kawał wojłoku, którym okryte były jego rzeczy.

— Jako tako przetrwacie, aż zbudujecie lepszy czum; chociaż myślę, że nie poradzicie... — zauważył Leszczenko.

— Hej tam, dlaczego? — spytał Lis, potrząsając głową.

— Bo nie macie „niug“! — odpowiedział urządnik.

Lis wiedział, że „niugami“, czyli szerokimi kocami zszytymi z kilku skór, Samojedzi okrywają drewniane szkielety swoich szałasów, więc uśmiechnął się i odrzekł:

— Nie wątpię, że w takim odludziu wytropię nie jednego losia i jelenia. He! Strzelam zaś celnie, więc będę miał „niugi“.

Jakaś nagła nadzieja wstąpiła w niego, więc wyzywająco popatrzył na policjantów i zawołał:

— Zapraszam was do siebie na przyszły rok!

Leszczenko parsknął śmiechem i odparł:

— No, ależ hardy z was Lach! Takiego byle kto nie ugnie i nie zgębi!

Niemal z zachwytem patrzył teraz na barczystego Polaka o twarzy pogodnej, lecz o oczach w chwili tej niezwykle roziskrzonych.

Przyczyny tych ogni wewnętrznych, namiętnych i palących, nie mogli zrozumieć Moskale.

Opędzając się od żarłocznych owadów, co chwila dorzucając do ogniska świeżych gałęzi, aby dymily jak najwięcej, jedli gorącą polewkę i pili herbatę.

Słońce szybko zapadało za tajgę. Z głębi dzikiej kniei wynurzał się mrok i ogarniał małą polankę z płonącym ogniskiem i siedzącymi przy niej ludźmi. Głośno wzdychały znużone konie policjantów przeżuwać owies i chrapały, być może, węsząc jakieś zwierzę, skradające się w gęstwinie.

Leszczenko ziewnął i mruknął:

— Czas na spoczynek! Iwanie, rozpal mały „dymokur“ przy wejściu do szalasu. Zawsze odpędzi on ten „gnus“ przekłety!

W pół godziny potem z nowego szalasu dochodziło potężne sapanie policjantów i potrzaskiwanie wilgotnych gałęzi, wrzuconych do płonącego ogniska.

Nad lasem przeciągały spóźnione stada dzikich gęsi. Leciały tak nisko, że dobiegał wyraźnie szmer skrzydeł silnych ptaków; za nimi nadążały stadka dzikich kaczek, a wtedy rozlegał się przeciągły, nie milknący świst przecinanego powietrza. Huczały bąki koło szalasu, bzykały komary i drobne, gryzące muszki. Konie parskały, tupwały kopytami i wymachiwały ogonami, opędzając się przed niewidzialną chmarą drażniących owadów.

Lis nie mógł usnąć. Długo leżał nieruchomy, z oczami otwartymi, wbitymi w czerwone błyski ogniska. Myśli zesłańca

smutne były, bo dusza jego rwała się do żony — cichej, zawsze łagodnej, pogodnej, a teraz tak bardzo samotnej, porzuconej na łaskę losu i obcych ludzi. Po raz setny zadawał sobie męczące pytanie:

— Gdzie jesteś? Co robisz, najdroższa, promienna gwiazdka moja, Julianko złotowłosa?!

Usiłował domyślić się, co zamierzała uczynić kochana kobieta i w jaki sposób wykonać swój zamiar. Ten wysiłek myśli i nie opuszczający go nigdy niepokój o żonę ostatecznie odpędził sen z powiek Lisa. Ześlizgnął się bez szmeru z posłania i wyszedłszy z szalasu usiadł przed ogniskiem.

Dym otoczył go i przepędził zjadliwy „gnus“. Oparł ręce na dłoniach i pograżył się w niewesołe myśli. Zaduma jego prysła jednak niebawem, gdyż uwagę przykuły do siebie różne odgłosy, dobiegające z głębi puszczy.

Rozpoznawał niektóre, inne znowu słyszał po raz pierwszy.

Gdzieś w pobliżu zabelkotał nagle obudzony ze snu czarny, czerwonobrewy cietrzew. Kury natychmiast odpowiedziały mu krótkim, trwożnym kłochtaniem.

Gdzieś wysoko, pod obłokami zatrąbił ostrzegawczo klucz żurawi czujnych, zaniepokojonych widokiem ogniska. Z szelestem skrzydeł i głuchym kręczeniem miotała się w powietrzu słonka.

Nigdzie nie słyszane też głosy biegly z kniei i zamierały na polance, z samotnie tkwiącym na niej szalasem.

Jakieś przygluszone poryki, zdławione beczenie, ponure, nagle urywające się wycie, skowyt krótki, przenikliwy, jakieś tajemnicze pomruki, ni to z ziemi wychodzące westchnienia przeolbrzymich istot nieznanych, to znów syki, zgrzyty ostre i niepokojące, zdawało się, tuż — tuż powstające, po chwili daleki plusk, cichy żaloszny jęk, człapanie niewidzialnych w mroku nóg, stąpających ostrożnie po grząskim trzęsawisku,

po miękkich kępach omszałych, wyrosłych z czarnej topieli moczarów.

Lis łowił uchem nocny rozgwar kniei i dziwił się, że nigdy przedtem nie słyszał tych nawoływań i dalekich ech, odpowiadających wielorakim głosom tajgi.

Tymczasem jąła ona przemawiać coraz śmieiej i natarczywiej. Gardziele zwierząt i ptaków wydawały coraz donośniejsze okrzyki, odzywały się one ze wszech stron, a brzmiała w nich coraz większa trwoga.

Z tego rozedrganego, sączącego się wokół i rwącego pogwaru, przytłumionego ciężkimi mgłami, przewalającymi się nad knieją, jał się wyłaniać jeden głos najbliższy, dziwnie niecierpliwy, natrętny. Był ni to ponury syk puchacza, ni to kłapanie głuszca na tokowisku.

Dźwięk ten nie od razu wdarł się do słuchu siedzącego człowieka, lecz w końcu dotarł do świadomości jego, zmusił do podniesienia głowy i obejrzenia się.

— Ssy — ssy — cza — cza — cza! — zgrzytały dziwnie natarczywe poszepty.

Po chwili znowu, jeszcze bardziej natrętnie:

— Sssy — ssy — sssy! Cza — cza — cza... a.

I nagle coś nieokreślonego, jak gdyby westchnienie, jęk, czy cicha klątwa.

Słumiony, tajemny dźwięk, który wydać mogło tylko gardło ludzkie.

Lis nieznacznym ruchem podciągnął ku sobie karabin i namacał kurek.

W tej chwili posłyszał wyraźnie cichy, przenikliwy szept:

— Sprawiedliwy człowieku!... ss... cz...

Zesłaniec zrozumiał, że to człowiek czai się, ukryty w chaszczach, a wiedział również, że nie był to wróg, lecz jeden z tych, którzy przewali go „sprawiedliwym“, co go rozrzewniało zawsze i cieszyło niewymownie.

Starając się nie robić hałasu; postąpił kilka kroków naprzód wpatrując się w mrok.

Jakaś ciemna, czarniejsza od nocy postać zamajaczyła na tle lasu i bez szelestu, jak gdyby widmo, sunące ponad ziemią, skoczyła ku Lisowi.

— Wotkuł! Wotkuł! — wyrwał się zesłańcowi szept gorący.

Samojed ogarnął go ramieniem i prowadził w głąb tajgi, zręcznie omijając ukryte w mroku i w gąszczu trawy, kępy torfowiska i małe, głębokie kałuże czarnej, zięjącej zgnilizną wody.

Tak doszli do niewysokiego, suchego pagórka.

— To ja! — rzekł Wotkuł, ściskając ramię przyjaciela. — Widziałem wasz wózek, gdy skręcał na starą groblę przez Bułyńskie oparzelisko. Domyśliłem się wtedy, że „urusy“ wiozą ciebie na Czín — War... Wiem, że prowadzi tam tylko jedna droga, którą przed stu laty zbudowali jacyś wojewodowie rosyjscy dla poszukiwania złota... Wtedy pobiegłem na przelaj, na wschód, ku rzece Algim... bo tam droga się urywa... Numa-Wielki Duch dopomógł mi! O, wielki, dobrotliwy Numa pozwolił Wotkułowi odnaleźć „Sprawiedliwego“! Zanocowałem nad brzegiem Algimu, lecz gdy zmrok zapadł, ujrzałem z pagórków oświetlone ogniskiem wierzchołki świerków... Przybiegłem do ciebie... jestem już...

Zesłaniec objął Wotkuła i przycisnął go do szerokiej piersi, nie mogąc wydobyć z niej głosu i czując, jak lzy wdzięczności ściekają mu po policzkach.

Wotkuł ciągnął dalej:

— „Urusy“ śpią, spokojni o swe życie, bo stąd trzy dni drogi do najbliższej osady ludzkiej... Możemy iść do nich i pchnąć nożem...

Lis drgnął i ścisnął dłoń Samojedą.

— Nie rób im nic złego, Wotkułe! Za co? Oni spełniają rozkaz władz i nie są winni! Tymczasem taka zbrodnia mo-

głaby rozłączyć mnie z żoną na zawsze i zgubić... Rozumiesz!

Umilkli i siedzieli trzymając się za ręce.

Wotkuł poruszył się niecierpliwie i rzekł:

— O świecie pobiegnę do Narymu... Skrzyknę naszych i za dwa tygodnie przyjdziemy tu. Będziemy stawiali dla was nowy dom... Wypytaj „urusów“, czy możesz osiedlić się na Algimie... bo tam lepiej... Górzysty kraj.: nie ma moczarów... tajga pełna zwierza... rzeka — ryb... wesołe miejsce, a dla „urusów“ niedostępne! Żaden z nich nie będzie tam zaglądał. Szczęśliwie tam żyć będziemy... „Sprawiedliwy“, „biała niewiasta“ i my — lowcy... sameednam!

— Sameednam? — powtórzył Lis.

— To znaczy — synowie tej ziemi — objaśnił Wotkuł. — Szczęśliwi tu będziemy wszyscy!

Lis zrozumiał zamiary przyjaciela. Radość szalona porwała go, szukał słów, aby wyrazić Wotkułowi całą głębię swej wdzięczności, lecz stroskane serce nie wytrzymało nawału wrażeń. Zesłaniec szlochać zaczął głośno, a Samojed snadź zrozumiał uczucie przyjaciela, bo siedział cicho, wstrzymując oddech i powtarzając bezdźwięcznie:

— Numo, Wielki Duchu, dziękuję ci!... Wielki Duchu, bądź błogosławiony!

Ujrzawszy, że Lis zaczyna się uspokajać, wziął go znów pod ramię i prowadził poprzez ciemną knieję. Ledwie błysnęły przez gąszcz czerwone błyski ogniska i zaleciał zapach dymu, Wotkuł szepnął:

— Idź cicho i kładź się, a gdy czternasty raz ukaże się słońce, czekaj na mnie, czekaj na przyjaciół. Przyniosę ci wieści, od „białej niewiasty“...

Ścisnął dłoń Lisa i zniknął jak majak nocny.

Wzruszony, lecz spokojny już i pocieszony zesłaniec powrócił do ogniska i uklękawszy modlił się długo i gorąco, korzył się przed Wszechmocnym i Najdobrotliwszym Pocie-

szycielem-Bogiem-Stwórcą, dziękował za łaskę i ukojenie, błagał o opiekę nad tą, którą umiłował był na całe życie każdym drgnieniem serca, każdą myślą...

Ledwie przedświt białawy sączyć się zaczął, zesłaniec zagotował wodę w kociołku, przyrządził herbatę i obudził policjantów. Przy śniadaniu zapytał, czy ma wolny wybór miejsca na chałupę. Leszczenko zaśmiał się i machnąwszy ręką odparł:

— Cała ta połać tajgi, aż hen, do Jeniseju, jest waszym teraz państwem. Ha! Możecie się tu carem okrzyknąć, bo poddanych macie bez liku... niedźwiedzi, wilków, rosomaków, łosi, jeleni, rysiów i wszelkich innych, zębatych i skrzydlatych!... Nie tylko na Algimie, ale i na Nelemce, Symie, Wydczesie... wszędzie możecie budować osadę, uprawiać rolę, przemysł łowiecki, rybacki, grzybowy, jagodowy i orzechowy, bo tak właśnie, słowo w słowo, głosi o tym punkt piąty instrukcji o zesłańcach, osiedlonych w najdalszych częściach tajgi Symskiej.

Skończył, lecz pomyślawszy przez chwilę dodał z uśmiechem:

— Jeszcze wam powiem, że tu choć diablo odludnie, będziecie za to wolniejsi i bezpieczniejsi, bo ani zły człowiek do takiej puszczy nie zajrzy, ani my tu nigdy nie przyjeździemy... bo i po co? Stąd już nikt nie ucieknie... O tym dobrze wiedzą w kancelarii gubernatorskiej!

W godzinę po tej rozmowie Lis stał samotny przed szalosem i słuchał.

Już z daleka dochodził go słaby turkot wózka i jęklivy głos dzwonka, uwiązanego do uprzęży koni, uwożących policjantów. Minęło jeszcze kilka minut i na polanie zapanała martwa cisza...

Spłoszył ją wnet obcy, taki dziwny, nigdy tu niesłyszany dźwięk.

Stojący przed szalasem człowiek, niezwykle barczysty, o twarzy pogodnej i beztroskiej, pogwizdywał wesoło:

— Marsz, marsz Dąbrowski...

Mazurek ochoczy, jurny biegł coraz dalej i dalej, aż podchwyciło go echo i poniosło.

Dokąd?

Chyba na wszystkie strony, poprzez jary i uroczyska dzikiego, pustynnego Czin-Waru, a może jeszcze dalej...

ROZDZIAŁ X

W ZAPADŁYM KĄCIE

Władysław Lis należał do ludzi, dla których życie składa się z myśli, popartych natychmiastowym czynem. Nic nie mogło zmienić jego bujnej natury. Był takim jako kadet w korpusie petersburskim, pozostawał takim w bitwie pod Stoczkim i podczas szarży ułańskiej na Grochowskim polu, takim też czuł się i tu, w nieznanym mu uroczysku Czin-Waru.

Ledwie zamilkły dzwonki odjeżdżających policjantów, zesłaniec począł znosić swoje rzeczy do czumu i uważnie przeglądać je pogwizdując i mrużąc do siebie:

— Prochu, kapiszonów, kul — starczy... fiut! fiut! Przyodziewek — w komplecie... Fiut! Z prowiantami za to... fiut, fiut!... gorzej. Dwie cegły herbaty... kawał cukru... sucharów worek... fiut! Dwie garści soli... fiut!... Dwa półcie słoniny... przednia, bo to od Rodionowego wieprza! Fiu-u-u-! Pięć wiązanek „jukoly“... Ha! Tyle całej parady! Fiut! Dobrze, że zabrał ze sobą małą sieć... Hej, nic mi nie będzie!

Beztroskie pogwizdywanie przeszło znowu w rytm mazurka Dąbrowskiego. Przy tym skocznym, pełnym animuszu motywie Lis okrywał starannie swoje mienie wołokiem i obwiązywał mocnym rzemieniem.

Myśl jego pracowała sprawnie i szybko: a więc zatka

oto sobie żerdziami wejście do szalasu i przytłoczy kłodą zwalonego drzewa, a potem weźmie karabin, prochownicę, torbę myśliwską z sucharami, kociołkiem i herbatą, nie zapomni też o sieci, małym kocu, siekierze, i — ruszy we wskazanym przez Wotkuła kierunku. Musi dojść do Algimu i rzucić okiem na te błogosławione okolice, o których z takim zapalem mówił Samojed. Niezawodnie coś się spotka w tajdze, coś się upoluje...

Wkrótce już wchodził do tajgi. Przestał gwizdać, bo opadły go wnet niezliczone roje bąków i drobnych zjadliwych muszek — tego syberyjskiego „gnusu“, istnej plagi dla ludzi, koni i zwierząt. Poza tym należało posuwać się ostrożnie i cicho. W chaszczach kryły się obszerne, grząskie moczary ze sterczącymi kępami i bulgocącym pod stopami bag-nem. Na czarnej, rozmięklej ziemi widniały liczne ślady.

Lis mógł rozpoznać zaledwie niektóre z nich. Spostrzegł więc doły, wyciśnięte kopytami łośi i racicami jeleni. Zdziwiły go bardzo ślady bosych stóp ludzkich.

— Co, u licha?! — mruknął. — Czyżby Wotkuł na bosaka przekradał się przez ten gąszcz i trzęsawisko?! —

Tak rozmyślając doszedł do niewielkiej wyżyny, gdzie się urywały moczary. Nogi zesłańca nie grzęzły już w rdzawym lub czarnym i cuchnącym błocie, ale za to musiał się teraz przedzierać przez zwiklaną sieć krzaków i suchych, twardych badyli. Tam i sam rumieniły się grona czerwonych jagód — „moroszki“, „oblepichy“ i „kniażeniki“. Zrywał je i jadł, głośno cmokając, bo kwaśne jeszcze były i cierpkie.

Gałęzie niskorosłych modrzewi/i pędy krzaków czepiały się kurtki i butów, opasywały stopy, więc potykał się co chwila, cicho, ale siarczyście klnąc i od czasu do czasu torując sobie drogę siekierą.

Brnął dalej, a zjawiający się nagle instynkt łowiecki podszeptował mu, aby był czujny i baczny. Nozdrza mu się

rozdymały i węszyły, oczy ogarniały każdy przedmiot, spostrzegały najmniejszy ruch w chaszczach kniei.

Nagle podniósł głowę i jął nasłuchiwać.

Gluche mruczenie i parskanie syczące rozległo się w tajdze. Przystanął. Rozglądał się ostrożnie i czekał.

Tuż za stłoczonymi do kupy brzożami spostrzegł rogacza. Stał i węszył, podnosząc głowę i trwożnie strzygąc łyżkami. Widocznie ujrzał coś ponad ziemią, bo nie zwracał uwagi na człowieka i po chwili jął się zbliżać ku niemu robiąc duże susy.

— E-e, bratku, nie poczynaj ze mną tak poufale! — pomyślał Lis i wymierzywszy starannie strzelił.

Ugodzony śmiertelnie koziół padł z żalonym bekiem.

W tej chwili skądś z wysoka, niby kamień, mignęło w powietrzu centkowane ciało i, jak gdyby tą samą kulą rążone, spadło na leżącego rogacza. Duży kot o uszach, ozdobionych miotelkami czarnych włosów, wbił pazury i kły w kark kozła.

— Ryś! — mignęła Lisowi myśl i przysiadłszy za krzakiem jął szybko i cicho nabijać karabin. Założywszy świeży kapiszon wyjrzał. Ryś szarpał martwe zwierzę, mruczał i prychał.

Nowy strzał i obok rogacza jął prężyć się i miotać plamisty kot. Ze strzaskanej kulą głowy buchała krew, lecz ryś długo jeszcze drapał pazurami korę brzozy i wrywał szmaty darniny.

Lis odciął rogaczowi szynkę, wtłoczył do swego worka, a resztę wraz ze sztywnym już ciałem rysia złożył w rozwidlinie konarów pobliskiego drzewa i już śmieiej, nie dbając o zachowanie ciszy, szedł na północ. Kilka razy spod jego nóg z łopotem skrzydeł i przeraźliwymi krzykami wrywały się głuszce, cietrzewie i zuchwale jarząbki, które natychmiast siadały na wysokiej gałęzi i z ciekawością przyglądały się człowiekowi.

Dobrze już po południu krajobraz zaczął się zmieniać. Znikły brzozy i świerki, a w rozłogach coraz wyższych pagórków kryły się ciemne gaje modrzewiowe, dalej zaś sosny, o złocistych i różowych pniach. Liliowe wrzosowisko, ciemna zieleń borówek okrywały zbocza pagórków. Coraz częściej z ziemi wyzierały ciemno-czerwone skały lub osypy piasku.

Wzgórza, jedno po drugim, szły nieprzerwanym, coraz bardziej podnoszącym się nad równiną łańcuchem.

Północne ich zbocza i niższe uskoki przechodziły w płaszczynę tundry, okrytą wrzosowiskiem, ciemną zielenią borówek, czarnych jagód, mchem i bladymi, puszystymi pędami żurawiny. Południową zaś stronę, ukrytą przed zimnymi wiatrami, zdobył w swe posiadanie dziewiczy bór, z sosen i świerków złożony.

Tam i sam z pluskiem mknęły potoki, skacząc po kamieniach, przewalając się piennymi kaskadami przez zwalone kłody drzew. Wiewiórki gziły się w gąszczu iglastych gałęzi świerków; z ziemi zrywały się stadka jarząbków i siadały na sękach sosnowych. W dolach, wybitych przez spadającą z wysoka wodę, pływały upstrzone centkami pstragi i srebrne „chajruzy“.

Wszystko to spostrzegł i dobrze zapamiętał sobie samotny człowiek.

Szedł brzegiem potoku, rozlewającego się coraz szerzej.

Rozumiał, że zbliża się do jego ujścia. Tak też było w rzeczywistości. Wkrótce wyszedł w dolinę rzeki, pędzącej szybko w kamiennym łożysku, przegrodzonym zwaliskami skal i strąconych przez wichry drzew. Wąskie, lecz głębokie pasmo wartkiej rzeczki wirowało, pienilo się i pluskało warkotliwie. Pod stromym spychem, na głębiny dojrzał duże ryby. Rozpoznał wśród nich „tajmienię“ o czerwonych grzbietach i ogonach, mieniające się różnymi barwami pstragi i srebrzyste, zwinne chajruzy.

W pobliżu krętego jaru spłoszył sarny, pijące wodę, a trochę dalej, z wystającego z wody kamienia skoczyła do rzeki brunatna wydra.

Oczy Lisa miały iskry. Przekonywał się coraz bardziej, że Wotkuł powiedział prawdę; miejsce było istotnie bardzo piękne.

Rozejrzał się wokół bacznie oglądając pnie sosen. Po pewnym czasie dostrzegł białą plamę na żółtym pniu. Była to zacieś, zrobiona snadź niedawno, bo złociste krople żywicy nie zdołały jeszcze stwardnieć w powietrzu. Kierując się według tych znaków, zwykłych dla podróżujących przez tajgę Sybiraków, Lis odnalazł ślad ogniska, przy którym spędził noc poszukujący go Wotkuł.

Samojed wybrał był dla swego obozowiska polanę, od północy osłoniętą zboczem wysokiego pagórka i ścianą świerków. Jedna strona polany dotykała wąwozu, którym wpadał do rzeki Algimu szeroki, głęboki potok, druga przechodziła w zarośniętą nikłym lasem kotlinę.

— Dobre miejsce na osiedle! — pomyślał zesłaniec i jął rozważać, jak wypali, wytrzebi i wykarczuje gaszcz leśny, a w kotlinie zaorze duży szmat roli.

— Wszystkiego będziemy mieli tu pod dostatkiem! — mruzczał, uśmiechając się sam do siebie. — Jagód tu bez liku; ryb — to chyba umyślnie ktoś powpuszczał je do Algimu i potoków! Wielki Boże! — westchnął dziękczynnie, — niech imię Twoje rozślawione będzie po całej ziemi — od kresu do kresu! Jakżeż się ucieszy moja Julianka, gdy ujrzy te cuda!

Szybko zrzucił z siebie worek i wydobywszy z niego sieć jął rozpalać ognisko. Gdy płomienie poczęły już lizać dno zawieszonoego nad nimi kociołka, zarzucił sieć na ramię i brzegiem potoku zbiegł ku rzece.

Nie zdążyła jeszcze zagotować się woda, gdy Lis powrócił już, niosąc kilka trzepoczących się w sieci ryb. Naprędce

oskrobawszy je i oczyściwszy, wrzucił do kociołka, a potem, wystrugawszy cienki patyk, zatknął na nim kawał sarniny i upiekł przy ognisku. Pokrzepiwszy się obficie narabiał cienkich świerków i upłócił z nich schronisko dla siebie, coś na kształt niskiego szalasu, w którym miał spędzić noc nad brzegiem Algimu.

Śpieszył się, bo mrok już zapadł, a w głębi boru rozległy się basowe pokrzykiwania puchacza.

Znużony całodziennym marszem, szepcząc słowa modlitwy, wcisnął się do szalasu i usnął snem kamiennym.

Jakieś zmory nocne opadły go.

Coś przytłoczyło mu pierś i ścisnęło za gardło. Nie mógł się poruszyć, obezwładniony zmęczeniem i snem. Nagle coś runęło na niego i uderzyło go w głowę. Chciał zerwać się, unieść uspione, ciężkie powieki, lecz nie mógł, bo ciężar ten, jak kamień, przygniótł go do ziemi. Wtedy dopiero oprzytomniał zupełnie. Szarpnął się potężnie, zrzucił z siebie jakąś czarną bryłę, wygramolił się spod rozwalonego szalasu i porwał za siekiere. Nieznana, czarna postać, ledwie oświetlona przygasającym ogniskiem, leżała na wrzosowisku. Lis podniósł już był siekiere, aby zadać nieznanemu napastnikowi śmiertelny cios, lecz zatrzymał się nagle, gdyż posłyszał cichy jęk:

— Litości... Litości!...

Pochylił się i, zgarńawszy ogłuszonego upadkiem człowieka, przywłókł go do ognia. Dorzucił suchych, smolnych gałęzi i znowu się pochylił ze zdumieniem przyglądając się leżącemu.

Ten jednak, chociaż oczy miał otwarte, nie mógł mówić. Lis spostrzegł na czole nieznanego krew i domyślił się, że, szamocąc się z nim przez sen, musiał uderzyć go głową o kamień.

Leżący człowiek miał dziwny i straszny wygląd.

Odpychające, cuchnące lachmany spadały z wychudłego,

czarnego ciała. Przez dziury wyglądały okryte ropiącymi ranami kolana. Znękana, obrośnięta rudymi klakami, wyłękła twarz krzywiła się przerażająco usiłując wyrazić uśmiech. Na czole, poprzez sącząca się krew, widniał głęboki, ni to blizna po źle zagojonej ranie znak; zniekształcony, o wyrwanych nozdrzach nos i owrzdzone, popękane wargi przejmowały zgrozą i wstrętem. W zaciśniętej dłoni człowiek ten trzymał „kiścien” — krótki kij, z uwiązany m rżemyku kawalkiem żelaza. Lis ujrzawszy tę broń domyślił się, kogo widzi przed sobą.

— Jesteś „brodziaga”, zbrodniarz, uciekający z katorgi? — spytał, patrząc groźnie na nędzarza.

Ten wyjąkał szczękając zębami:

— Tak... zbiegłem z więzienia w Akatuju... Znęcano się w katordze nad aresztantami... Wypalono mi żelazem numer na czole... Szczypcami wyrwano nozdrza... bito... torturowano przykutego do taczki, bezbronnego... chorego... Nie mogłem dłużej znieść takiej męki... zbiegłem... idę już pięć miesięcy... przedzieram się przez tajgę omijając osady, aby nie wpaść w ręce policji... Żywię się jagodami, surowymi grzybami i korzeniami... Gonię resztkami sił...

Umilkł, z jękiem usiadł na ziemi i nagle szlochać zaczął straszliwie, głucho. Z zadartą, potworną głową i szeroko otwartymi ustami stał się przerażająco podobny do wilka i wyl jak wilk.

— Dlaczego napadliście mnie? — spytał Lis.

— Chciałem was zabić... bo jesteście kozakiem, strzegącym dróg leśnych... — mrucał zbieg urywanym głosem.

— Nie jestem kozakiem!... Tu nie ma kozaków, ani policji... — uspokoił go zesłaniec.

— Chwała ci, Boże! — westchnął zbieg. — Mogło się stać nieszczęście... Zabilbym was „kiścieniem”... zabilbym..., tylko żelazo mi się zaplątało w gałęziach szalasu.

Milczeli przyglądając się sobie bacznie, z ostrą cieka-

wością, co to aż do duszy się wdziera. Lis nie więcej nie mógł, wstał, wziął kociołek i schylił się po karabin.

— Nie ufacie mi? — szepnął włóczęga.

— A dlaczegoż bym miał wam ufać od razu, bez powodu, gdy przed chwilą zamierzaliście rozłupać mi głowę, niby garnek gliniany? — spytał Lis wzruszając ramionami.

— Niby tak... — mruknął katorżnik. — Tylko...

— Dorzucicie drzewa do ognia — przerwał mu zesłaniec. — Pójdę po wodę i nakarmię was.

Odszedł czując, że jakaś myśl uporeczywa podnosi mu się z głębi duszy i żąda postanowień nagłych i ważnych.

Powróciwszy w milczeniu warzył polewkę z sarniny, wysypawszy do niej garść kaszy gryczanej, i patrzył w ogień. Z kociołka z sykiem wyrывała się już wonna para. Spojrzał na nieznajomego. W ciemności pały mu oczy, rozżarzone odblyskiem ogniska, rozpaczliwym głodem i chciwością.

— Wilk... istny wilk! — mignęła Lisowi myśl.

Poszperał w torbie i znalazłszy kawałek mydła podał je zbiegowi ze słowami:

— Idźcie nad brzeg potoku! Obmyjcie głowę i ręce... albo wyszorujcie się cały! Zdążycie, zanim ugotuję polewkę!

Nieznajomy wstał i oddalił się w kierunku potoku. Długo nie powracał, a głośny plusk wody, sapanie i prychanie, dobiegające uszu Lisa, świadczyły, że zbieg usłuchał jego rady.

Gdy powrócił, zesłaniec zdjął z kolka kociołek, postawił go na ziemi i tuż na kamieniu położył łyżkę drewnianą i dwa suchary.

— Posilcie się! — rzekł nie patrząc na niezwykłego gościa.

Ze zwierzęcym rykiem rzucił się na jadło zgłodniały człowiek...

Lis odszedł, aby mu nie przeszkadzać i nie nabrać wstrętu do tego zdziczałego, śmiertelnie głodnego nędzarza.

Rzucił nań okiem dopiero, gdy posłyszał gorący, namiętny szept zbiega.

Na twarzy Lisa odbiło się zdumienie.

Katorżnik, oświetlony czerwonym światłem ogniska, klęczał i żegnając się zamaszycie raz po raz schylał głowę do ziemi. Miał oczy zamknięte i szeptał modlitwę przez zaciśnięte usta. Skończył po chwili, a potem podczołgał się na kolanach do stojącego na uboczu Lisa i padł mu do nóg wyrzucając słowo po słowie:

— Przebaczcie... przebaczcie! Jam nie wiedział, na kogo napadłem... Od rozumu z głodu odszedłem... Za poratowanie mnie, niech Bóg pocieszy wasze serce! Niech Bóg...

Tulił głowę do nóg Lisa i okrywał je pocałunkami powtarzając zdyszczanym głosem:

— Bóg!... Bóg!... Bóg!...

Z trudem uspokoił go zesłaniec, po czym kazał mu zdjąć ubranie i nałożyć czystą bieliznę, którą wydobyl ze swego worka.

— Jutro pomyślimy o reszcie... — rzekł do zbiega słuchając jego głośnego szlochu.

— Nie odganiacie mnie... grzesznego? — zapytał wreszcie podnosząc na Lisa zapłakane oczy.

— Nie! — odpowiedział Polak. — Uczynicie z sobą, co postanowicie sami...

— Będę psem, niewolnikiem waszym! — wybuchnął zbieg. — Każdemu gardło za was przegryzę! Nazywam się...

— Czekaćcie! — przerwał mu Lis. — Nie chcę nic wiedzieć o was! To rzecz wasza, waszego sumienia i Boga, który wszystko widzi... Będę wołał na was — Wilk, bo macie ślepie i kły, kubek w kubek, jak ten wilk!

Zaśmiał się nagle wesoło i dodał:

— Chociaż naprawdę z tymi to strasznymi kudłami, brodą po pas i zarośniętą gębą przypominacie mi raczej

niedźwiedzia. Ba — on by się was uląkł, boście straszliwie kosmaty... Wilku!

— Dajcie nóż, to ja w mig włosy poucinam! — zawołał zbieg.

— Do jutra poczekamy... — kiwnął głową Lis.

— Nie ufacie?

— Nie o to chodzi! — uśmiechnął się Lis. — Ino boję się, że po ciemku leb sobie utniecie. Połóżcie się przy ognisku i prześpijcie, bo już niebawem świtać zacnie!

Wilk nie przeczył już i zwinął się na trawie przy ognisku. Zesłaniec rzucił mu wołokowy koc, którym włóczęga owinął się natychmiast.

Usnął w jednej chwili, a Lis usiadł naprzeciwko i zamyślił się.

— Ha! — mruknął do siebie. — Jak widzę, po ziemi chodzą stokroć nieszczęśliwsi ode mnie. Takie to zagnane, zbiedzone, na śmierć wylękle chłopisko!

Spojrzał na skuloną postać śpiącego katorżnika i uśmiechnął się dobrotliwie i rzewnie. Zapomniał już, że tak niedawno człowiek ten zamierzał go zabić. Dusza polskiego zesłańca zrozumiała ogrom męki zbiega i wszystko mu przebaczyła na zawsze.

Lis nie mógł spać tej nocy, więc nim słońce się wynurzyło spoza boru, ułożył plan dalszej pracy. Obudziwszy przybysza kazał mu rozpalić ognisko i zagotować herbatę. Po rannym posiłku zesłaniec wydobyl z worka zapasowe spodnie zamszowe, ciepłą kurtkę, krótkie trzewiki wyrobu samojedzkiego i oddał nowemu towarzyszowi.

— A te swoje lachmany spalcie! — rzekl. — Tak mi się widzi, że mieszka w nich więcej wszy niż ludzi w dużym mieście!

Ujrzawszy roześmianą twarz przebranego już Wilka, zwrócił się do niego poważnie:

— Podzielimy pomiędzy sobą herbatę, sól, cukier i żywność, abyście mieli na dalszą drogę...

Zbieg zbladł i krzyknawszy przeraźliwie padł do nóg Lisa.

— Nie każcie mi odchodzić! — wołał z rozpaczą. — Pozwólcie pozostać przy sobie!

Polakowi oczy błysnęły radośnie. Odparł natychmiast:

— Zostańcie, jeżeli taka jest wasza wola...

Wilk ze wzruszenia nie mógł wydobyć głosu, więc tylko czepiał się swego dobroczyńcy i całował go po nogach i rękach.

— No, wstańcie już! — rzekł zesłaniec. — Musimy powracać do mego szałas, Wilku!

— Nazywajcie mnie Romanem... — cichym głosem prosił kałorznik.

— Niech i tak będzie! — zgodził się pan Władysław. — Pakujmy tedy rzeczy, Romanie.

Podzielili wszystko na dwa tłumoki i ruszyli przez knieję ku polanie, gdzie uriadnik Leszczenko pozostawił na męki samotności polskiego zesłańca.

Przedzierali się długo przez bagnistą tajgę, aż Lis dojrzał na błocie ślady bosych nóg, widziane już przedtem.

— Niebawem już dojdziemy — rzekł cichym głosem.

Istotnie tajga stawała się coraz rzadsza i wkrótce wędrowcy wynurzyli się na polanę. Lis spojrzał w stronę szałas i wydał cichy okrzyk.

Pod ścianą czumu siedziała jakaś ciemna postać, co chwila pochylając się i prostując.

Szli przez cały dzień i teraz w zapadającym mroku nie mogli dojrzeć dokładnie tego, co ktoś majstrował przy szałasie.

— Skądby się tu wziął człowiek? — szeptem zapytał zesłaniec. — Na takim pustkowiu? Z dała od drogi?

Roman nie odpowiedział. Przykucnął na ziemi, aby

mu nie przeszkadzały resztki światła, odrzucanego przez blade niebo, i wpatrywał się w tajemniczego gościa.

— Panie! — szepnął wkrótce. — Panie! To — niedźwiedź! Wylamał on żerdzie z szalasu, i coś tam szarpie...

Podczołgali się bliżej kryjąc się poza krzakami. Niedźwiedź jednak, czy to posłyszał szelest trawy, czy też zwęszył ludzi, od razu stanął na tylnych łapach i ryknął groźnie.

Lis wziął go na cel i strzelił. W niepewnym świetle zmierzchu chybił jednak. Nie miał czasu nabić karabina, gdyż niedźwiedź runął na niego.

Zesłaniec sięgnął po nóż, lecz rękojeść jego zaplątała mu się w zwojach pasa. Zwierz dopadł już człowieka i w straszliwym zamachu wznosił nad nim potężne łapy. W tej samej chwili coś chrzęstnęło, gwizdnęło w powietrzu i spadło na kudłaty leb rozwalając czaszkę.

Niedźwiedź runął na wznak, a Roman dopóty bił go kścieniem, aż ustały drgawki i zwierz zeszytywniał.

— Dziękuję wam Romanie! — zawołał Lis.

Ten milczał radośnie się uśmiechając. Wreszcie podbiegł do szalasu i krzyknął:

— Patrzcie — no, panie! „Czaldon“ wyciągnął wam z szalasu jukolę i pożarł ją!

Obejrżeli wnętrze czumu. Kosmaty rabuś, na szczęście, natrafił od razu na suszone ryby i rozpoczął ucztę nie tknąwszy nic innego.

Wypocząwszy dzień jeden i spakowawszy cały dobytek, tak aby go można było rozłożyć na dwu ludzi, wyruszyli na Algim.

Przechodząc przez moczary Lis mrucnął do siebie:

— Ach, tak? Te ślady bosych nóg! Teraz już wiem, że to niedźwiedź tędy przechodził!

Niosąc bardzo ciężkie tłumoki wędrowcy w ciągu dnia nie mogli dotrzeć do sosnowego boru. Spędzili więc noc w tajdze i dopiero nazajutrz, dobrze po południu, doszli do polany nad Algimem.

Lis opowiedział Romanowi o swoim życiu i zakończył tymi słowy:

— A teraz, przyjacielu, mam zamiar założyć tu nowe osiedle!

Zbieg uśmiechnął się i odparł wesołym głosem:

— To widzę, że w porę przyszedłem do was, panie! Jestem drwalem, cieślą, w domu trudniłem się u swego pana tym rzemiosłem. Umiem też piece stawiać, ponieważ nauczyłem się tego w więzieniu... ba! przesiedziałem już w nim dziesięć lat... dziesięć lat!

— No, więzienie pozostało już poza wami! — zawołał Lis. — Od jutra obaj staniemy do pracy.

Tak też i uczynili. Po tygodniu mieli już gotowy budynek, a więc belki, deski, a nawet „plaszki“ — krótkie łupanki z pni, zastępujące gonty.

Gdy w oznaczony dzień przybył Wotkuł, a z nim Ganga i piętnastu Samojedów, — na polance, wsparty na kamiennym fundamencie, wznosił się zrąb, do połowy już wykonany.

Lis witał przyjaciół, którzy ze zdumieniem oglądali nowego przybysza i wypytywali go, skąd przyszedł do tajgi na Czin-War. Ten mrużył oczy i odpowiadał:

— Spadłem wprost z nieba, bo mi się noga podwinęła zawadzivszy o obłoki!

Lis odprowadził Wotkuła na stronę i z drzeniem w głosie zapytał:

— Co powiesz mi o żonie?...

Samojed spuścił oczy, a usta mu drgnęły.

— Opowiem o wszystkim, gdy Garas nadaży za nami... — odpowiedział cicho jeszcze niżej opuszczając głowę.

Lis zbladł.

Niepokój, który przez cały ten czas tłumil w sobie, wybuchnął ze straszliwą siłą.

Zesłaniec skoczył ku Wotkułowi, porwał go za ramię

i wstrząsnął nim pytając syczącym głosem, w którym było błaganie i groźba:

— Natychmiast mi odpowiedz, natychmiast!

Samojed przyjrzał mu się bacznie i spostrzegłszy rozpacz na twarzy przyjaciela odparł pośpiesznie:

— Uspokój się „Sprawiedliwy“! „Biała niewiasta“ zdrowa jest i wkrótce tu przybędzie.

Lisowi na tę wieść podcięło nogi. Nagła rozpacz wyczerpała go. Pot okrył mu czoło. Bezsilny usiadł na sterzącym z ziemi pniu i przymknął oczy.

Siedział długo nieruchomy, ciężko oddychając. Półświatłomie słyszał nawoływania z lasu, widział Gange, zbiegającego z pagórka i wymachującego rękami.

Z trudem podniósł oczy i długo wpatrywał się przed siebie.

Z boru wylaniały się jeden za drugim idące renifery. Przed nimi podpierając się sękatym kijem kroczył roześmiany, kulawy Garas. Coraz więcej reniferów i prowadzących je Samojedów wynurzało się z lasu. Wreszcie na ostatnim, za którym szli Michał Rodionow z synem, Lis ujrzał kobietę na koniu, prowadzącą za sobą krowę. Od razu zrozumiał wszystko i już biegł, czując, że serce mu wali jak młotem i że brakuje mu tchu w piersiach. Dopadł wreszcie i porwał w objęcia swoją Juliankę, całował ją po rękach, oczach i ustach powtarzając zdyszczanym głosem:

— Słoneczko!... Słoneczko mojej!... Powróciło... Powróciło!

Ona zaś odpowiadała mu przez łzy radości:

— Wyrobiłam sobie pozwolenie na pozostanie z tobą, Władeczkule... Już nigdy, nigdy się nie rozstaniemy! Biedaku mój, chłopaku kochany!

Widząc jego wzruszenie starała się uspokoić go, więc opowiadała mu o swej podróży do Tomska, o widzeniu się z nowym gubernatorem i o uzyskaniu od niego pozwolenia na

przebywanie przy mężu, przez cały czas zesłania. Potem mówiła o dobroci mieszkańców Narymu, którzy nabyli od nich dom i pole i dali renifery do przewiezienia całej majątności.

— Wywiozłam wszystko, wszystko, do ostatniej garsteczki mąki! — zakończyła swe opowiadanie.

Kulawy Garas kręcił się w pobliżu i śmiał się głupkowato.

— Ach! — zawołała pani Lisowa. — Zapomniałam ci powiedzieć, że nasz robotnik nie chciał pozostać w Narymie i poszedł za mną, aż musiałam przyrzec mu, że weźmiemy go do siebie... Pocziwa to dusza!

I powtórzyło się znówu to, co już raz się stało w Narymie.

Rodionow dowodził Samojedami, którzy przy pomocy wprawnego Romana szybko zakończyli budowę chaty, obory i przestronnej kleci z piwnicą. Roman urządził cegielnię w zboczu stromego brzegu, a Samojedzi narobili cegieł z gliny. Po paru dniach murowano już piece i kominy w nowej chacie, a gliną zamazywano szczeliny w ścianach, chociaż były one starannie zatłkane mchem.

Wotkuł nie brał udziału w budowie nowej „zaimki“ nad Algimem. Nazajutrz bowiem po przybyciu zniknął z obozowiska. Powrócił po kilku dniach i przywiódł ze sobą trzech Samojedów.

Usiedli wszyscy przed zesłańcami i rozpoczęli narady.

Byli to tymsko-karakońscy Samojedzi, koczujący na tundrze, gdzie paśli duże stada reniferów, jedyną swoją majątnością.

Namówieni przez Wotkuła oznajmili Lisom, że jedno ze swych zimowych koczowisk założą na przeciwległym brzegu rzeki, będą odwiedzali zesłańców, a w razie potrzeby, pomagali im. Prosilili natomiast, aby „sprawiedliwi ludzie“ uczyli ich młodzież i leczyli chorych.

Partia mieszkańców narymskich skończywszy budowę osiedla pożegnała Polaków i odjechała. Ostatni odchodził Wotkuł.

Długo bił poklony, zwrócony twarzą ku wschodowi, i błagał Wielkiego Ducha o opiekę nad przyjaciółmi. Wreszcie powstał z klęczek i oznajmił, że wraz z towarzyszami w zimie przybędzie do Lisów na łowy. Jeszcze raz uściśnął ręce zesłańcom i skinąwszy ręką Garsie i Romanowi zniknął w borze.

Lisowie zaczęli oporządzać swoją nową siedzibę, w czym dopomagał im Garsa. Pracowity, milczący Roman nie zwlekając jął rąbać młody las w kotlinie, przygotowując drzewo na opał, a później puścił syberyjskim zwyczajem „pał“, czyli pożar leśny. Zamierzał w ten sposób wytrzebić roślinność na dnie kotliny, bo wiedział, że ma tu być założone pole i ogród. Pracował tak zawzięcie, że aż Lis musiał go hamować obawiając się, że mrukliwy zbieg zachoruje z wyczerpania.

Posłyszawszy o tych obawach gospodarza Garsa parsknął śmiechem i zawołał:

— On już jest chory, bo mu brzuch rośnie i gęba pokraśniała...

— A tobie, nicponiu? — spytała pani Julianna.

— A mnie też, a mnie też! — przekomarzał się parobek rechocąc zabawnie.

ROZDZIAŁ XI

W OSADZIE NA AŁGIMIE

Gdyby ktokolwiek zajrzał do osady Lisów, nie uwierzyłby na pewno, iż mieszka tu rodzina zesłańców, skazanych na niechybną śmierć. Panowała tu niczym nie zamglona pogoda ducha. Czworo ludzi, rzuconych przez los na skraj tajgi północnej, za którą rozwieliżniła się prawie naga tundra, ojczyzna wichrów mroźnych, nie czuło nigdy nudy, rozpaczy i bezwładu myśli.

Mieli oni skuteczne leki na te męki samotności. Były nimi — czyste sumienie, chrześcijańska ofiarność i praca.

Przy nowej chacie coraz częściej teraz stawały rogate renifery, bo Samojedzi niemal codziennie przybywali do lekar-ki, a pani Lisowa nigdy nie odmawiała im pomocy. Wypy-tawszy za pośrednictwem Garsy o rodzaj choroby, układała w skórzanej torbie swoją apteczkę, wsiadała na osiodlanego renifera i jechała do dalekich koczowisk, a z nią — nieod-stępny towarzysz, obrońca i sługa, głupkowaty, roześmiany parobek kulawy. Bez niego nigdzie się nie ruszała żona ze-słańca. Zresztą nie mogłaby nawet uniknąć jego towarzystwa, Garsa bowiem kręcił się przy niej jak wierny pies i nie od-stępował jej nigdy.

Pan Władysław z milczącym zawsze Romanem pracował w dolinie. Las dawno już zniknął pod toporami silnych drwali i w płomieniach, leśnego pożaru. Teraz okopywano okopcone pnie i wypalano je do korzeni, a wrywano i rąbano tak szyb-ko, że karczowanie dobiegało już końca.

Pracujący nad Algimem ludzie nie tracili ani jednej wol-nej chwili, byle tylko ulepszyć powstające gospodarstwo.

Czasową lekką kleć przerobili na śpichrz i spiżarnię, nad-budowując na niej przewiewny strych, dla przechowania sus-zonych i wędzonych zapasów żywności; na głębokim potoku zbudowali dużą, opatrzoną w otwory skrzynię, w której umie-szczono żywe ryby schwytane w sieci; otoczono nowe osiedle wysoką, mocną zagrodą z płach i żerdzi świerkowych; posta-wiono ciepły kurnik, a w rogu dziedzińca ułożono okrągły stos porąbanego drzewa i stóg siana. Roman po nocach nawet, przy świetle lampki, w której palił się łój, zawsze coś maj-strował, to robiąc mocne skrzynie na solone ryby i kadzie z klepek brzoźowych, to znów żłobił koryta, aż wreszcie z pnia cedrowego wypalił czółno.

Pewnego razu, gdy wszyscy siedzieli już przy stole, w oczeki-waniu wieczornej strawy, posłyszano szczekanie psa.

— Zapewne znowu ktoś z Samojedów zachorował i po-syła po mnie — rzekła pani Julianna podchodząc do drzwi.

W tej chwili rozległo się skrzypienie stopni na ganku i do sieni wszedł Wotkuł. Miał stroskaną twarz i ponure oczy.

Za nim wślizgnęła się do izby mała kosmata „łajka“ o rudych kłakach i natychmiast umknęła pod ławkę.

— Niech Wielki Numa... — rozpoczął łowiec zwykle po zdrowieniu, lecz urwał nagle i rzucił się do nóg pani Julianie wołając: — Ratuj nas!... ratuj!... Moja żona Bigit i Dunia Rodionowa umierają... Ratuj!... ratuj nas!... Może już za późno... bo już dziś trzeci dzień mija, jakem opuścił Narym... Nie mogłem prędzej dojechać... bo jeden renifer... ze znużenia padł mi nad Usakirem...

Pani Lisowa usadowiwszy zrozpaczonego przyjaciela szybko podała wicherzę.

Po herbacie dopiero ją się wypytywać Samojeđa o objawy choroby żony jego i córki Rodionową, czarnoookiej, cichej Duni. Wkrótce, gdy inni już spać się pokładli, żona zesłańca zasiadła do wertowania książek medycznych, a potem krzątała się koło szafy z lekami układając je do torby. Wyraz niepokoju coraz wyraźniej malował się na jej bladej twarzy, a zmarszczka troski i głębokiego namysłu przecięła pogodne czoło młodej kobiety.

O świcie pani Julianna była już gotowa do dalekiej drogi przez tajgę. Wotkuł wyszedłszy z chaty obejrzał się za Lisem i rzekł do niego:

— Widziałeś tego rudego pieska? Jest to syn mojej „łajki“ Wyr, najlepszej w całej tajdze. Ten szczeniak zna już swoją nazwę, Urr, a widziałem go w kniei. Młody jest jeszcze i gorący, lecz mądry, a węch posiada ostrzejszy nawet od mego psa! Przywiodłem go dla ciebie. W tajdze nie obejdiesz się bez dobrego psa...

Lis dziękował przyjacielowi za istotnie piękny i pożyteczny dar i żegnał żonę, która wsiadała już na małego narymskiego konika. Po chwili karawana ruszyła. Na czele jechał Wotkuł na starym, o rozłożystych rogach reniferze prowadząc

na rzemieniu drugiego, zapasowego. Za panią Lisową człapał też na reniferze, szczerząc zęby w uśmiechu, nieobdstępny Garsa.

Lis stał i patrzył smutnym wzrokiem na odjeżdżających, a nawet milczący Roman wzdychał żałośnie. Jak gdyby potęgując gorycz pożegnania, skądś z wysoka dobiegł jękliwy, trwożny klekot żurawi. Prawie niewidzialny, pod szarymi chmurami, pędzącymi wysoko, łamanym co chwila szykiem leciał klucz tych wędrownych ptaków przelotnych i nawoływał się smętnym kieraniem.

— Lada dzień będziemy mieli zimę — mruknął katorżnik. — Żurawie — te ostatnie, najslabsze już — odlatują.

Roman zgadł, bo coś na piąty dzień po odjeździe pani Julianny zaszumiał, zagwizdał, zawył wicher porywczy, zakręcił śnieżnym tumanem i okrył ziemię białym płaszczem. Natychmiast uderzył mróz, a słońce, ukazujące się na krótko, zapaliło na śniegu wielobarwne iskry.

Przyszła zima.

Pierwsza zima na odludnym Czın-Warze.

Jednocześnie z nią przybyło nad Algim i założyło tam swe obozowisko kilka rodzin samojedzkich ze stadami.

Roman całymi dniami krzątał się wokół domu. Sprawdził piece, zatykał każdą wykrytą szczelinę, zaopatrywał okna wkładając między ramy mech, szczelniej zbijał deski we drzwiach i otulał je od wewnątrz skórami upolowanych przez Lisa jeleni i saren, wreszcie zbudował budę dla Urra, który, mimo że był ponury i nieufny, prędko się przyzwyczaił do nowej siedziby.

Lis, korzystając z wolnego od pracy czasu postanowił nauczyć się jeździć na nartach, ponieważ było to niezbędne do zimowego polowania. Chciał też dobrze poznać psa i wprawić się do wspólnych z nim łowów.

Śnieg skrzął się tak jaskrawo, że zesłaniec musiał mrużyć oczy. Spod białej powłoki tam i sam wyglądały do kropli

krwi podobne jagody żurawiny, borówek i „kniażeniki“. W takich miejscach Lis spostrzegał zwykle wykopane dolki i liczne ślady. Gdy wreszcie ujrzał zrywające się pardwy, zrozumiał, że to północne, białe kuropatwy wygrzebują dla siebie spod śniegu pożywienie.

Inne, a coraz liczniejsze ślady biegły też poprzez białą płaszczyznę tundry, chociaż wydawała się pustynną i martwą. Nic jednak dojrzec nie mógł nienawykły do syberyjskich łowów myśliwy.

Wtedy to uczyć go zaczął tej sztuki rudy, kudłaty Urr.

Mijali właśnie zarośla brzozy polarnej, nędznej, karłowatej, płaszczącej się tuż przy ziemi. Pies nagle przystanął, podniósł głowę i najeżył sierść na karku. Małe ostre uszka drgały mu, chrapy rozdymały się i węszyły.

Lis postąpił kilka kroków ku niemu trzymając w pogotowiu strzelbę. Urr natychmiast podczołgał się do swego pana, zapiszczał cieniutko i szarpnął go z lekka za nogę, jak gdyby chcąc zatrzymać na miejscu.

Lis stanął jak wryty.

Piesek porozumiewawczo merdnął ogonem i jał skradać się ku chaszczom. Po chwili podpełznął do nich i położył się na ich skraju. Poruszał zwolna głową na wszystkie strony węsząc i nasłuchując.

Widać, że w mig zrozumiał wszystko, bo bez szmeru powrócił do myśliwego i szarpnąwszy go znowu pobiegł naprzód, oglądając się raz po raz. Lis szedł za nim, z zachwytem patrząc na mądre zwierzę. Piesek doprowadził go do miejsca, gdzie z chaszczy brzeziny wybiegała szeroka ścieżka. Węszył tu długo opuściwszy ogon, aż wreszcie zaskowytał cicho, znowu szarpnął myśliwego, wbijając w niego surowe ślepie, po czym, nie oglądając się, pobiegł na lewo.

Człowiek zrozumiał, że pies pozostawił go tu na czatach, więc postąpiwszy kilka kroków ukrył się za krzakiem i podniósł kurek karabina. Z bijącym sercem wpatrywał się w po-

wiklaną sieć nagich prętów z poruszającymi się tu i ówdzie żółtymi liśćmi.

Nie widział już teraz Urra.

Minęło kilka długich minut oczekiwania, gdy nagle przed nim, z przeciwnego końca zarośli, rozległo się jedno, jedyne basowe szczeknięcie pieska. Prawie w tej samej chwili myśliwy posłyszał lekki trzask w krzakach i na ścieżkę wybiegły, jeden po drugim, trzy wilki.

Jeden z nich szary, prawie biały, przystanął nagle, aby rozejrzeć się po tundrze, lecz w tej chwili buchnął strzał i wilk ugodzony w pierś tuż pod szyją, padł rozrzucając śnieg i brocząc krwią. Inne pierzchły do chaszczy.

Nie zdążył myśliwy nabić ponownie strzelby, gdy nadbiegł Urr.

Pytająco spoglądał na pana, a gdy ten skinął ręką wskazując na leżącą zdobycz, podbiegł ku niej truchtem, powęszył, liczył krew na śniegu i powrócił.

Teraz znowu przyglądał się człowiekowi bacznie i natarczywie.

Pan Władysław schylił się i pogłaskał go po grzbiecie.

Piesek pisnął cieniutko i merdnął puszystą kitą. Lis wtedy wyraźnie zrozumiał, że podczas tego polowania on i pies wzajemnie się poznali i obaj byli z siebie zadowoleni.

Bieg na nartach samojedzkich, okrągłych, krótkich, o oparciu z żył i podszyciu z jeleniego futra, co pozwalało posuwać się po miękkim nawet śniegu i na zarośniętym terenie, coraz lepiej udawał się Lisowi.

Chodził na polowanie codziennie, z czego niezmiernie cieszył się Urr, trzymany w domu na uwieży, ponieważ obawiano się, że może zbiec i powrócić do Wotkula.

Pies nauczył swego pana wypatrywać białe pardwy i gronostaje na śniegu, gdzie widniał tylko czarny koniec drgającego ogonka małego drapieźnika, szukać pływów lasic, ukrytych w kupkach opadłych, brunatnych liści, i zacząć się

przy ścieżkach, wydeptanych przez lisy, żerujące w zaroślach lub kluczące po tundrze.

Pan Władysław nie strzelał do drobnych drapieżników, bo wiedział, że łowcy chwytają je w potrzaski, aby nie niszczyć drogich skórek, lecz zdobył sporo wilków, lisów i białych zajęcy, nagnanych na niego przez sprytnego Urra.

Z tych futer cieszył się najwięcej Roman. Całymi nocami śleczął nad nimi, zgarniając z nich tłuszcz i resztki mięsa, myjąc i miętosząc, aby nabrały miękkości; wtedy uszył z nich duży kobierzec i okrył nim główną izbę chaty.

— Teraz nasza pani nie będzie czuła zimna w nóżki... — mrucał, a oczy spod krzaczastych brwi świeciły mu radością.

Na tundrze Lis spotykał czasem pastuchów samojedzkich, strzegących stad.

Renifery chodziły wolno i ostrymi racicami wygrzebywały spod śniegu mech i trawę. Czarne, białe i pstrokate „łajki“, złe i czujne, uwijały się wokół i naszczekiwały.

Niezliczone zgraje wilków czaiły się na śnieżnej równinie i czyhały na pojedyncze renifery, gdy odbiwszy się od stada wędrowały zbyt daleko w poszukiwaniu paszy. Toteż psy pasterskie czuwały nad bezpieczeństwem stada, zawracały nieostrożne jelenie północne, odpędzały skradające się wilki. Nieraz chwytaly czworonożnego bandytę w biegu i trzymały go, aż dopóki nie nadbiegli pastuchy i nie zabili go oszczepem, nożem albo strzałą z luku.

Podczas swoich wypraw myśliwskich Lis nieraz napotykał mogiły samojedzkie.

Dziwne to były groby!

Nieboszczyka wraz z pozostałym po nim ubraniem, lukiem i złamanym nożem składano zwykle w zrębie z bełek modrzewiowych i przywalano pokrywą jego kamieniami. Na takiej trumnie stawiano przewrócony do góry dnem dziurawy kocioł, a obok — sanie, z uwiązany do nich ciężkim dzwonkiem. Po pogrzebie krewni i przyjaciele, odprowadzający nie-

boszczyka do miejsca ostatniego spoczynku, odjeżdżali nie oglądając się poza siebie, na pewnej zaś odległości od mogiły wtykali w śnieg lub w ziemię dwa skrzyżowane pręty, mrucząc przy tym:

— To jest nasza droga, a ta — twoja! Kroczyć już teraz swoją drogą!

Jeżeli wypada przejeżdżać koło grobu zmarłego, Samojeździ zatrzymują się, zabijają młodego jelenia i uczłują. Powiesiwszy na grobie czaszkę renifera z rogami, uderzają w dzwonek i mówią chórem:

— Słyszysz, nieboszczyku? Uczciliśmy godnie twoją pamięć!

Przy mogiłach samojezdskich, rozrzuconych po tundrze, pan Władysław upolował sporo wilków i lisów, które uczęszczały tu chętnie, usiłując dostać się do ciała zmarłego człowieka, przegryźć otaczające trumnę rzemienie i zrzucić ciężką pokrywę.

Powracając z dalekich wycieczek pan Władysław zaczynał zawsze od odwiedzin koczowiska sąsiadów.

Samojeździ przyjmowali go uprzejmie i gościnnie. Leniwy to jest szczerp, lekkomyślny i lubujący się w ucztach i zabawach. Radzi więc są każdej sposobności urzędzenia sutego przyjęcia. Toteż gdy zjawiał się wśród nich zesłaniec, natychmiast schodzili się wszyscy koczownicy i zarzynali jelenia, kobiety zaś zaczynały „warzyć kociol“. Posiekanego jelenia, wraz z wątrobą, sercem, śledzioną i nerkami, gotowano długo w dużym, szczelnie zamkniętym kotle do czasu, aż pozostało w nim mało płynu, a mięso miękło tak, że można je było jeść bez pomocy noża. Głowę wraz ze skórą i rogami pieczono osobno na węglach, po czym najsędziwszy Samojeźd podawał ten najlepszy przysmak gościowi, który raczył się mózgiem i ozorem.

Lis, spostrzegłszy rozrzutność sąsiadów, od tego czasu omijał koczowisko, aby nie narażać tuziemców na wydatki.

Podczas uczt bowiem przekonał się o jednej jeszcze przykrej okoliczności, Samojedzi, jak się okazało, skłonni byli do pijaństwa. Sprzedając kupcom rosyjskim skóry i mięso, kupowali zawsze wódkę, którą raczyli się chętnie. Poza tym mieli własne sposoby wyrobu napojów mocnych, oszalałających, a nawet trujących. Przyrządzali je z dzikich jagód, zbieranych w tundrze, a dla mocy dodawali jeszcze pewnych ziół, powodujących podniecenie i utratę przytomności.

Zesłaniec wiedział już od Wotkula i Pyragi, jaką klęskę szerzy pijaństwo wśród ciemnych, półdzikich koczowników.

Alkohol stawał się nieraz przyczyną krwawych porachunków i zbrodni. Otumanieni wódką Samojedzi ciężko chorowali i umierali zamarzając w swoich czumach.

Było to zjawisko nader smutne, bo ilość Samojedów topniała z każdym rokiem, a panujące wśród nich epidemie, z którymi nie mógł walczyć osłabiony z powodu pijaństwa organizm tuziemców, zagrażały zupełnym wymarciem tego północnego szczeplu.

Lis postanowił wypowiedzieć bezwzględna wojnę temu straszliwemu nałogowi. Cekał więc z niecierpliwością i upragnieniem powrotu żony, aby rozpocząć krzewienie oświaty i świadomości wśród tych biedaków, rzuconych surową ręką losu na obszary, gdzie srożyła się i szalała śmierć.

Miała mu w tym pomóc pani Julianna.

Podczas jednej z wypraw myśliwskich, gdy Lis zapuścił się był aż na tundrę Dużej Balki, gdzie z licznych jeziorok wypływały potoki, wpadające do Keci, powróciła pani Julianna do osady nad Algimem.

Przywiózł ją Michał Rodionow na nartach, zaprzężonych w cztery renifery pojazdowe. Za nimi jechały inne, powożone przez Sienkę, a naładowane ciężką skrzynią, której dostarczyła poczta do Narymu dla Lisów, gdyż nie pisali oni do rodziców o zmianie w swoim życiu, nie chcąc niepokoić i zasmucać stroskanych staruszków. Na końcu śmiejąc się

na głos trząsł się na siodle kulawy Garsa, popędzając kosmatego narymczaka i prowadząc na rzemieniu renifera Lisów.

W dwa dni po przyjeździe żony powrócił pan Władysław.

Zjawił się oszroniony od stóp do głów, zasypany śniegiem, o twarzy szerniałej od wiatru, mrozu i dymu ogniska. W podbitej jelenią skórą kurtce — „malci“, w futrzanych „pime“ i „kisach“, wciągniętych na uszyte ze skórek zajęczych „czyże“, pan Władysław miał na sobie jeszcze luźny kozuch — „sok“ na lisach, ściągnięty mocnym pasem — „ni“, ozdobionym mosiężnymi blachami. Tak ubraony, w nasuniętym na czoło kółpaku — „nesowo“, mógł śmiało ująć za rodowitego łowca samojedzkiego.

Różnił się jednak od tuziemców niezwykle rozrosłą, barczystą postacią, która w tym szerokim wygodnym stroju myśliwskim wydać się mogła potworną. Niby duża ośnieżona bryła wtoczył się do izby i padł do nóg żony. Długo nie mógł przemówić słowa, uszczęśliwiony i wzruszony ponad siły.

Z trudem uspokoił się, w pośpiechu zrzucił z siebie worek i zdjął wierzchnie ubranie i „malcie“. Pozostawszy w krótkiej skórzanej bluzie, odwiązał worek i jął wyjmować z niego zdobycz, powtarzając:

— To dla mego słoneczka... to dla mego kochania... to dla mojej Julianki niebożątka!

Pani Julianna klaskała w dłonie na widok rzuczanych jej pod nogi skórek białych lisów i tchórzów.

Rozradowany bezmiernie pan Władysław sięgnął wreszcie do worka po raz ostatni i zawołał:

— To dla mojej królowej świetlanej!

Z tymi słowy podał jej piękną, niezwykle dużą i puszystą skórę, niemal zupełnie czarnego zwierza.

— Cóż to za przepiękne futro! — zawołała zachwycona pani Julianna pieszcząc dłonią długą, puszystą sierść.

— To rozumiem! — wykrzyknął Rodionow. — Upolowaliście najpiękniejszy okaz czarnego lisa... Drogo możecie go sprzedać!

— Już sprzedałem go najdrożej! — odparł ze śmiechem zesłaniec całując żonę po rozradowanych oczach.

Pan Władysław jął teraz witać Rodionowych, Garse i Romana.

— Jakbym przeczuł twój powrót, luba moja! — rzekł po chwili. — Zbrakło mi herbaty, lecz natrafiłem na „morozkę“ i zbierałem sporo suchych liści tej samojedzkiej herbaty. Mógłbym wytrzymać od biedy jeszcze tydzień na tundrze, tym bardziej, że Urr wytropił jeszcze kilka białych lisów, lecz jakieś przecucie ciągnęło mnie do domu... Daleko byłem... szedłem podług gwiazd i potoków... Pełnię mamy, więc nocami też biegłem... do ciebie, do Julianki mojej lubej!

Przy progu stał okryty soplami lodu rudy Urr i kręcąc kosmatym łebkiem z podziwem przyglądał się zebranym w izbie ludziom. Po namyśle podeszedł do pani Julianny, podniósł głowę i cicho pisnął. Gdy pogłaskała go po mokrych kudlach, wlaź pod ławkę i jął wyrywać z sierści lód i wylizywać sobie łapy wzdychając i sapiąc.

— Chodź tu, Urr! — mruknął Roman. — Odprowadzę cię do budy.

— Zostawcie go tu, — odezwał się Lis, — już on teraz ode mnie nie zbiegnie... W przyjaźni żyjemy ze sobą...

Spod ławy dobiegło ciche skomlenie Urra.

W godzinę potem wszyscy zasiedli do stołu.

Pani Julianna opowiedziała mężowi, w jakim opłakanym stanie znalazła biedaczkę Dunię i pocziwą Wotkułową.

— Myślę, że był to dur brzuszny, — mówiła. — Na szczęście od razu domyśliłam się tego z opowiadania Samo-

jeda, a że mam odpis raportu naczelnego lekarza wojsk polskich, doktora Kaczkowskiego o tej chorobie i sposobach jej leczenia, stosowanych podczas wojny, wiedziałam, co należy czynić. Ciężką jednak miałam z nimi przeprawę, bo długo nie mogłam zwalczyć straszliwej gorączki. Bredziły, miały się i zrywały ogrzewające okłady, które stosowałam na przemian z owijaniem w płachty, wymoczone w zimnej wodzie. Prawie cały mój zapas chinu zużyłam, ale za to wyleczyłam nasze przyjaciółki! Odjechałam, bo już chodziły i wciąż domagały się jedzenia. Jest to najniezawodniejsza oznaka, że choroba już przeminęła.

Ze śmiechem opowiadała pani Lisowa o tym, jak wstawszy po chorobie, Dunia Rodionowa w nocy myszkowała po domu szukając czegoś do zjedzenia.

— A jacy oni wszyscy wdzięczni i dobrzy! — zakończyła swe opowiadanie pani Julianna. — Zasyпали mnie upominkami, przemocą wpychali mi do rąk pieniądze.

— A pani nic nie chciała od nas przyjąć! — zawołał z wyrzutem Rodionow.

— Po cóż nam pieniądze? — zaprzeczyła. — Mamy przecież wszystkiego pod dostatkiem! Niczego nam tu chwala Bogu nie brakuje! Zresztą zażądałam od was sowitej zapłaty. Czyżbyście zapomnieli, Michale Szymonowiczu? Prosiłam was, abyście przy okazji doręczyli mój list doktorowi Gruberowi w Tomsku i przywieźli mi od niego zapas chinu, opium, jodu, garbnika, anyżu, waleriany i innych środków leczniczych. Obiecaliście mi też, że przy sposobności wyślecie do nas gońca z pocztą, jeżeli coś na nasze imię do Narymu przyjdzie.

— Wszystko to spełnimy, — odparł Rodionow, — chociaż nie ma w tym żadnej zapłaty, bo wszystko to zużyjecie na leczenie ludzi...

— Dajcie spokój, przyjacielu! — przerwał mu Lis. — Widzicie przecież, że żona nie chce mówić o zapłacie! Wie-

my, że gdy będziemy potrzebowali waszej pomocy, dacie ją nam.

— Któż by postąpił inaczej?! — oburzył się kupiec. — Wam nie dopomóc?!

— No to już i zgoda! — uśmiechnęła się pani Julianna. — Idę przyrządzić herbatę, a potem — spać, bo wszyscy chyba jesteśmy zmęczeni daleką drogą!

Pod ławką cicho westchnął Urr.

— Romanie, — rzekła pani Julianna, — dajcie Urrowi miskę polewki i kości.

Piesek widocznie zrozumiał, bo natychmiast wyszedł spod ławy i przekręciwszy lebek na bok, pytającym wzrokiem wodził za robotnikiem.

Gdy Roman wzięwszy naczynie poszedł do kuchni, Urr podążył za nim. Trochę utykał na lewą łapę, lecz bardzo dostojnie, bez uniżoności merdał końcem puszystej kity.

ROZDZIAŁ XII

TCHNIENIE ŚMIERCI

Po odjeździe Rodionowych Lisowie pędzili ciche i spokojne życie.

Pan Władysław nie opuszczał już domu, chociaż rudy Urr chodził krok w krok za nim i od czasu do czasu trącał go nosem, jak gdyby przypominając gospodarzowi o rozkoszy łowów.

— Poczekaj, mały, — mruzczał do niego zesłaniec — bądź cierpliwy! Wkrótce już przyjadą nasi przyjaciele i wyruszymy na długo do tajgi, kosmaczu!

Pies widocznie rozumiał, że na nic się nie przydały jego napomnienia, bo westchnął ciężko i wlaź pod ławę, gdzie obrał sobie legowisko dzienne. Noce za to spędzał na dziedzińcu, pełniąc sumiennie czynności stróża i odpowiadając przeciągłym, złym ujadaniem na dalekie wycie wilków, dochodzące z tundry.

Zuchwale drapieżniki zakradały się nieraz do zagrody Lisów, lecz sprytny Urr czmychał wtedy do stajni i szczekał tak wściekle, że pan Władysław z Romanem wypadali z chaty i wystrzałami odpędzali napastników.

Pewnego razu Roman zaczął się w kleci i zastrzelił wilka, który usiłował podkopać się pod oborę, gdzie stała krowa i pojazdowe renifery, ryczące trwożnie.

Samojedzi z sąsiedniego koczowiska odwiedzali też czasem Lisów. Korzystając z tego zesłaniec namówił ich, aby przysyłali mu młodzież na naukę. Wkrótce więc wieczorami w izbie, przy stole zasiadało kilkoro chłopców i dziewcząt i uczyło się pilnie.

Lis jeździł do koczowiska tuziemców, opowiadał o życiu dużych, współczesnych miast i nie zapominał nigdy przestrzegać sąsiadów przed niebezpieczeństwem i szkodliwym wpływem pijaństwa. Poznawszy najbardziej oddanych temu nalogowi Samojedów, zaprosił ich do siebie uprzedziwszy o tym żonę.

Niczego się nie domyślając przybyli gromadnie i uciechyli się niezmiernie, spostrzegłszy przygotowania do uczy. Pani Juljanna i Garsa przyrządzili obfity obiad. Tłusty krupnik ze słoniną, wędzona ryba, dwie szynki z upolowanego przez Romana rogacza, z podsmażonymi na słonecznikowym oleju ziemniakami, smakowały gościom wyśmienicie. Zagryzali to wszystko sucharami z chleba razowego, a wydali okrzyk radości, gdy uprzejma gospodyni wniosła kociolek, buchający wonną parą.

Rozdęte nozdrza Samojedów z lubością wchłaniały aromat gorącej wódki. Chociaż miała jakiś niezwykły żółty kolor i trąciła goryczą, jednak pili ochoczo i chwalili. Wkrótce zaczęli pokrzykiwać tak obłądnie, ślaniać się i podśpiewywać, że Lis aż się przeląkł i rzucił na żonę niespokojne spojrzenia.

Pani Julianna nic nie mówiąc z lekka zmrużyła wesole oczy, w których się zapalały figlarne płomyki.

Znała, widać, dobrze zalecane przez ówczesnych lekarzy i znachorów ziółka przeciw pijaństwu, bo Samojedzi jeden po drugim zaczęli wkrótce wychodzić z izby i już nie powracali. Lis zajrzawszy na dziedziniec zdumiał się. Goście jego leżeli na śniegu w przeróżnych pozach, dowodzących, że sen zmorzył ich raptownie i wszechwładnie.

— Zamarzną te pijaki, albo, co gorsza, wilki ich zwęszą i urządzą im stypę! — pomyślał i powrócił do żony, aby zapytać, co ma robić z gośćmi.

— Niech pozostaną na dworze! — odparła z cichym śmiechem. — Nic im nie będzie! Trzeba im tylko okryć ręce i twarze, aby się nie odmroziły. Moje ziółka pozbawią ich chęci do wypitki na tydzień, a jeżeli potrafisz zwabić ich raz jeszcze i uraczyć nową porcją, nigdy już wódki do ust nie wezmą! Stary to przepis, starszy może od tajemnych lubczyków!

— Jeśli tak, to — dobrze! Niech się prześpią pijanice! — zawołał Lis i rozkazał Garsie okryć swoich ziomków, obciągnąwszy im zakasane rękawy i nasunąwszy czapki na sam nos.

Nazajutrz Samojedzi obudzili się późno.

Przyszli z niepewnymi i zmieszanymi minami do gospodarzy i uśmiechając się wstydliwie mruzczyli:

— Podpiliśmy wczoraj... hm... hm...! Mocna, dobra była wódka!...

— A może się jeszcze napijecie? — pytała z niewinną minką pani Lisowa.

Koczownicy kłaniali się tylko i wymachiwali rękami przecząco.

Panu Władysławowi udało się raz jeszcze uraczyć leczniczą wódką pani Julianny łasych na wypitkę Samojedów i z radością się dowiedział, że pijaństwo znacznie się zmniej-

szyło, a najzagorzalsi amatorowie wódki nie chcieli już pa-
trzeć na butelki.

Wkrótce potem do zaimki Lisów wpadł wójt z koczow-
ska i oznajmił, że wśród pastuchów szerzy się „tarach“.

Pani Julianna wnet poczęła go wypytywać o nieznaną jej
chorobę i bardzo się przeraziła, przypuszczając, że może epi-
demia nosacziny lub zarazy morowej, czyli dżumy, wybuchła
tam raptownie.

Pojęchała też natychmiast, aby obejrzeć chorych.

Okazało się, że ma do czynienia z mniej niebezpieczną
epidemią. Samojeździ bowiem zapadli na „gnilec“, czyli
skorbut.

Pani Julianna od razu poznała tę chorobę. Dotknięci nią
ludzie chudli i słabli z dnia na dzień, stawy mieli popuchnię-
te i obolałe, a w różnych miejscach ciała występowały im
czarne plamy podskórnych wylewów krwi. Lekarka obej-
rzała dziąsła chorych i przekonała się natychmiast, że są
obrziałe, szerniałe i krwawiące, zęby zaś ruszały się im
i wypadaly. Przystępując do leczenia rozpoczęła od tego, że
kazała chorym starannie się umyć i wyplukać usta wodą,
do której wrzuciła sporą szczyptę proszku taniny, po wyko-
naniu czego zwróciła się do nich z przemówieniem.

Objasniła ich, że brudy, w których mieszkają, niedosta-
tecznie świeży pokarm mięsny, a co najważniejsze, brak po-
żywienia roślinnego — stały się przyczyną „gnilca“, który
może zakończyć się śmiercią, jeżeli chorzy nie zastosują się
ściśle do jej rad. Kazała więc zdrowym dziewczętom nako-
pać czym prędzej spod śniegu borówek i żurawin wraz
z liśćmi i jagodami, a Samojejdkom poznosić pęki dzikiej
cebuli, czyli tak zwanej „czeremszy“, bo wiedziała, że ro-
ślina ta znajduje się w każdym domu i czumie syberyjskim.
Przez cały dzień przyrządzano potem wywar z garbnika
i listków borówek, jednocześnie wyciskając sok z żurawin
i drobnych cebulek „czeremszy“.

Chorzy pili sok, plukali sobie usta wywarem borówkowym i łykali gorzkie proszki chiny.

Energiczne leczenie, zastosowane przez panią Juliannę, zaczęło dawać dobre skutki, i Samojedzi, obficie odżywiani, poczuli się znacznie lepiej.

Lekarka opuściła koczowisko, nie doczekawszy się już zupełnego powrotu do zdrowia pacjentów, bo sama poczuła się chorą.

Powracając do domu ledwie mogła się utrzymać na siodle. Rozpaloną głowę rozsadzał nieznośny ból; dreszcze przebiegały całe ciało; w lewym boku wzmagaly się coraz silniejsze klucia.

Widocznie zaziębiła się w źle opatrzonym na zimę samojezdkiem czumie, gdzie spędziła kilka dni; obawiała się więc poważnie zapalenia oplucnej.

Powróciwszy do domu natychmiast położyła się do łóżka. Gorączka wzrosła tak gwałtownie, że pani Julianna poczęła tracić przytomność i miotać się w malignie. W chwilach świadomości dawała wskazówki mężowi, co należy robić w takim wypadku. Łykała więc proszki chiny i leżała cicho, gdy pan Władysław rozcierał jej bok maścią z wonnych, gryzących olejków, przykładał synapizmy lub ogrzewające okłady.

Choroba nie ustępowała jednak i trzymała w swych kleszczach bladą, straszliwie wychudłą kobietę. Pani Julianna słabła z dnia na dzień i coraz częściej leżała nieruchomo, nieprzytomna, szeroko rozwartymi oczami, pełnymi niezdrowych ogni patrząc w przestrzeń.

Lisem owładnęła rozpacz. Oblędna, dzika i bezsilna była to rozpacz.

Wyrywał sobie włosy i wpatrując się w obraz Matki Boskiej szeptał:

— Czyż dopuścisz, Opiekunko strapionych, aby umarła ta, która jest bez grzechu?

Porywał go szal, wypadł więc do sieni i potrzęsając rękami nad głową syczał:

— Któż nam dopomoże? Giniemy!...

Walil się pięściami w piersi i lkał w poczuciu swej bezsilności.

Roman widząc rozpacz gospodarza chodził coraz bardziej ponury i milczący, nie jadł i tylko zmarszczki poruszały mu się na zniekształconym czole, świadcząc o uporczywej, nieodstępnej myśli. Pewnego dnia zniknął z „zaimki“.

Nawet Garsa, głupkowaty i zawsze szczerzący żółte zęby, w uśmiechu, stał się jak gdyby poważniejszy i siedząc w kącie izby patrzył na chorą w zamyśleniu.

Pani Julianna dogorywała.

Gasła powoli jak lampka, której zabrakło oliwy.

Życie ledwie się tliło w wychudłym ciele; suchy, całymi godzinami trwający kaszel rozdzierał zbolełą pierś.

Usta ledwie się poruszały; błąkał się po nich cichy, pełen pokory uśmiech; chude, przezroczyście palce zaciskały się kurczowo.

Lis siedział przy niej i czuł, że śmierć stoi przy łóżku chorej czekając wytrwale.

Umierająca leżała z przymkniętymi oczami, chrapliwy, świszający oddech wyrывał się jej z gardła, a słabnął szybko.

W tej właśnie, zdawało się, ostatniej chwili nagle na ganku rozległy się szybkie kroki. Ktoś zrzucił w pośpiechu ubranie w sieni i uchylił drzwi do izby.

Cicho, ostrożnie stąpając, wszedł Roman.

W rękę niósł gliniany garnek. Postawił go przy gorącym piecu.

Lis obojętnym wzrokiem spojrzął na niego.

Po pewnym czasie Roman odstawił garnek, z którego podnosiła się już para, i podszedł do gospodarza szepcząc:

— Panie! Panie!

Dotknął ręką ramienia skamieniałego w boleści zesłańca i pochyliwszy się nad nim szeptał niecierpliwie:

— Panie! Panie! Obudźcie się!

Lis podniósł głowę i spojrzał mu w oczy.

— Byłem i ja chory niegdyś... — mówił Roman. — Ot tak, jak nasza pani... Gorączka, niby ogień... sto noży w boku... Na wpół nieboszczyk... Wyleczył mnie znachor... pewien człowiek leśny... pustelnik... Poił mnie mlekiem z sadłem niedźwiedzim. Rychło do zdrowia wróciłem... Przyniosłem więc mleko z lojem niedźwiedzim... Wyprosiłem go u Samojedów. Nie chcieli mi go dać, bo uważają to za rzecz świętą. Dopiero gdym powiedział, że to dla naszej pani — dali... Niech się pani napije... dobre to...!

Lis oprzytomniał do reszty i, jak każdy człowiek, bez miary zrozpaczony, chwytający się najniklejszej nadziei, porwał garnek i łyżką jął wlewać do ust chorej żony tłuste mleko, z okrywającą je żółtą, płynną warstwą loju.

Po kilku łykach pani Julianna usnęła.

Rzecz nie do wiary, ale spała znacznie już spokojniej, atak kaszlu nie powracał i nie przerywał jej snu.

Obudziła się dopiero nad ranem.

Gorączka się zmniejszyła. Chora już przytomniej spoglądała na stojących w izbie ludzi, a nawet uśmiechnęła się do nich słabo.

Lis napił ją jeszcze raz, a pani Julianna po chwili ponownie usnęła.

O, dziwo! Kaszel długo nie powracał. Kaszlać zaczęła dopiero w południe, lecz nie był to już ten straszny, świszczący i szczekający kaszel, od którego, zdawało się, pękała pierś.

W trzy dni później ustał zupełnie; znikły bóle w boku, gorączka szybko spadała.

Chora powoli nabierała sił, aż pewnego razu rzekła cichym głosem:

— Jestem głodna, Władeczkule!

Wtedy Lis nie wytrzymał, wybiegł znowu do sieni i jął szlochać jak dziecko. Tu znalazł go Roman, idący do spiżarni. Pan Władysław porwał go w objęcia i całował po twarzy, ramionach i rękach, płacząc i powtarzając bezładnie:

— Bratem mi jesteś... zbawcą... dobrodziejem!...

Roman padł mu do nóg i obejmował za kolana, a z jego oczu, ponurych i męczeńskich, ciurkiem biegły łzy.

Pani Julianna z dniem każdym powracała do sił. Wciąż jeszcze piła mleko z łożem niedźwiedzim, co wzbudzało w niej coraz większy apetyt.

Lis chodził wniebowzięty. Minęły i poszły w zapomnienie straszne czasy rozpacz i świadomości niemocy wobec nieszczęścia, które na nich spadło.

Uspokoiwszy się trochę, Lis po raz pierwszy zamyślił się nad dalszym losem swoim i Julianny.

Nie wątpił, że w najcięższych nawet warunkach potrafi dać sobie radę i wybrnąć obronną ręką z wszelkich kłopotów i trudności życiowych.

Teraz jednak zrozumiał nagle, że pewność jego we własne siły może przysnąć bez śladu.

Przeżył już taki okres i wiedział, że dla spokojnego życia niezbędny jest jedyny warunek — zdrowie.

Poważna choroba, jego samego czy żony, mogła zburzyć do szczętu z takim wysiłkiem i poświęceniem zbudowany gmach możliwego życia na wygnaniu.

— Nie mogę dopuścić, aby moja Julianka zmarniała mi na tym odludziu; nie chcę też, aby po śmierci oddano mnie obcej ziemi!... — myślał.

Im więcej zastanawiał się nad tym zagadnieniem, tym częściej marszczyło mu się czoło, a zaduma gnieździć się zaczynała w jasnych oczach.

Lis zamyślał się nieraz bezwiednie, nagle, czując, że w jakiejś dalekiej mgłę czają się postanowienia, nieuchwytnie jeszcze, rozumem i wolą nieogarnięte.

Nieraz wśród pracy, albo podczas niedalekich polowań, stawał jak wryty i powtarzał z uporem:

— Ja nie mogę tu pozostawać aż do śmierci!

Świtłała mu wtedy myśl o możliwej amnestii dla zesłańców polskich, lecz odpędzał ją jako zwodniczą, skłaniającą do gnuśnej bierności.

— Sam sobie dam amnestię! — zawołał pewnego razu w tajdze, gdy ślizgając się na nartach tropił stadko saren.

Wykrzyknął to tak głośno i stanowczo, że Urr, biegnący przed nim, natychmiast powrócił do niego i merdnąwszy ogonem z niemym pytaniem w piwnych oczach przyglądał mu się uważnie.

— Tak, tak, mój piesku! Sam sobie dam amnestię i razem z Julianną porzucimy na zawsze tajgę, tundrę i cały Czin-War!

Urr pisał i zwiesił ogon.

Od tego czasu w głowie zesłańca kielkowała, kształtowała się i wzmagała myśl o wyrwaniu się na wolność, o powrocie do dużych miast, gdzie nie odczuwałoby się niewoli i gdzie można byłoby znaleźć pomoc we wszelkich okolicznościach życiowych.

Setki planów układał sobie w wyobraźni, lecz wkrótce odrzucał je, jako niewykonalne lub zgola szaleńcze.

Gdyby był sam, skinąłby na Romana i powiedział:

— Słuchaj, stary! Przedzierałeś się o chłodzie i głodzie przez tajgę. Powtórzmy to teraz razem. Pójdziemy przez tundrę i knieję na wschód. Będziemy czujni i przebiegli, ni to wilki stepowe, a chytry jak węże. Przedzierać się tak będziemy rok, dwa lata, aż w końcu dojdziemy do morza, gdzie znajdziemy okręty cudzoziemskie i — będziemy ocaleni, wolni, jak żurawie przelotne!

Uczyniłby tak z pewnością i dotarłby do celu, gdyby nie miał przy sobie Julianny...

Ona nie wytrzymałaby trudów i niebezpieczeństwa sza-

lonej ucieczki. Należy więc imać się innych sposobów... Jakich?

Znowu setki, tysiące planów, myśli, pomysłów, wirujących w zawrotnym korowodzie i nagle pierzchających, gasnących, odrzucanych nielitościwą ręką zimnej i głębokiej rozważi.

Myśl o porzuceniu Syberii owładnęła Lisem i stała się celem jego życia, chociaż nie zwierzał się z tym nawet przed żoną.

Nie chciał budzić w niej tychże palących pragnień i bał się, że pewnego straszego dnia powiedzą sobie w rozpacz zimnej:

— Basta! Nic na to nie poradzimy!...

Jednocześnie wierzył, że w końcu jednak uda mu się obmyślić jakiś plan wykonalny i niezawodny, lub też że wypadek dopomoże im w osiągnięciu wymarzonego celu.

Przed Bożym Narodzeniem nad Algim przybyły narty Rodionowa, a siedzący na nich Sienka, wymachujący długą żerdzią do poganiania reniferów, krzyknął radośnie:

— Poczte przywiozłem! Skrzynię i listy!

Lisowie z radością witali chłopaka, słuchali jego opowiadań o życiu w Narymie, o nowym komisarzu policji, człowieku surowym, lecz sprawiedliwym, o zdrowiu rodziny i znajomych, o przyjaciółach, którzy ukłony zasylali dla zesłańców.

Garsa z głośnym śmiechem wniósł do izby sporą skrzynię, przyslaną z Polski; młody Rodionow przydzwigał drugą, mniejszą — od doktora Grubera i kilka listów.

Rodzice i krewni pani Julianny, jak zwykle, przesyłali upominki świąteczne, lekarstwa, książki, papier, ołówki i inne przyrządy do pisania; doktor Gruber dostarczył brakujących środków leczniczych; w listach zaś zesłańcy znaleźli wieści o rodzinie, o Polsce, a także opłatki i powin-szowania. W liście swoim ciotka Romerowa donosiła, że

brat pani Julianny, były partyzant Truszkowski, znajdujący się na emigracji w Paryżu, pracuje w wielkim domu handlowym i często się spotyka z generałem Józefem Dwernickim, który mile wspomina dzielnego porucznika Lisa, dobrze oczywiście zasłużonego pod Stoczkiem, na polu Grochowskim i podczas odważnego wywiadu pod Oltarzewem.

Pan Władysław, przeglądając listy od państwa Truszkowskich z Nowogródka, raptownie parsknął śmiechem i zawołał:

— Mój Boże! Przypomniałem sobie w tej chwili, jak to, gdym przybył po raz pierwszy w ubraniu rosyjskim do ojca twego, on, wzięwszy mnie za Moskala, wygarnął z guldynki do swego przyszłego zięcia! Cha! Cha!

Pani Julianna westchnęła cicho i odparła:

— Na szczęście, tatuś chybił. Lecz za to potem swoi pokieroszowali cię, biedaku mój, pod Sieradzem...

— Hej, hej! Nic mi się nie stało od tego pokieroszowania, oprócz dobrego, bom ciebie wtedy zdobył, Julianko moja! — zawołał ze śmiechem Lis i przygarnął do siebie żonę patrząc na nią z miłością.

ROZDZIAŁ XIII

ŁOWY ZIMOWE

Po Bożym Narodzeniu do osiedla Lisów przybył Wotkuł z towarzyszymi. Przywieźli ze sobą cały sprzęt łowiecki, używany przez Sybiraków w tajdze.

Poza karabinami i oszczepami, były tu sieci grube i mocne, żelazne potrzaski, sidła wszelakie z włosia końskiego i żył jelenich.

Spokojny teraz o zdrowie żony, pan Władysław szykował się do długiej wyprawy. Teraź już wiedział, dlaczego postanowił wyruszyć na uciążliwe, częstokroć niebezpieczne nawet łowy.

Zamierzał nagromadzić największą ilość drogich futer, aby ze sprzedaży ich pozyskać znaczną sumę pieniędzy, potrzebnych mu dla ucieczki z Syberii.

Toteż przygotowania do łowów czynił z wielką oględnością, przezornością i rozwagą.

Przed wyruszeniem długo i gorąco błagał żonę, aby się nie narażała i oszczędzała swoje zdrowie; prosił też Romana i Garsę, aby mieli nad nią pieczę nieustanną i aby włos jej z głowy nie spadł; wreszcie pożegnał zatroskaną i niespokojną o męża panią Julianę i domowników, gwizdnął na Urra i, włożywszy na sanki swoje tłumoki, okryte „kosmami“ — płachtami ze skór jesiotrowych i miętusowych, mocnych i nieprzemakalnych, uczynił znak krzyża świętego i popędził renifery.

Na przodzie jechał Wotkuł prowadząc za sobą resztę łowców.

Jechali przez cały tydzień nocując w lesie przy ognisku, przy którym warzono strawę i przyrządzano herbatę — ten niezbędny w zimie napój. W worach Samojedzi wieźli też mleko. Były to bryły białego lodu, bo tylko zamrożone mleko łowcy mogli przewozić bezpiecznie. Odbijano obuchem siekiery lub trzonkiem noża kawałki mleka i wrzucano do kociołka z herbatą, zamiast cukru sypiąc szczyptę soli.

Wotkuł prowadził łowców na południe.

Przejechali więc przez rzeki Komalcis i Wydczes, po czym w chaszczach, na zamarznionych moczarach Ulysia zapolowali na losie, które stary Robah zapędził do głębokiej kotliny, i pojechali dalej, aż za rzekę Kaś. Wkrótce otoczyła ich tajga jenisejska.

Pomiędzy Kasiem a Sagurem Wotkuł zatrzymawszy renifery zeskoczył z sanek i rzekł:

— Tu właśnie założymy obozowisko! Dobre to miejsce! Zwierz wszelaki kryje się w gąszczu tej tajgi.

Nawykli do życia w kniei Samojedzi szybko zbudowali

małą chatkę z płaskim dachem, tak zwane „zimowie“, okryte cienkimi belkami i przysypane śniegiem. Na dużym kamieniu palił się ogień, a jego dym wychodził przez szczeliny w poddaszu. Wzdłuż ścian stały „nary“ — prycze, zastępujące jednocześnie stoły, ławy i łóżka. Pod narami składano toboły i ekwipunek myśliwski.

W domku tym łowcy popasali niedługo. Zbudowawszy wysoką i mocną zagrodę dla reniferów i narąbawszy dla nich gałęzi brzoźowych, osikowych i olchowych, zapędzili do niej zwierzęta pociągowe, przywalili drzwi „zimowia“ ciężkim kłocem i wyruszyli.

— A nie zapomnijcie robić zaciesie! — upomniał Lisa Wotkuł. — Inaczej możecie zbłądzić i nie powrócić do obozu.

— Dobrze! — odkrzyknął mu zesłaniec i ostrzem siekiry odlupal od sosny szmat kory. — Pierwsza zacies! —

— Niech Numa dopomoże!... — odpowiedział już z daleka łowiec.

Lis biegł na nartach, zręcznie wymijając zwalone drzewa, wystające z ziemi kępy i ogromne głazy. Wreszcie stanął i skinąwszy ręką w stronę psa zawołał:

— Urr, szukaj!

Pies zaskomlał radośnie i zniknął w chaszczach. Myśliwy czekał cierpliwie. Po pewnym czasie dobiegło go krótkie, urwane szczekanie Utra w jednym ciągle kierunku, bo nie stawało się głośniejsze, ani też nie słabło. Lis zrozumiał, że pies zapędził jakieś zwierzę na drzewo i trzyma je w obłężeniu.

Pobiegł w kierunku głosu psa i wynurzył się wkrótce na niewielką polankę.

Urr, jeżąc sierść na karku i warcząc, skakał pod rozłożystym świerkiem, gałęziami dotykającym białej powierzchni śniegu.

Długo nic nie mógł dostrzec Lis w gąszczu potężnych

konarów drzewa. Dopiero podszedłszy do jego pnia i spojrzawszy w górę, spostrzegł plamisty bok rysia. Drapieżny kot wyciągnął się na gałęzi, opuścił głowę i, wpatrzony żółtymi ślepiami w skaczącego pod drzewem psa, strzygł uszami, prychał i syczał. Był tak przejęty śledzeniem ruchów Urra, że nie zauważył człowieka, który podniósłszy strzelbę, oparł lufę o suchy sęk i zmrużył lewe oko mierząc starannie.

Po strzale mignęło w powietrzu centkowane ciało i jęło się ślizgać z gałęzi na gałąź, aż spadło, grzęznąc w śniegu. Urr z wściekłym warczeniem wpił się zębami w kark rysia i potrząsał nim.

Myśliwy szybko „obielił“ zwierza; zdjawszy z niego piękną skórę, ułożył ją starannie w plecaku i ruszył dalej.

— Urr, szukaj! — powtórzył rozkaz.

Piesek z opuszczonym ogonem i nosem, węszącym tuż przy ziemi, pobiegł dalej.

Kilka razy zaczynał naszczekiwać na sarny lub z lekka wyc na głuszcza, lecz łowiec nie zamierzał polować na tak bardzo pospolitą w tajdze zwierzynę, więc wydawał krótki gwizd.

Urr znalazł ten sygnał, milknął natychmiast i biegł dalej, węsząc i zaglądnijac do każdego zakątka.

Długo się nie odzywał.

Lis zaczął się już na dobre niecierpliwić, gdy wtem posłyszał cichy szelest w krzakach i trzask rozsuwanych suchych badyli.

Po chwili wyslizgnął się z nich Urr. Miał dziwny wygląd.

Zdawało się, że szedł na palcach, bojąc się narobić hałasu.

Sierść mu się jeżyła na karku, podwinięty ogon włócił się po śniegu, a ostre uszka przyciskały się do głowy.

Stanął przed swoim panem i uważnie mu się przypatrywał, jak gdyby sprawdzając, czy wszystko jest w porządku.

Cicho trąciwszy go nosem w nogę, zawrócił i oglądając się co chwila, prowadził za sobą.

Chwilami przystawał, a wtedy sierść jeszcze bardziej podnosiła mu się na grzbiecie, a lekki dreszczyk kurczył mu pysk.

Lis nie domyślał się, co odnalazł Urr w kniei, lecz mignęła mu myśl, że spotka się z dużym i niebezpiecznym zwierzem. Mógł to być jedynie niedźwiedź.

Obejrzał więc raz jeszcze karabin, namacał rękojeść siekiery, zatkniętej za pasem, i sprawdził, czy nóż łatwo się wysuwa z pochwy.

Urr tymczasem doprowadził go do obalonego drzewa.

Snadź wicher lub piorun strąciły je na ziemię, bo leżało z wyrwanymi z ziemi korzeniami, pod którymi pozostał głęboki dół, przywalony suchymi gałęziami i przysypany śniegiem.

— Barłóg! — domyślił się Lis. — Zimowe leże niedźwiedzia...

Postąpił kilka kroków naprzód i obejrzał legowisko.

Natychmiast dostrzegł wąską smugę pary, wychodzącej spomiędzy gałęzi.

— Barłóg! — powtórzył łowiec i uśmiechnął się radośnie.

Zdobędzie skórę niedźwiedzia — dobry kobierzec dla żony — i zrobi zapas cudownego tłuszczu leczniczego.

Wotkuł dawał mu rady, jak należy polować na różne zwierzęta, jak się posługiwać psem, jak zastawiać potrzaski i „słopy“ na wydry, lisy i kuny, jak otaczać siecią gniazda soboli, jak zawieszać lub rozkładać sidła na gronostaje, łasice i zające, lecz nigdy nic nie mówił o spotkaniu z niedźwiedziem — „czaldonem“, „leśnym człowiekiem“, jak nazywają władcę syberyjskiej kniei Samojedzi, Ostiacy i inni tuziemcy różnych szczepów.

Tymczasem spotkanie to należało do najbardziej niebezpiecznych.

Z zakłopotania wyprowadził go mały, rudy, kudłaty piesek.

Ujrawszy, że myśliwy trzyma karabin w pogotowiu, Urr, skowycząc i szcękając, jął skakać i biegać dokoła barłogu i szczególnie uporczywie ujadając w pewnym kierunku, wpatrzony w ciemny otwór pomiędzy korzeniami, i gotowy w każdej chwili do ucieczki.

Niedźwiedź, śpiący w ciepłym legowisku, nie odzywał się wcale. Zdążył już może zapaść w najgłębszy sen, lub może miał nadzieję, że natrętny kundel zaniecha wkrótce niepokojącego ujadania, które drażniło burego mieszkańca barłogu.

Długo czekał Lis jakiegoś ruchu pod nagromadzonym przez zwierza stosem gałęzi i pniaków, albo chociażby jego pomruku.

Płonne jednak było to oczekiwanie.

Przypomniawszy sobie tedy opisy polowań na niedźwiedzie, którymi zaczytywali się niegdyś kadecei w korpusie, postanowił wypłoszyć drapieżnika.

Oparwszy karabin o drzewo, wyrąbał i zaostrzył długi drąg, a potem jął uderzać nim po barłogu i zapuszczać ostrze do otworu, przez który wydobywała się para.

W legowisku dość długo jeszcze panowała cisza, ale za to Urr ujadął coraz głośniej i węszył, prychając niecierpliwie i niespokojnie.

W pewnej chwili zwałisko gałęzi, okrywające głęboki dół, poruszyło się gwałtownie, a z czarnej czeluści barłogu wyrzwał potworny łeb niedźwiedzia. Małe oczka miotały iskry, białe kły polyskiwały, z gardzieli, wraz z płatkami piany, wrywał się wściekły ryk.

Lis pochwycił karabin, lecz nim zdążył wymierzyć, niedźwiedź jednym susem wyskoczył z dołu i runął na my-

śliwego. Nie mając ani chwili do stracenia, myśliwy spuścił kurek.

Padł strzał. Zwierz zatoczył się, ryknął rozpaczliwie natchmiast stanawszy na tylnych łapach, skoczył ku człowiekowi.

Lis wyrwał siekiere z pasa i przygotował się do obrony.

Pojedynek taki był bardzo nierówny, gdyż niedźwiedź należał do największych i człowiek sięgał mu zaledwie do połowy piersi.

Zwierz nagle przysiadł i z jękiem jął się opędzać przed Urrem, który wczepił mu się w zad i szarpał. Po chwili odskoczył w tył, a gdy niedźwiedź podniósł się znowu, zwinny piesek wżarł mu się w nogę. Rycząc coraz wścieklej i jękliwiej, napadnięty zwierz całą uwagę skupił na zuchwałym i zręcznym napastniku.

Urr uwijał się wokół olbrzyma, skakał mu na gruby kark, wrywał klaki, wpijał zęby w potężne uda.

Niedźwiedź, chcąc dosięgnąć psa, na chwilę jedną odwrócił się tyłem do człowieka. Lis skorzystał z tego natychmiast i podbiegłszy rozplatał mu łeb szerokim, ciężkim ostrzem siekiery.

Zwierz runął na ziemię, a dymiąca posoka wsiąkać zaczęła w śnieg; myśliwy zaś, ponownie nabiwszy karabin, strzelił mu za ucho.

Niedźwiedź wyciągnął się, drgnął jeszcze kilka razy i zesztyniał.

Lis z trudem oderwał Urra od zabitego zwierza.

Piesek wpił się ostrymi zębami w szyję wroga i skowyczał, porwany obłądną wściekłością.

Długo mozolił się pan Władysław, zanim oporządził swoją zdobycz. Zdarł olbrzymią skórę, wyciął tłuszcz, nagromadzony na karku i koło nerek, odrąbał szynki i przystąpił do pakowania, robiąc ze wszystkiego jeden tłumok.

Szukając swoich zaciesi, zgarbiony pod ciężarem noszy, posuwał się wolno ku obozowisku.

Mrok już zapadł, więc Lis nie mógł dostrzec w tajdze świeżych nacięć na drzewach, gdy na szczęście, posłyszał daleki odgłos rogu Wotkuła; wkrótce potem słaba luna rozświetliła nisko zwisające obłoki. Domyślił się, że towarzysze rozpalili większe ognisko, aby wskazać drogę zbłąkanemu.

Doszedł wreszcie do chatki leśnej i z westchnieniem ulgi zrzucił na śnieg ciężką noszę.

Podczas wieczery łowcy dzielili się wrażeniami z dnia ubiegłego, a jednogłośnie twierdzili, że miejscowość obfituje w zwierzynę najrozmaitszych gatunków.

Wotkuł opowiedział im, iż odnalazł ślady soboli i upolował kunę; Rabah wytropił starego rosomaka i zastrzelił go, gdy ten się skradał do stadka żerujących spokojnie łań; Ganga pokazał z kolei dziesięć skórek niebieskich popielic; wszystkie ugodził w małe mordki, aby nie psuć futerek.

Wotkuł wędził na poczekaniu szynki niedźwiedzie, zawieszony tuż nad dymiącym ogniskiem i dopomógł Lisowi wtłoczyć sadło do „torsuka“ — worka z rybiej skóry, ubić szczelnie, zawiązać starannie i zawiesić na drzewie, aby się nie popsulo.

Samojedzi wtajemniczali zesłańca w sztukę rozpoznawania śladów różnych zwierząt i pojmowania głosu tropiącego je psa, ponieważ mądre lajki północne wydają odmienne szczekanie, wycie i skowyt na każdy rodzaj ściganey zwierzyny.

Nauki te nieraz przydały się Lisowi podczas łowów w tajdze, zasypanej śniegiem.

Ciężki to był czas!

Srożyły się bowiem mrozy i szalały wichry, podnoszące nieraz zamiecie — rozszalałe „purgi“ syberyjskie. Okrywały one grubą warstwą śniegu knieję, tworząc nad nią zlodowiałe sklepienie. Tajgę zalegał mrok; pod puszystą, białą płach-

ta znikwały ślady zwierząt i nart myśliwskich; zamieć szalała, przysypywała rozstawione potrzaski i sidła, w których nieraz ginęła schwyтана zdobycz.

Śnieg nawiewał nad schronieniem łowców wydmy, przez które ludzie z trudem przebijali sobie drogę siekierą i rydlem.

Mróż szczypał twarze i ręce, okryte warstwą tłuszczu, powodował krwawiące pęknięcia na wargach i skórze, wdzierał się przez każdy otwór w ubraniu i obuwiu, dręczył i gnębił przejmując mimowolnym lękiem.

Nic jednak nie mogło odstraszyć tych ludzi.

Choć ruchy ich stawały się coraz powolniejsze, a z piersi nieraz wyrwały się ciche jęki cierpienia, nie tylko codziennie wychodzili na łowy, lecz nawet spędzali długie noce w tajdze, zarywszy się w śnieg lub grzejąc się przy „najdzie“ — dwóch złożonych razem i tlejących pniach.

Psy okryły się niezwykle gęstą sierścią i jadły dużo.

Czuły one również dotkliwie zimne podmuchy wiatru i nieruchome brzemie mrozu, lecz za to praca tropienia stała się dla nich łatwiejszą.

W zgęszczonym od zimna powietrzu czujne nozdrza lajek w mig pochwytywały obce zapachy i odnajdywały śpiące po dziuplach popielice lub ukryte w krzakach kuny i rosomaki; od skrzepłego śniegu załatywały ku nim powiewy przebiegających tu niedawno lisów, zajęcy, rysiów, lasic, tchórzów.

Psy z daleka już wyczuwały obecność losiów i jeleni, a mocny i ostry zapach niedźwiedziego potu uderzał powonienie lajek z dużej odległości.

Straszna jest mroźna, czarna noc w tajdze syberyjskiej!

Przejmuje ona zgrozą, przytłacza beznadziejnością ponurą.

Gdy ustanie wichur, dmący z północy lub wschodu, stoją nieruchomo białe jak widna modrzewie, świerki, brzozy i sosny. Szerokie lapy drzew iglastych, obarczone śniegiem, zwisają tuż nad ziemią. Nagie gałęzie brzoź, osik i czarne pędy

krzaków w niemej rozpaczy wyciągają ramiona ku szaremu niebu, martwe i na kamień stwardniałe.

Ciszy nie zna tajga zamarznięta, bo co chwila rozlega się donośny huk pękającego z mrozu pnia lub głązu; z szelestem i brzękiem spadają nasypy śnieżne, co, ni to białe czapy, tkwią na gałęziach; ze zgrzytem dzwonnym odrywają się szyszki cedrowe i świerkowe roniąc czarne ziarna; skrzypi śnieg pod racicami losiów, a stężałe powietrze zdradza natychmiast tajemnicę ich lekkiego biegu; rozlegają się krzyki ptactwa wszelakiego, przerażonego napadem drapieżników lub ścinającym krew w żyłach nielitościwym chłodem; syczy gdzieś, szczerząc zęby, skradająca się ku uśpionym jarząbkom kuna, krwi łaknąca; zajęc kniazieniem żalonym przeszywa mrok nocy, gdy mały, zwinny jak wąż gronostaj wpija mu się w szyję tam, gdzie przeży się tętnica; lopoczą skrzydłami cietrzewie, zbudzone ze snu przez kluczącego w kniei lisa; chrapliwie beczy i rzezi rogacz, napadnięty przez rosomaka, skaczącego z gałęzi rosochatej jodły; gdzieś daleko porykuje ryś, czy to z głodu, czy z przerażenia przed krzepnącym mrozem; wilki, które ukryły się były przed „purgą“ w bajorzysku niedostępnym, odpowiadają mu jęklivymi głosami.

Knieja przemawia nieustannie, a w jej niemilkącym rozgwarze miota się strach, zgrzyta nienawiść, i ponad wszystkim płynie lkań pełna nuta rozpaczy śmiertelnej.

A gdy buszuje wicher i wzdyma tumany śnieżne, inne głosy wydaje tajga rozmiotana.

Skrzypią wtedy i padają złamane w trzonie drzewa; klaszczą donośnie siekące prety krzaków, gwizdzą i wyją zalatujące tu strugi podmuchu mroźnego, szeleszczą i zgrzytają biegnące, wirujące chochoły wyrwanych badyli, traw i wyszarpnięte spod grubej, białej powłoki kupy suchych, zwarzonych mrozem liści. Miotają się w mrocznej głębi, wymachują twarde, kosmate łapy świerków; rozedrgane, koszlawe brzozy rozrzucają swe cienkie gałęzie, ni to włosy splecione i powiklane wia-

trem, chyla się i prostują; obracają się na prawo i lewo korony drzew w setny, tysięczny raz, i nadłamane zwisają, niby głowy, podcięte zamachem topora.

Wtedy wszystko się kryje w popłochu.

Głębiej wciskają się do dziupli popielice i wiewiórki rude, śmigają do nor sprytnie sobole, kuny, łasice i gronostaje; zające ryją dla siebie skrytki w śniegu i leżą tam lękiem zdjęte; lisy zapadają w chaszczę; losie szukają wąwozów głębokich; ryś i rosomak nie wychodzą na lowy, gluszcze, cietrzewie i czerwonoobrewę jarząbki zlatują z drzew i wtulają się pod zbudowane pnie i w gąszcz wikliny. Jedynie sowy i żółtooki puchacz krążą w mroku i wypatrują zdobyczy, przerażonej potężnym głosem szalejącej, mroźnej burzy. Chwilami mrok nocny pierzchał płochliwie, a wtedy rozświetlała się tajga, spowita śniegiem. Gdzieś na północnej polaci nieba wytryskiwały słupy ogniste, wirowały koła i zygzaki zielonych i żółtych płomieni, kreśliły się w wyżynie tajemnicze krzyże świetlne i szalał orkan promieni o barwach przedziwnych, niezemskich. Wtedy wszystkie głosy milkły, wszystkie oczy patrzyły z lękiem i niemym zachwytem na rozżarzone, rozświetlone niebo, na którym szerząc się i potężniejąc płonęła zorza polarna...

Skuleni przy płonącym ognisku, w którym syczały zmarnięte gałęzie i padająca kurzawa śnieżna, siedzieli łowcy pocierając skostniałe, odmrożone ręce.

Samojedzi i Lis coraz częściej odchodzili od „zimowia“ tak daleko, że musieli spędzać noce w kniei.

Umieli oni borykać się z rozszalałą naturą; ciężka dola łowiecka nauczyła ich wymykać się z zastawionych wszędzie sidel śmierci.

Zatrzymując się na nocleg rąbali gałęzie świerków i budowali od strony wiatru pochyla ścianę, przed którą rozniecali ogień.

Cichymi głosami opowiadali sobie przygody minionego

dnia, jedli polewkę z „jukoly“ lub „porsu“, piekli na patykach kawałki mięsa upolowanej sarny albo zająca — bielaka rzucając kości psom; głośno dmuchając do drewnianych miseczek pili gorącą herbatę, a potem milkli i patrzyli na zesłańca.

Powtarzało się to każdego wieczora, więc Lis wiedział, co wyraża spojrzenie przyjaciół.

Żądali od niego opowiadań, zawsze takich, które by ich wyrwały ze szponów ciężkiego, niecznośnego niemal życia, pełnego trudów nieprzerwanych, nieludzkich i co chwila śmiercią lub kalectwem grożących.

Oczekiwali od niego cudu przeniesienia ich do wielkich zbiorowisk ludzi spokojnych, oświeconych, dostatnich, do zgiełku i radości życia, pod sklepienie lazurowego, pogodnego nieba, dyszącego żarem złocistego słońca, którego łaski nigdy nie doznawali.

Słuchali go z zapartym oddechem, gdy mówił o tym, co nie było jednostajną, pełną męczeństwa i nieświadomego bohaterstwa szarzyzną istnienia nędznego, półczłowieczego-półbydłęcego, o tym, co rozbrzmiewało głosem ducha, płomienistego serca i potęgi umysłu.

Lis rozumiał, czego pragnęli od niego ciemni łowcy syberyjscy, czuł, do czego się rwały ich budzące się myśli. Opowiadał im więc przez długie godziny wieczorne, a nieraz już północ wskazywał Wielki Wóz, gdy pochylony przed ogniskiem zesłaniec mówił jeszcze z zapalem lub rozrzewnieniem, grzebiąc nożem w żarzących się węglach ogniska.

Opisywał piękno, ruch i bogactwo wielkich miast, których słuchający go tuziemcy nie mieli nigdy ujrzeć, a gdzie po roku lub dwóch dotrzeć miały zdobyte przez nich drogie i rzadkie futra.

— Być może — mówił z łagodnym uśmiechem zesłaniec — twoje gronostaje, stary Rabahu, ozdobią płaszcz królewski, a ciemne sobole, które zdobył dziś Wotkuł, okryją ramiona pięknej kobiety, żony dostojnika, możnego człowieka,

który mądrze doradza swému władcy, lub sam rządzi milionami ludzi. Ze skóry losia, powalonego kulą Gangi, uszyją białe rajtuzy i piękny pas ze złotymi kitami dla wodza rzucającego w wir krwawej bitwy tysiące ludzi i na zwalach, stosach ciał pokonanych wrogów ogłaszającego dumnie swoje zwycięstwo! Futra lisów będą chroniły przed zimnem wielkiego uczonego lub myśliciela, wskazującego nowe drogi ludzkości. A nikt z nich nie będzie wiedział, że to lowcy Sameednam znad Obi przysłali im z dalekiego Czin-Waru i Sagurskiej tajgi te skórki, niezbędne dla ich wygody, wspaniałości i bezpieczeństwa. O, nie smućcie się, nie narzekajcie, bracia, na swój los surowy! Pamiętajcie, że jesteście najdalej rzuconymi synami jednej rodziny ludzkiej, a czyny wasze i wasz wysiłek ciężki potrzebne są dla waszych braci. Oni za to przysłał wam na tundrę i do tajgi: tkaniny, żelazo, ołów, stal, herbatę, sól i wszystko, czego nie rodzi i nie posiada w głębi swej piersi ziemia wasza!

Opowiadał Polak milczącym przyjaciółom o znojnycy walkach swej ojczyzny dalekiej, o dziarskim Dwernickim, o żołnierskiej enocie Chłopickiego pod Grochowem, o prze-myślnym, niezmordowanym Prądyńskim, o walecznym orle — jednonogim Sowińskim, o ofiarności podchorążych warszawskich, o bitwach, w których sam brał udział, o cierpieniach, tułaczce, spotkaniu się ze swoją żoną, szukającą go po nędznych, brudnych etapach, gdzie dzwonią kajdany i szemrzą ciężkie westchnienia uciemiężonych i sponiewieranych ludzi.

Gdy przerywał opowiadanie i w milczeniu przyglądał się czerwonym i żółtym węzom, biegającym po węglach, Samojedzi podawali mu kubek gorącej herbaty i prosili cichymi głosami:

— Sprawiedliwy, zagraj nam!

Uśmiechał się wtedy, dmuchał do gorącego napoju i pił go powoli rozkoszując się ciepłem, ogarniającym całe ciało. Skończywszy brał od Wotkuła jego róg myśliwski, długi,

czarny od starości, nie wiedzieć skąd przyniesiony tu kręty róg bawoli.

Teraz wstawał dawny trębacz cesarski, kopulaste przeżył piersi i wydawszy policzki zaczynał trąbić.

Ożywała wtedy tajga uśpiona, echo bieгло spłoszone od modrzewia do świerka, od sosny do białych szkieletów brzoź; rozgwar się szerzył po świecie od stromych spychów Sanguru i Isztyru aż hen — do dalekich pagórków za Basargynem, od śnieżnych wydm, wyrosłych pod zwisającymi łapami kosmatych od jeleniego mchu jodel, aż pod niebo same, pod jarzące się migotliwe „Stożary“ i pod świecącą nad oceanem drzew, niby leb wbitego w pułap gwoźdźcia mosiężnego, — gwiazdę polarną.

Potężne to były dźwięki, budzące tajgę i drażniące zaczajone w niej echo.

Zdawało się, że róg rozbrzmiewa rozedrganym srebrem, szlocha rozpasanym jękiem metalu.

Gdy milknął, zapadała nagle cisza przerażająca; wchłaniała bez śladu, przytłaczała loskot padających drzew, trzask pękających brzoź, dalekie wycie wilków i wszystkie głosy, jęki, charkoty, syki, zrodzone z nienawiści, rozpacz, strachu i bólu — tej mowy życia i śmierci.

Ciszy nie było na ziemi, lecz panowała ona w duszach ludzi, nagle wyrwanych z zawrotnego wiru mocarnych dźwięków rogu.

A Lis oddawał go Wotkułowi i rzucił tylko jedno słowo:
— Spać!

Nim brzask się zaczynał, myśliwi posilali się znowu, a przy pierwszych mgławicach przedświt wyruszali już na lowy.

Lis oglądał zastawione na noc „słopy“. Były to oparte na drążkach ciężkie kloce, z leżącą pod nimi przynętą. Wślizgująca się tam zwinna łasica lub kuna zawadzała o drążek, a drzewo ciężarem swym przygniatało niebaczne zwierzę.

Na przesmykach, uczęszczanych przez lisy i zające, budował zasięki, zawieszał wnyki i pętle, które się zadzierżały na ich szyjach chwytając je i oddając w ręce myśliwego.

Na polankach pan Władysław zagrzebywał w śniegu schwyte w sidła zające i chytrze ukrywał nad nimi żelazne potrzaski, nasadki, stepice na rysie i wilki.

Strzelał do popielic i polujących na nie tchórzów.

Urr tropił czujne i śmigle sobole i zapędzał je na samotnie stojące drzewa. Wtedy strzelec otaczał drzewo „mrzeżnią“ — siecią, opartą na cienkich prętach wiklinowych i raz po raz ciskał w gęszcz gałęzi kawałkami kory, szyszkami i złodowaciałym śniegiem.

Puszyste zwierzątko, ukryte wśród konarów, wypadło przerażone, zeskakiwało na ziemię, aby ukryć się na innym drzewie, trafiało w sieć, która opadała raptownie, a w jej okach i zwojach miotał się i wikłał coraz bardziej drogocenny sobol, aż ginął od ciosu, zadanego mu kolbą karabina.

Łowy trwały aż do dnia, w którym Wotkuł usłyszał ciche nawoływanie się gilów.

— Musimy wracać! — rzekł. — Wiosna idzie!

Zaladowali całą obierz i zdobycz na sanki i po twardym jeszcze śniegu ruszyli na Czin-War.

Dnie stawały się coraz dłuższe, a słońce posyłało na spowitą w biały całun ziemię cieplejsze już promienie.

Na otwartych miejscach i zgrzewkach śnieg zaczynał topnieć na powierzchni i wieczorami okrywał się „nastem“ — warstwą cienkiego lodu.

Na potokach, płynących przez torfowiska, tam i sam powstawały się już „pojmy“, nad którymi kłębiły się obłoki pary.

Na poloninach gzić się zaczynały bielaki, w gęszczu drzew śmigaly wiewiórki, w krzakach, jeszcze nagich, lecz pęcznieć i czerwienią nabrzmiewać zaczynających, wabiły się i niespokojnie szczebiotały ptaszęta, a gdy łowcy docierali już do Ałgimu, gdzieś w borze zatokował przed czasem niecierpliwy

głuszec, lecz umilkł niebawem, gdyż zamieć jęła gwizdać i siec biczami mokrego śniegu.

Obfitą i cenną zdobycz przywiózł zesłaniec do osady nad Algimem. Pani Julianna z zachwytem przyglądała się rozwieszonym w kleci skóróm niedźwiedzi, rosomaków, rysiów, wilków; rudym i ciemnobraunatnym lisom, prawie czarnym sobolom i kunom, żółtawym tchórzom, ogromnym pękom białych gronostajów, niebieskich popielic i płowych łasic.

— Skarby to nie lada! — mówiła spoglądając na męża.

— Toteż sprzedam to wszystko z lichwą! — odparł Lis z dumą w głosie. — Wotkuł odda moje futra Rodionowowi, a ten, jak nikt inny, potrafi je spieniężyć!

Samojedzi, wypocząwszy trzy dni w gościnnym domu Lisów, zaczęli się przygotowywać do dalszej drogi.

— Niech tylko lato przyjdzie i wysuszy bagniska, przekoczujemy do was, nad Algim! — oznajmił na pożegnanie Wotkuł.

Zesłaniec odparł po namyśle:

— Dziękuję wam, przyjacielu, lecz chciałbym prosić was, abyście zaczekali, aż sam was o to poproszę...

Wotkuł zajrzał mu w oczy pytająco.

— Tak! Zaczekajcie, bo... bo mogą zajść zmiany... muszą zajść! — powtórzył zesłaniec.

Wotkuł zapaliwszy fajeczkę mruknął:

— Rozumiem!... Chcecie prosić władze, aby pozwoliły wam powrócić do Narymu?

Lis potrząsnął głową i zawołał z oburzeniem:

— Nigdy o nic nie będę prosił! Mógłbym to dawno uczynić przez rewizora, barona Tolla, a nie skorzystałem z jego pomocy. Moskale nie usłyszą z ust moich żadnej prośby!

— Tedy nie pojmuję... — szepnął Wotkuł.

— Być może z czasem zrozumiesz, bracie, — odpowiedział Lis — bo sam dotąd nic nie wiem i objaśnić tego nie mogę...

Samojedzi odjechali.

Lisowie po długiej rozłące zostali wreszcie sami.

Pan Władysław opowiadał żonie o trudach zimowych łowów, o licznych przygodach swoich, sprycie i rozwadze Urra. Z rzewnością wspominał przyjaźń Samojedów i dziwne, pełne dzikiego uroku noce, spędzone przy ognisku w tajdze śniegiem zasypanej, skutej mrozem, pełnej tajemnic bez liku i czyhającej zewsząd śmierci.

— Władeczku! — zawołała pani Julianna składając ręce jak do modlitwy. — Zastanawiałam się nad tym nieraz, po co wyruszyłeś na wyprawę? Na co nam pieniądze tu, w tym pustkowiu?

Lis milczał. Ujął w swe ręce dłonie żony i ucłował je.

— Odpowiedz! — nalegała.

— Odpowiem z czasem, bo teraz jeszcze sam nic nie wiem; czuję tylko, że powinienem być zdobyć pieniądze i — zdobyłem!... — szepnął.

Pani Julianna dosłyszała coś niedopowiedzianego w głosie męża, pochyliła się i długo wpatrywała się w jego oczy, nagle zamglone, jak gdyby nie widzące.

O nic więcej nie pytała i tylko ukradkiem rzucała spojrzenia na twarz tego beztroskiego zawsze i pogodnego człowieka, teraz coraz częściej wpadającego w zadumę.

Roman i Garsa cieszyli się niewymownie z powrotu gospodarza i oprowadzali go po „zaimce“ pokazując, co nowego przez czas jego nieobecności zrobili.

— Tylko patrzeć „wonź“ się zacznie, — zauważył Lis. — Śnieg szybko topnieje. Trzeba sieci obejrzyć, Romanie, a ty, chłopcze, nabij lodem piwnicę pod szpiżarnią...

— E-wwa! — zarechotał Garsa. — Dawno już nabilem...

— Sieci też w porządku! — zamruczał Roman. — Uplotłem jeszcze inną, aby sposobniej było „rybaczyć“ na wartkiej rzece... a i drugie jeszcze czółno wypaliłem z modrzewia, który wichur obalił na górze...

— No, to widzę, że wszystko w porządku, o wszystkim pomyśleliście, chłopcy! — zawołał pan Władysław klepiąc Romana i Garsę po ramieniu.

— Od tego my tu... — odmruknął ponury chłop.

— Chi-chi-chi! — zapiszczał głupkowato wyrostek i zatrzepotał rękami z wielkiej uciechy.

ROZDZIAŁ XIV

W I O S N A

Z dniem każdym wiosna odnosiła nowe zwycięstwa.

Śnieg ściemniał i opadał.

Lód na Algimie i na potoku popękał.

Na modrzewiach wykwitły nikle, blade, zlepione żywicą motelki miękkich igieł.

Szmaragdowe świeczki wybijały na ciemnych łapach świerków i sosen. Tam i sam na białych połoninach potworzyły się czarne lysiny i natychmiast zielenić się zaczęły i okrywać pąkami puszystych, żółtych kwiatów i skreconych w spirale pędów paproci.

Na nabrzmiałych sokami gałęziach krzaków powyrastały jeszcze korą okryte pochwęki zwiniętych, uśpionych listków.

Nad borem sosnowym, pod obłokami zawisły pierwsze kluczce żurawi i łabędzi, a ich kieranie i jękliwy klangor i w dzień i w nocy rozbrzmiewał nad Czin-Warem; po nich wkrótce gęgać zaczęły sznury dzikich gęsi, gwizdać i krechtać oszalałe od szybkiego lotu, bezładne stada kaczek.

Przelotne ptaki zniżyły swój lot nad Algimem i krążąc powoli opadały na tundrę, gdzie w słońcu polyskiwały już zwierciadła jezior.

Na polany leśne zlatywały się cietrzewie syczące i nadęte; rozwinawszy białopióre wachlarze ogonów wykonywały tańiec godowy.

Mieniające się zielenią i lazurem gluszce występowały ta-

jemniczy hymn wiosenny, puchały i klaskaly po ostępach czarnolesia i dzikich uroczyskach.

Z tundry dobiegało niemilknące kokcielenie pardw, poswist i przeciągłe, drżące granie kulików różnorakich, małych i dużych, szarych i rdzawych, albo też opierzonych wspaniale i barwnie; zewsząd zrywały się jęki czubatych czajek, miotających się nad moczarami.

Wypełniona po brzegi rzeka podniosła wreszcie lód, potrzaskała go, zakręciła w szalonych wirach, rozbiła o skalne przylądki i porohy niosąc na wschód.

Pewnego razu do chaty wbiegł Roman i zawołał do Lisa, który wrócił przed chwilą z tundry i wyjmował z worka upolowane ptactwo:

— Panie! Panie! Do Algimu weszły tajmienie... Ławą idą, aż im grzbiety z wody wystają!

— Wonź! Wonź! — wtórował mu Garsa klaszcząc w dłonie.

Zesłaniec przebrał się szybko i zbiegł ku rzece.

Iślotnie, całe łożysko było zapchane rybami. Duże, srebrzyste, o czerwonych grzbietach posuwały się przeciwko prądowi, wyskakując ponad wodę i wpadając do małych zatoczek. Niektóre wchodziły do potoku i płynęły w górę.

Spostrzegłszy to Garsa krzyknął:

— Zbuduję jaz pod lasem i zastawię więcierze.

Nie czekając na odpowiedź, pobiegł kulejąc i śmiejąc się radośnie.

Pani Julianna stojąc obok męża przyglądała się napływającym ławicom ryb.

— Ech! — westchnął zesłaniec. — Tu dopiero można byłoby zagarnąć niewodem! Ino prąd niezmiernie wartki, a łożysko wąskie okrutnie. Trzeba będzie małą siecią łowić.

Pani Lisowa uśmiechnęła się i grożąc mężowi palcem odparła:

— Ach ty, drapieźniku jeden! Chciwczce przebrzydły!

Zaraz ci przypomnę, co w takich razach mówił pan Wacław Potocki, wielki poeta nasz i mądry człowiek.

Podniósłszy rękę w górę wyrecytowała:

„Wszystko wielkie za wielkim iść powinno rodem,
Na przykopę z wierciochem, na Wisłę — z niewodem“.

— Zrozumiałeś? — zapytała ze śmiechem.

— A jużci, nie ma innego sposobu! — kiwnął głową Lis. — Spróbuję tedy „wierciochem“, czyli małą siecią...

Trzy dni parły ku źródłom Algimu tajemnie, a rybacy zagarniali je siecią i wyrzucali na brzeg, gdzie Garsa ogłuszał je uderzeniami kija.

Z więcierzy, które ukryto w potoku, przegrodzonym jazem, wydobywano również duże ryby, płynące przeciwko prądowi.

Tajemnie, należące do rodziny łososi, znacznie przewyższały je rozmiarami.

Ryby te usiłowały gromadzić się koło zagrody zamykającej koryto potoku; co chwila wynurzały się z wody zamierzając przeskoczyć przez płot z żerdzi, oplecionych pędami wikliny, a nie mogąc ominąć przeszkody szukały wolnego przejścia. Wkrótce znalazły je.

Był to jedyny wąski otwór, dostateczny dla przejścia jednej zaledwie ryby.

Tajemnie przeciskały się przez tę zdradliwą szczelinę w płocie i trafiały do mereży — długiego, wrzecionowatego kosza, splecionego z giętkich prętów. Do pułapki w krótkim czasie nabijało się tak dużo ryb, że łowcy musieli podciągać ją ku brzegowi i wypróżniać. Wreszcie Roman wpadł na pomysł. Zamiast mereży umieścił poza jazem skrzynię, naprędce skleconą z płach i cienkich gałęzi.

W końcu tajemnie przepłynęły w górę rzeki, a za nimi zdążyły już moksuny, miętusy, sigi, nelmy, potem zaś inne, bardziej pospolite gatunki ryb.

Łowcy zagarniali wszystko, co się dało, ponieważ pan

Władysław zamierzał nagromadzić jak najwięcej „jukoly“, część zaś połowu przeznaczył na użyżnienie nowego, dzikiego jeszcze pola.

W zaimce Lisów wszystkie skrzynie, kadzie i beczki wkrótce zostały wypełnione żasolonymi rybami; tajmienice i nelmy wędziły się w buchających dymem szalaszach; ryby wisiały na strychu domku, w kleci, śpiżarni, na sznurach przeciągniętych przez podwórze, a tymczasem z sieci wytrząsano coraz to nowe stopy ryb.

Roman doradził, aby wykuć głęboki dół w zamarznętej zawsze ziemi, ocembrować go kamieniami, ułożonymi na glinie, i składać w nim ryby przeznaczone na „jukole“.

Samojedzi tłumnie przybywali do osady i kupowali świeże ryby, płacąc za nie skórkami białych lisów, wilków i młodymi reniferami.

— Stałeś się chciwy na bogactwo! — zauważyła z wyrzutem w głosie pani Julianna patrząc na męża.

Wzruszył ramionami i odpowiedział spokojnie:

— Tak! Muszę być bogatym!...

Miał przy tym twarz zawziętą i zagadkową.

Pani Lisowa domyślała się, widać, czegoś, lecz nie chciała pytać czekając, aż mąż sam się przed nią zwierzy.

Tymczasem pan Władysław, skończywszy z połowem ryb i pozostawiwszy wędzenie ich, solenie i suszenie na opiece żony i robotników, znowu wyruszył na łowy.

Od dwóch ostatnich dni nadsluchiwał uważnie, co się odbywało w tajdze i na tundrze. Nie spuszczał też z oka Urra, który, podniósłszy przednią łapę i strzygąc uszami, godzinami całymi stał nieruchomo węsząc i warcząc cichutko, a potem biegł do pana i trącał go w nogę czarnym, mokrym nosem wydając przymilny skowyt.

W kniei zaś działy się rzeczy przedziwne! Rozbrzmiewały tam grzniące, burzliwe poryki jeleni, chrapliwy, świszający pozew łosi i niecierpliwy, zły bek kozłów.

Z tundry nadbiegały znów inne głosy.

Tam wilki świecąc w ciemności krwawymi ślepiami śmigwały tu i ówdzie, zawodząc drapieźnie i wyjąc krótko i groźnie.

Urr prowadził swego pana ku ukrytym w niedostępnych chaszczach polanom, gdzie odbywało się igrzysko, a Lis, przyczajony za drzewem, celnymi strzałami obalał sędziwe losie o szerokich lopatach, rogate byki jeleni i kozły o sterzących rozwidlonych różkach, ozdobionych perłami narości.

Zapuszczając się w tundrę tropił basiury, zapadające we dnie do chaszczy i oczeretów. Wynajdywał je po skrytkach czujny Urr, lecz i sam lowiec słyszał je z daleka, bo, porwane wiosenną wściekłością wilki kłapały rozgłośnie zębatymi paszczami. Piasek wywabiał je na płaszczyznę, a człowiek strzelał do nich z karabina i kładł trupem.

Coraz to nowe skóry rozwieszano w przewiewnej kleci, a pan Władysław, jak gdyby porwany gorączką lowiecką, kluczył po tajdze i tundrze niosąc śmierć jej wolnym mieszkańcom.

Pani Julianna z trwogą patrzyła na męża.

Nie uszła jej uwagi zamyślona, pełna niezwykłego uporu twarz jego i mocno zaciśnięte szczęki. Pewien szczegół zaniepokoił ją niewymownie. Spostrzegła bowiem, że pan Władysław mniej już się zajmował domem, jak gdyby życie, o które walczyli z takim trudem, stało się dlań obojętnym.

Zamierzała właśnie rozmówić się z mężem, gdy przed zagrodę zajechali konni Samojedzi z koczowiska, a jeden z nich — znajomy wyrostek, Bajsa, który w wolnych chwilach przychodził do Lisa na naukę, wbiegł do izby i zawołał:

— Niestety! Dzieci po czumach zapadają na nieznaną chorobę... Gorączka je trawi, a ból gardła dusi. Umierają, giną jak muchy!

Pani Lisowa drgnęła, lecz opanowała wzruszenie i zapytała z niepokojem w głosie:

— Czy nie był ktoś z waszych mężczyzn w mieście?

— Basurga powrócił przed tygodniem. Odwoził skóry do Jenisejska i opowiadał, że padł tam mór na dzieci — odpowiedział Samojed.

— Obawiam się, że jest to błonica, zaniesiona z miasta! — rzekła do męża. — Muszę jechać, Władeczk, lecz nie obawiaj się o mnie, będę bardzo ostrożna, aby nie zachorować... i nie być ci zawadą...

Nie mógł się jej sprzeciwić i nie chciał, bo wiedział, że musiała śpieszyć z pomocą cierpiącym i ginącym ludziom. Zresztą, nieodstępnie pochłaniające go myśli panowały nad jego uczuciami i obawami.

— Niech cię Bóg ma w swej opiece! — rzekł pomagając jej wsiąść na renifera.

Pani Julianna zbliżając się do koczowiska z daleka już usłyszała lament i rozpaczliwe krzyki samojedzkich kobiet. Prócz tych jeszcze i inne jakieś głosy, zawodzenia, wrzaski, obłędne wycie dochodziło jej uszu. Ze zdumieniem spojrzała na Bajse.

— To nasi „szamany“ — czarownicy i znachorzy leczą chorych odpędzając złe duchy — objaśniał z lękiem wskazując ręką na dziwną postać, krążącą dookoła czumów.

Człowiek ten miał na szyi zawieszzone dzwoneczki, pstre skrawki tkanin na karku, a na piersiach ogony końskie i mosiężne blachy. Na głowie kolysał mu się wysoki kolpak z kory brzoźowej, ozdobiony piórami, pękami farbowanego wlosia i dzwoneczkami.

„Szaman“ skakał, dzwonił, wyl i od czasu do czasu gwizdał na piszczałce z kości ludzkiej.

— Takie lekarstwo nie pomoże biedakom z pewnością! — z politowaniem pomyślała pani Lisowa i zatrzymała się przed pierwszym czumem, z którego dobiegał krzyk i płacz kobiety.

Pani Julianna obejrzała i zbadała chore dzieci oraz kil-

ku dorosłych, którzy się również uskarżali na nieznośny ból w gardle i łamanie w kościach.

Twarz lekarki stała się poważna i skupiona.

Przewidywania jej ziściły się, niestety.

Miasto rzuciło straszną zarazę błonicy na dalekie koczowisko tuziemców skazując je na nieuniknioną niemal zagładę.

Pani Julianna wzięła się energicznie do zwalczania epidemii.

Trudne to było zadanie, gdyż miała do czynienia z nieoświeconymi, żyjącymi w brudzie i zabobonach koczownikami.

Najpierw więc kazała znieść wszystkie chore dzieci do jednego czumu, a wzięwszy sobie do pomocy nieodstępnego Garsę i jedną z Samojedek, innym mieszkańcom obozu kazała wymyć we wrzącej wodzie naczynia, ubrania i wszystko, czego się chorzy dotykali, aby zaraza nie mogła się szerzyć.

W „szpitalu“, jak nazywała czum z chorymi dzieciakami, zarządziła pomoc lekarską.

Nie znano w owe czasy zbawiennej surowicy, wynalezionej przez ucznia wielkiego Pasteura, doktora Loefflera, z łatwością zabijającej drobnoustroje tej choroby, o czym medycyna do połowy wieku dziewiętnastego jeszcze nie słyszała. Pani Julianna leczyła więc tak, jak to było ustalone przez naukę ówczesną; a więc dała chorym zażyć chinę, a potem przez piórko wdmuchnęła do gardła drobnego pyłku kalomelu, nałożyła okłady ogrzewające, kazała robić płukanie z soli Bertholleta, a na noc napoiła pacjentów gorącym płynem z ziółek, wskazanych w poradniku lekarskim.

Całe dwa tygodnie spędziła pani Lisowa w koczowisku i z bólem serca myślała o tym, ile to ludzi zmarniało i zgasło z braku opieki lekarskiej wśród mieszkańców północy, których los nikogo nie obchodził.

Powróciwszy do domu po ostatecznym zwalczeniu epidemii zastała męża przy pracy na polu. Dawno już był zorał, użył rybnym nawozem rolę, przeorał ją raz jeszcze i zabronował starannie. Teraz, chińskim zwyczajem, zasiał żyto i owies, zasadził ziemniaki i doglądał kopania grzęd dla ogrodu warzywnego, co polecił był Romanowi.

Pani Julianna z trwogą przyglądała się mężowi. Schudi bardzo, wargi mu zbieleły, oczy nabrały niezdrowych blasków, skóra na twarzy i rękach zwiędła i żółkła.

— Co ci jest, Władeczkule? Chory jesteś? — pytała zaglądając mu w oczy.

Lis opowiedział żonie, że codziennie po południu zaczyna go boleć wszystkie stawy, ogarnia gorączka i wstrząsają nim tak potężne dreszcze, że aż zębami musi zgrzytać.

— Wielki Boże! — szepnęła z troską w głosie. — Musiałeś, Władeczkule, nabawić się febry? Nie trudno o nią, bo wokół ciągną się moczary. Musisz łykać koniecznie trzy razy dziennie duże dawki chiny, pić jak najwięcej gorącej herbaty i strzec się zaziębienia... Jakoś tam damy sobie radę z tą zimnicą!

Jednak choroba nie chciała tak prędko opuścić potężnego ciała zesłańca.

Paroksyzmy gorączki i dreszczów nie ustawały; zmieniały się tylko godziny, w których przychodziły, aby dręczyć chorego człowieka.

Pewnego razu leżąc cały w płomieniach z ogniem w zapadłych oczach, drżąc i szczękając zębami, Lis szepnął do pochylonej nad nim żony:

— Julianko... musimy coś uczynić... zdobyć się chociażby na szalone przedsięwzięcie, aby... aby uciec z Syberii. Zmarniejemy tu... zemrzemy oboje!... Nie chcę chociażby przez śmierć nawet poddać się Moskałom!... Nie chcę!...

Zaczął bredzić, belkotać niezrozumiale, pogmatwane słowa, krzyżeć, śmiać się i miotać.

Wtedy to pani Julianna zrozumiała, co od długiego już czasu gnębiło jej męża, a troską i zadumą ciężką okrywało pogodną aż dotąd, beztroską twarz osiłka.

Myśl ta zuchwała i buntująca udzieliła się wnet cichej, łagodnej kobiecie.

I ona, tak jak jej mąż, jęła rozważać różne plany ucieczki, odrzucać jedne i szukać drugich, lecz takiego, przeciwko któremu nie przemawiałby rozsądek, znaleźć nie mogła.

Nie dręczyła się jednak zbyt długo.

Mocna w wierze i ufna w miłosierdzie i opiekę Bożą, w pewnej chwili rzekła do męża:

— Bądź dobrej myśli, Władku! Nie troskaj się i nie borykaj z myślami... Miej nadzieję w Bogu! On nam pomoże i wyprowadzi z niewoli!

Od tego czasu nie zaprzętała już sobie głowy natrętną myślą o ucieczce, doglądała chorego, krzątała się koło gospodarstwa i leczyła przybywających do niej Samojedów, cierpiących na zapalenie oczu.

Ani Lis, w dzień i w nocy suszący sobie głowę planami wymarzonej ucieczki z zesłania, ani uspokojona już pani Julianna nie przeczuwali nawet, że w niebie zapadł już był wyrok na nich.

Ogarnął on grzechy ich, świadome i nieświadome, a także czyny dobre, hart ducha i wiarę niezłomną, a gdy wszystko zostało zważone i zmierzone miarą nieomyłnej sprawiedliwości, Przedwieczny Sędzia wyrok swój opromienił, rozświetlił i przepoił cudownym miłosierdziem bez granic.

ROZDZIAŁ XV

C U D

Upały, na Syberii następujące wnet po zmiennej pogodzie wiosennej, stały się najlepszym lekarstwem dla chorego zesłańca.

Roman z Garsą najzupełniej zastępowali go w gospodarstwie, więc mógł spędzać całe dnie na słońcu, dla rozrywki wiążąc nowe sieci i naprawiając stare.

Jakaś pewność, dojrzałe przeświadczenie podszeptowały mu, że praca jego obecna nie przyda im się już nad Algimem, że ktoś inny opuści tę sieć do nurtów rzeki i cieszyć się będzie widząc trzepoczące się w niej ryby.

Świadomość, że nieznanemu człowiekowi, rzuconemu na dziki brzeg rzeki, skorzysta z jego pracy, rozrzewniała go, więc z przyjemnością wiązał oka, zadzierzgał węzły i śmigał członkiem z nicią konopną snując mocną, gęstą sieć.

Wkrótce dreśzcze ustąpiły, a wyczerpane złą gorączką siły zwolna powracały.

Pewnego razu, gdy słońce zapadało już za tajgę nad Kecią, Urr wybiegł poza zagrodę i jął ujadać wściekle.

— Cóż tam zwęszyło poczciwe psisko? — pytał pan Władysław podchodząc do niego. — Co? Może gdzieś w pobliżu zaczął się „basiur“? A może bury „czaldon“ szuka dziupli z pszczołami? No, no, Urr, coż tam takiego?

Szczekanie psa zwabiło Garsę. Przyglądał się Urrowi i mruzczał:

— Węszy on ludzi... „Urusów“ węszy.

Lis wyteżył słuch w oczekiwaniu, przypuszczając, że to, być może, przybywa Rodionow z Sieńką, jednak z jakąś dziwną trwogą spoglądał w stronę czarnej ściany boru.

Dopiero w godzinę potem z tajgi wynurzyli się nagle jacyś jeźdźcy, a za plecami ich widniały lufy karabinów. Długi wąż koni, obwieszonych tobołami i skrzyniami, postępowal za nimi, popędzany przez innych ludzi.

Przybywający dostrzegli już dym osiedla, bo jeden z jeźdźców wstał w strzemionach i krzyknął:

— Która ścieżka biegnie do zaimki; nad rzeką, czy przez bór?!

— Jedźcie na prawo! — odkrzyknął Lis i zmarszczył brwi, bo rozpoznał kozaków i uriadników policyjnych.

Szybko podążył do domu, aby uprzedzić żonę o niepożądanych gościach.

— Panie! — wyjąkał drżącym głosem Roman. — To po mnie przyjechali kozacy! Zginąłem!

— Nie wiem... — odparł Lis. — W każdym razie nie możecie tu czekać, aż was porwą. Zmykajcie do tajgil... Zaczajcie się w zwaliskach czerwonych kamieni za potokiem. Nie traćcie czasu!

Roman wypadł na ganek, przeskoczył płot i zniknął w krzakach.

W kilka minut potem przed bramą zagrody zatrzymał się spory, liczący dwunastu ludzi oddziałek. Jeźdźcy schodzili z koni.

Kozacy i policjanci rozstąpili się, z uszanowaniem przepuszczając naprzód niemłodego już, dość otyłego mężczyznę, o poważnej twarzy i szarych, badawczych oczach.

Tuż za nim szedł wysoki, bladej młodzienc o twarzy roztargnionej, niezwykle dużych, szeroko otwartych oczach, patrzących łagodnie poprzez okrągłe okulary w czarnej, rogowej oprawie.

Starszy pan szedł majestatycznym krokiem głaszcząc długą, siwą brodę i podejrzliwie spoglądając na ujadającego Urra.

— Co u licha?! — pomyślał zesłaniec. — Kogo tu do nas przyniosło? Gubernator, czy co?!

Dostojny gość dotknął ręką daszka płóciennej czapki, ozdobionej gwiazdką i złotym orzelkiem dwugłowym i straszliwie kalecząc rosyjską mowę zapytał:

— *Pardon!* Kto tu mieć mieszkać... hm... hm..., który człowiek... *Bitte?*

Lis zdumiał się.

Nie wątpił, iż był to jakiś Niemiec.

Z lekkim ukłonem odpowiedział:

— Znajduje się pan w osadzie, należącej do rodziny Lisów.

— A wy... *bitte*? — zadał nowe pytanie gość.

— Jestem Władysław Lis, oficer wojsk polskich, zesłany za udział w wojnie 1831 r. Bardzo proszę rozgościć się u nas...

W tej chwili na ganek wyszła pani Lisowa.

Jej wiotka postać i słodka, pełna godności twarz uderzyły nieznanego. — Żona... *mein Herr*? — zapytał.

— Tak jest! — odparł Lis.

Niemiec zdjął czapkę, posuwistym krokiem zbliżył się do żony zesłańca i schylając głowę w ukłonie rzekł:

— *Pardon...* za niepokój! Jestem profesor, doktor Karol Ernest von Baer, wiceprezes cesarskiej Akademii Umiejętności... *bitte!* Ze swoją ekspedycją, z polecenia jego cesarskiej mości, odbywam podróż po Syberii... *bitte*. Szukamy noclegu... tylko noclegu, *gnädige Frau*. Ach... ach! Pozwolę sobie przedstawić państwu mego siostrzeńca, doktora Rudolfa Haaze, wychowawcę cesarzewicza Aleksandra.

Nowi znajomi uścisnęli sobie dłonie i nastąpiła znajomość.

— Wasza ekscelencja raczy stanąć w namiocie? — pytał salutując uniżenie urzędnik policyjny.

— O, my na to nie możemy pozwolić! — zawołali w jeden głos Lisowie: — Pan profesor jest naszym gościem, również pan doktor Haaze i... pan, panie komisarzy.

— Pomieścimy panów w dużej izbie, gdzie stoi tapczan i dwie szerokie ławy, — dodała pani Julianna. — Zaraz przygotuję w kuchni toaletę dla panów. Musicie się umyć po ciężkiej podróży. Znam tę drogę pomiędzy Kecią a Czinarzem! Moczary, bajory, trzęsawiska... marna, ciężka droga!

Podczas gdy znoszono rzeczy podróżnych Lis wskazał urzędnikowi policyjnemu, dowodzącemu oddziałem straży,

śpichrz, w którym ludzie jego mogli się wygodnie rozmieścić. Garsa przyniósł im szeroką balię i dwa kubły wody, po czym zaczął tuż na dziedzińcu rozpalać ognisko i znosić ryby na wieczerzę.

Gdy obmyci i przebrani goście siedzieli już w izbie, pani Julianna ustawiła na stole chleb, masło, świeży kawior i polcie wędzonego tajmienia oznajmiając, że nim zdążą zjeść przekąski, — pieczone gęsi i udziec sarni odgrzeją się w piecu.

Głodni i zmęczeni podróżnicy z apetytem raczyli się tymi przysmakami.

Głaszcząc długą brodę Baer rzekł z westchnieniem:

— Powiada pan, panie Lis, że zostałeś zesłany tu za powstanie w Polsce? Mój Boże, jak ta wojna rozrzuciła ludzi po świecie! Kolegowałem niegdyś z doktorem Domeyką. Dzielnym to lekarzem! A tymczasem niedawno dowiedziałem się, że musiał uchodzić z kraju, bo brał udział w tym szalonym powstaniu. Tak! Wyruszył podobno na daleką tułaczkę.

Znowu westchnął i spojrzął na Lisa.

Zesłaniec popatrzył na niego spokojnym wzrokiem i odpowiedział po niemiecku:

— Za to mamy sumienia spokojne, bo uczciwie spełniłiśmy nasz obowiązek, panie profesorze!

— Pan mówi po niemiecku? — ucieszył się Baer, a doktor Haaze jeszcze szerzej otworzył oczy i aż podskoczył ze zdumienia.

Komisarz policji, który czuł się skrępowanym w obecności tak wysokiej osoby, jaką był Karol Ernest Baer, osobicie znany carowi, opuścił pokój, pod pozorem odwiedzenia swoich ludzi.

— Niechże mi pan opowie o sobie! — zaproponował po jego wyjściu uczony.

Lis w krótkich słowach odmalował swoje i żony dzieje, a gdy doszedł do tego, że zupełnie przypadkowo wziął udział

w walce z występnyymi urzędnikami, którzy zemścili się wysyłając ich z Narymu na pustkowie, chociaż ani on, ani żona jego nic złego nie uczynili, przeciwnie — dopomagali raczej władzom w krzewieniu oświaty i pomocy lekarskiej, doktor Haaze zawołał:

— To — straszne! Przecież przyjaciel cesarza, uczciwy i mądry Speranskij, walczył z łapownikami i pogwałcicielami prawa?!

— Tak, tak! — wtórował mu profesor, a w oczach jego zapaliły się drwiące ogniki.

Obaj lekarze prosili panią Julianę, aby pokazała im swoją aptekę, i wypytywali ją o rodzaj grasujących na Syberii chorób, oraz o sposoby leczenia, stosowane przez nią. Dziwili się też szczerze jej odczytaniu i umiejętności rozpoznawania chorób, z coraz większym i niekłamany szacunkiem spoglądając na tych ludzi, rzuconych niemal za koło polarne.

Niemcom tak się podobało w domu Lisów, że postanowili spędzić u nich kilka dni, aby dobrze wypocząć i porobić pewne badania przyrodnicze.

— W takim razie — zauważył pan Władysław — urzędę dla panów połów ryb, bo o ile mogę sądzić, Syberia posiada nieznanne jeszcze gatunki śig, a nawet tak pospolite tu „chajruzy“ posiadają kilka odmian.

— To jest nadzwyczaj ciekawe spostrzeżenie! — zawołał doktor Haaze. — Muszę to sprawdzić!

— Mógłbym też, mając niezwykle mądrego psa, dać panom możliwość zdobycia cennych okazów miejscowej fauny — ciągnął dalej zeslaniec. — A już co się tyczy ptactwa wodnego, to chyba nigdzie nie znajdziecie, panowie, lepszego terenu i bardziej sprzyjającej sposobności!

— Jestem wprost zachwycony! — wołał dr Haaze, klaszcząc w dłonie. — Ornitologia, to moja specjalność!

Do rozmowy wmieszała się pani Lisowa, sprzątająca ze stołu.

— Co do mnie, to radziłabym panu profesorowi poznać naszych sąsiadów, tymsko-karakońskich Samojedów — rzekła — przyjrzeć się ich obyczajom, wierze, a w szczególności takim chorobom, jak zapalenie błony śluzowej oczu, szkorbut, gościec, trąd, które w Europie są uważane przez lekarzy za niebezpieczne, a tutaj stały się zjawiskiem codziennym niemal. Czuję się niezmiernie szczęśliwa, gdyby tak bardzo wpływowy i znakomity uczoney mógł coś uczynić dla tych biedaków, skazanych na nieuniknione wymarcie!

Profesor Baer zamyślił się i rzekł przecierając szkła:

— Tak!... tak!... Teraz widzę, że dla poznania Syberii nie dość odbyć podróż przez ten kraj. Na to trzeba całe lata poświęcić!

— My mamy czas! — dodał Lis. — Skazani zostaliśmy na całe życie... do śmierci!

Zaśmiał się gorzko i umilkł.

— To — straszne, zaiste! — mruknął profesor Baer.

— Jest to znęcanie się nad duszą ludzką! — wybuchnął Haaze. — Mój wychowanek, następca tronu, Aleksander Miokołajewicz, musi się o tym dowiedzieć! Jest to młodzieniec najlepszych chęci i szlachetnych zamiarów! Czy państwo wiecie, że pewnego razu ze łzami w oczach wyznał mi, iż nie może znieść poddaństwa chłopów. W jego młodej głowie już świta myśl o uwłaszczeniu włościan! Ja mu opowiem, na jakie okropne życie zostali skazani zesłańcy polityczni!

— Niech pan doktor, broń Boże, nie mówi tego przy komisarzy policji! Gotowi będą osiedlić pana gdzieś w sąsiedztwie! — zaśmiał się Lis.

— Cha, cha! — wybuchnął szczerym śmiechem młody Niemiec. — A to byłoby paradne!

— Ornitologia skorzystałaby na tym! — dorzuciła pani Julianna uśmiechając się figlarnie.

Wesoły śmiech obecnych był odpowiedzią na uwagę gospodyni.

Przez kilka dni panowie robili dalekie wyprawy myśliwskie lub przebywali na rzece. Kozacy i policjanci pomagali zarzucać i wyciągać sieci, reszta spała, jadła i wałęsała się po okolicy.

Pewnego razu pani Julianna wraz z profesorem odwiedzili koczowiska Samojedów, a doktor Haaze, wzięwszy ze sobą kozaka, zaopatrzył się w małą sieć i wyruszył do tajgi.

— Chcę złapać chajruzy, które przebywają przy początkowych źródłach Algimu — objaśnił żegnając Lisa. — Powrócę wieczorem dopiero.

— Ej, chyba aż jutro? — zaprzeczył zesłaniec. — Będzie pan doktor miał daleką i bardzo uciążliwą drogę, a proszę uważać, żeby nie natrafić na grzańskie topieliska!

— Dziękuję za radę! Nie będę zbaczał ze ścieżki! — odparł Haaze odchodząc.

Młody uczonec istotnie nie powrócił tego dnia.

Lisowie uspokajali strwożonego profesora, jednak gdy Haaze i nazajutrz nie powrócił przed południem, pan Władysław uczuł również niepokój.

— Do pioruna! — mruknął do żony. — Czy aby jakaś zła przygoda nie spotkała tej zdumionej ciągle tyki niemieckiej? Chyba pójdę na poszukiwanie, Julianko, czy co?

— Idź, Władeczkule, bo musimy się opiekować gośćmi! — odparła. — Zresztą bardzo to zacni ludziska i oświeceni!

Lis wytłumaczył Baerowi, że wyjdzie na spotkanie Haazego, ponieważ obawia się, iż ten, nie znając ścieżek w tajdze okolicznej, może zablądzić. Nie brał ze sobą policjantów ani kozaków, bo żaden z nich nie znał miejscowości i byłby mu tylko zawadą w drodze.

Gwizdnawszy na Urra szybko zniknął w borze. Nie szedł

jednak na zachód, lecz z dala obszedłszy swoją posiadłość dotarł do zwalisk skalnych nad potokiem i zawołał:

— Romanie! Romanie!

Wystraszony robotnik wylazł z jakiejś kryjówki, w której siedział jak borsuk.

— Słuchajcie! — rzekł Lis. — Jeden z naszych gości wczoraj jeszcze poszedł do tajgi, skąd wypływa Algim.

— Tam trzęsawiska straszne, a pod torfem — otchłań!... — przerwał mu Roman.

— Idę właśnie na poszukiwanie zaginionego — ciągnął dalej zesłaniec. — Pójdziecie ze mną?

— Z wami pójdę wszędzie! — zawołał robotnik.

Nie mówili nic więcej do siebie i szli szybko przez bór. Skończył się wkrótce i pod stopami idących zaczęło mlaskać i cmokać bagnisko, pluskać woda, na której z bulgotem głośnym pękały bąble.

Obaj znali pobliskie moczary, bo nieraz szukali tam pasących się reniferów domowych, więc pewnym krokiem skracali sobie drogę do tajgi, skąd sączyły się źródła, stanowiące początek rzeki.

Urr wkrótce odszukał na jedynej ścieżce, przecinającej ten szmat kniei, ślady dwóch obcych ludzi; warczał przy tym i jeżył sierść na karku. Dalej odnalazł niedopałek papierosa, skrzyżowanego z cienkiej bibulki, jakiej używał doktor Haaze, i resztki posiłku, spożytego na popasie. Nie zatrzymując się piesek biegł dalej, glucho poszczekując.

Doszli wreszcie do zwalonego świerka, po którym przeszli na drugi brzeg rzeki, i tu nagle posłyszeli daleki, słaby krzyk.

Powtórzył się po chwili, więc pobiegli za Urrem, który gwałtownie zboczył ze ścieżki i coraz głośniejsz szczerząc się biegł na przelaj przez tajgę, skacząc przez kępy i nurzając się w błocie.

Ludzie jednak zmuszeni byli posuwać się wolno, z wiel-

ką ostrożnością wybierając bezpieczne miejsca, ponieważ wychodzili już na trzęsawisko, pełne głębokich wykrotów, małych jeziorok i zwałów gnijących gałęzi, a nawet całych drzew, usychających na rozmiękłym torfie.

— Po co oni tam szli? — spytał Roman obejrawszy się na gospodarza.

Ten wzruszył ramionami w milczeniu, uważnie rozglądając się po okolicy.

Las się skończył.

Przed przedzierającymi się przez bagno ludźmi odkryła się rozległa polana, szmaragdowo-zielona od młodych mchów, kobierców rzęsy, połyskujących w słońcu liści lilij wodnych, sitowia i tu i ówdzie rozrzuconych krzaków wikliny.

Urr zatrzymał się na skraju lasu, oparłszy łapy na korzeniach, wystających z ziemi, i patrzył przed siebie głośnie wciągając powietrze.

— Szukaj! — rzekł do niego Lis.

Piesek nie usłuchał rozkazu. Stał zapatrzonej przed siebie i chwilami drżał.

Roman chcąc zachęcić Urra postąpił kilka kroków naprzód, lecz gdy przerwała się pod nim nagle cienka warstwa torfu, wpadł w rozstępującą się pod nim otchłań czarnej wody i płynnego błota. Ledwie zdążył ucześcić się ręką zwisającej gałęzi olchy i wydostać się na twardy grunt.

W tej chwili Urr zadarł głowę i jął ujadać a chwilami wył przeciągle i trwoźnie.

— Pies spostrzegł, czy też dopiero zwęszył zaginionych... — szepnął Lis. Wdrapcie no się, Romanie, na tę olchę, może coś zobaczycie z wysoka?

Chłop szybko wlaź na drzewo, gdy w tej samej chwili rozległ się rozpaczliwy, słaby głos od strony krzaków, rosnących o jakie sto kroków od lasu.

— Doktor Haazel!... Ha-a-ze! — wołał zesłaniec.

Drżący, urywany głos odpowiedział mu natychmiast:

— Ratunku!... Ratunku!

Roman, znajdujący się już pod koroną drzewa, rozglądał się po bagnisku, aż wreszcie wydał przeraźliwy okrzyk:

— Widzę człowieka, który się zapadł do „zybunu“...

Lis podczas polowań na tundrze spotykał nieraz te zdradliwe, na pozór takie pociągające, białe piaski, po których swobodnie i bezpiecznie biegały czajki, kuliki i kaczkę.

Biada jednak człowiekowi, który waży się stanąć na tej strasznej, zwodniczej lasze piaszczystej. Samojedzi znają takie miejsca i nazywają je „tysaban“, co znaczy — zdrada.

Mieszkańcy tajgi i pogranicznej z nią tundry omijają z daleka te fałszywe, mamiące ostrowy piasków. Wiedzą bowiem, że są to płaszczyny, przesiąknięte wodą, kryjące w sobie niezgłębioną toń, nieruchomą bezdnie.

Roman szybko zszedł z drzewa i szepnął do Lisa:

— Stąd nie dojdziemy do tych krzaków, panie!... Musimy szukać śladów, kędy przechodził ten nieszczęśliwy człowiek.

Ruszyli na prawo rozglądając się wokoło, aż ujrzeli czarne zagłębienia na powierzchni trzęsawiska.

Dwu ludzi przechodziło tędy.

— Gdzież jest ten drugi? — spytał Lis. — Doktor Haaze przecież wziął ze sobą kozaka?

Roman nic nie odpowiedział. W milczeniu szybko rąbał cienkie i długie olchy. Ściąwszy osiem rzekł do zesłańca:

— Róbcie panie to, co ja będę robił.

To mówiąc rzucił na zielony kobierzec, okrywający torfowisko, cztery żerdzie i położył się na nich. Odtrącając się nogami, toczył się na cienkich belkach, przekładając je tak, aby pierś zawsze miała oparcie. Pływająca na ukrytym jeziorze warstwa mchu, sitowia i trawy uginą się, lecz wytrzymała teraz ciężar człowieka.

Lis sunął za Romanem.

Widział, jak z sykiem i bulgotem sączyła się woda, wy-

bijając się przez sieć zwikłanych korzeni i trawy, jak chyliły się rosnące na trzęsawisku krzaki, poruszały się rzęsy, okrywające niewidzialne „oczy“ — małe jeziora, zaciągnięte wodorośtami i liśćmi grążeli.

W pewnym miejscu natrafili na pasmo twardej ziemi, a na niej spostrzegli stratowaną przez ludzi trawę.

Ta zdradliwa, wąska łacha wyprowadziła, widać, ludzi nieobytych z tajgą północną, pełną zasadzek i niespodzianek groźnych na miejsce zagłady.

Tuż za nią bowiem zaczynało się głębokie jezioro, powleczone pływającą na jego powierzchni zieloną warstwą cienkiego torfu i zasnuwającą powierzchnię toni powłoką roślin wodnych.

Lis pełznął obok Romana leżąc na długich dragach, dających pewne oparcie, i obaj dotarli wreszcie do miejsca, gdzie tylko zielony kōbierzec rzęsy okrywał otchłań jeziora. Tu się zatrzymali czując, jak warstwa torfu ugina się pod nimi, a woda z głośnym, złym sykiem wytryska przez sieć korzeni, mchów i traw.

Lis widział teraz wyraźnie duży krzak pochylony i co chwila chylący się coraz niżej, a obok — czarną plamę błota i rdzawo-brunatnej wody, nad którą białała przerażona, blada twarz Haazego i ręka jego, kurczowo uczeptiona korzeni wikliny.

— Rzemień! — syknął Roman i położywszy się na boku już odpinał sprzączkę.

Lis poszedł za jego przykładem. Związawszy dwa pasy Roman rzucił jeden koniec tonącemu.

— Brać ostrożnie, przymocować dobrze do ramienia i czekać! — rozległ się głos Lisa.

Haaze pochwyił jedną ręką rzemień, z rozpaczliwym wysiłkiem podciągnawszy się na rękach, piersią oparł się na korzeniach krzaku i wykonał rozkaz.

Wyciągnawszy spod siebie po jednym drągu związali ich końce i po wodzie podali Haazemu.

— Położyć się i nie ruszać się! — padł nowy rozkaz Lisa.

Po chwili wydobyli młodego uczonego z „zybuna“ i przyholowali go do brzegu torfowiska.

Podali mu cztery żerdzie, na których wyciągnęli go ostatecznie na pływającą warstwę torfu, po czym ruszyli w powrotną drogę.

Dotarwszy do tajgi, gdzie przywitał ich radosnym szczeniem Urr, długo nie mogli podnieść Haazego. Leżał błądy, z przymkniętymi oczyma, osłabiony i wyczerpany.

Cucili go, wstrząsając i rozcierając mu ręce i nogi dopóty, aż oprzytomniał trochę i spojrzal na swych zbawców zdumionym, wdzięcznym wzrokiem.

Posadzono go i oparto plecami o pień.

— Co się stało? — spytał go Lis.

— Nieszczęście... — szepnął.

— To już wiemy, ale jakie i dlaczego? — zadał nowe pytanie zesłaniec. — Jak pan tu trafił i co zaszło? Po co pan tu zabrnął? Gdzie jest kozak?

Doktór drgnął i rękami zaslonił twarz.

— To okropne! — wyrzęził. — Idąc ścieżką spostrzegłem nieznaną mi odmianę kaczek... Taka biała z rudymi, sterczącymi piórkami nad skrzydłami. Zerwała się z drzewa... To — straszne!

Lis mimowoli się uśmiechnął, bo nie rozumiał, co mogło być strasznego w tym, że jakaś tam kaczka miała sterczące piórka?

Haaze nie zauważył jednak drwiącego uśmiechu zesłańca. Okryty czarnym i rdzawym błotem, cuchnący zgnilizną i pleśnią, z zielonymi niemi wodorostów i listkami rzes w brwiach i włosach, miał niezwykle i zabawny wygląd, tym bardziej śmieszny, że spoglądał wokoło szeroko rozwartymi

oczami, nie widzącymi i bezradnymi, ponieważ właśnie zgubił był swoje okulary o grubych szklach krótkowidza.

— To straszne! — powtórzył z przejęciem i rozpaczą. — Nigdy nie zapomnę tego wypadku. Zacząłem ścigać kaczkę... sfrunęła z drzewa i usiadła na piasku, bielejącym na tej polanie... Skradałem się do niej... Kozak szedł obok mnie, gdy nagle ziemia urwała się pod nami... Instynktownie uczyniłem skok... jeden... drugi... i — uczepiłem się gałęzi jakiegoś krzaku. Trzymałem się jej kurczowo, ze wszystkich sił, czując otchłań pod sobą i ciężar piasku, który wciągał mnie do niej... Nie mogłem się poruszyć. Słyszałem rozpaczliwe krzyki kozaka... jego błaganie o pomoc... Zamknąłem oczy, aby nic nie widzieć, a gdy krzyki ustały nagle, spojrzałem i... nie już nie spostrzegłem na powierzchni tej przeklętej polany...

Umilknął szcękając zębami i drżąc na całym ciele.

— Na Boga! — zawołał Lis. — Kiedyż się to stało?

— Zdaje mi się teraz, że wieki całe upłynęły od tej chwili, lecz było to dziś, wkrótce po porannym posiłku, gdy zamierzałem już powracać do domu... Nie mogłem sobie poradzić... Najlżejszy ruch mój pogrążał mię coraz bardziej. Trzymałem się tylko krzaku i z przerażeniem przekonywałem się, że chyli się coraz bardziej, że stopniowo obrywają się jego korzenie. Już sił mi zabrakło... już drętwiały palce... już sztywniało z zimna ciało, gdy usłyszałem szczekanie psa. Wtedy krzyczeć zacząłem... wołać o ratunek...

Nie skończył i nagle padł do nóg Lisa, objął go za kolana, całował i szeptał:

— Dziękuję!... Dziękuję!... Nie chciałbym umrzeć taką potworną śmiercią!... Mam narzeczoną... miłą, dobrą Emmę..., która mnie kocha i tęskni za mną! Uratowałeś mnie pan! Nigdy tego nie zapomnę!... Uczynię wszystko, co mi pan rozkaże...

I znowu przyciskał się twarzą do nóg zesłańca, lkał i rzucał słowa bezładne, pełne wdzięczności i oddania.

— Doktorze... doktorze! — mówił Lis. — Niech się pan uspokoi! Uratowałem pana nie tylko ja, lecz i ten oto człowiek... mój przyjaciel... Roman.

Doktor Haaze nic już jak gdyby nie słuchał. Łkał głośno, a ramiona jego podnosiły się i opadały gwałtownie.

Późno wieczorem Lis i Roman doprowadzili uratowanego uczonego do boru. Katorżnik zniknął natychmiast w jego gąszczu. Pan Władysław sam już dopomagał Haazemu dojść do domu.

Wszyscy otoczyli przybyłych.

Doktor Haaze ze wzruszeniem i podnieceniem opowiadał zebranym o swej przygodzie, a gdy skończył, spytał mrużąc niewidzące oczy:

— A gdzie jest pan Roman?

Zesłaniec zawahał się przez chwilę, lecz w końcu odparł śmiało i wesoło:

— Poszedł obmyć się, co też radzę uczynić panu doktorowi!

— A czy ten pan Roman powróci? — dopytywał się Niemiec.

— Na razie, nie! — odpowiedział Lis. — Poszedł do domu.

Przysłuchująca się tej rozmowie pani Julianna struchlała.

Tymczasem wzruszony doktor schwycił Lisa za ręce i powtarzał:

— Mój zbawca!... Mój zbawca!...

Do zesłańca zbliżył się komisarz policji i klepiąc go po ramieniu oznajmił:

— Zuch z ciebie, Lisie! Złożę o twoim czynie raport panu gubernatorowi!

Pan Władysław już usta otworzył, aby coś odpowiedzieć urzędnikowi, gdy do zdumionego komisarza policji podszedł profesor Baer i surowym głosem zawołał:

— Panie komisarzu! Cóż to za poufałość, czy może objaw brutalności? Jakim prawem zwraca się pan tym tonem

do pana Lisa? Pański raport nikomu nie jest potrzebny, zapamiętaj pan to sobie! Raport o panu Lisie złożę ja osobiście jego cesarskiej mości, a mój siostrzeniec nie omieszka tego uczynić w obecności następcy tronu. Rozumiesz pan?

— Ależ, ekscelencjo, nie chciałem bynajmniej obrazić Li... pana Lisa! — wybełkotał przerażony komisarz.

— Dobrze już, dobrze! — machnął ręką wiceprezes Akademii Umiejętności. — Idź pan już sobie, panie „isprawniku“... Nic tu po panu!...

Tegoż dnia, późnym wieczorem w izbie zaimki nad Algimem, przy stole toczyła się narada pomiędzy Polakiem-zesłańcem i jego żoną, a dwoma niewymownie wzruszonymi niemieckimi uczonymi, profesorem Karolem Ernestem Baerem i doktorem Rudolfem Zygfydem Haazem, wychowawcą cesarzewicza Aleksandra, przyszłego imperatora Rosji.

Rozmowa toczyła się w języku niemieckim, a gdy zapadło milczenie i goście patrząc na siebie poważnie namyślali się ważąc całą sprawę, zesłaniec zaciskając głowę w dłoniach potarzał prawie nieprzytomnie:

— Radźcie, panowie!... Powiedziałem wam wszystko szczerze i otwarcie, co mnie dręczy i gnębi... Ja tu pozostać nie mogę, bo serce moje troska się i krwią broczy z niepokoju i lęku o żonę, która jest słońcem mego życia, moim sumieniem i jedynym szczęściem! Radźcie! Ratuście nas!

Już świt nadchodził i kaczkki zaczynały pokrechywać przelatując z rzeki na jeziora, a siedzący przy stole ludzie wciąż się jeszcze naradzali, aż w końcu podniósł się z ławy dostojny, poważny profesor von Baer i rzekł:

— Rada mego siostrzeńca jest dobra... powiedziałbym — najlepsza, bo od razu rozstrzyga całą sprawę. Cierpliwości więc, drodzy przyjaciele, czekajcie i bądźcie gotowi...

— Dziękuję, dziękuję z serca i duszy! — zawołał Lis, wzruszony i uradowany. — Spełniły się moje marzenia! Niech Bóg was wynagrodzi!

— Panowie! Bóg jeden może odplacić wam za nas... bezbronnych! — dodała pani Julianna.

Po chwili Lisowie odeszli do swojej izby, lecz pan Władysław natychmiast powrócił i podchodząc do doktora Haaze szepnął do niego:

— Doktorze, a proszę nie zapomnieć o Romanie Wasinie... On też ratował pana na tym przeklętym trzęsawisku... Roman Wasin... Roman Wasin, zbiegły katorżnik z więzienia w Akatuju.

Haaze wytrzeszczył oczy i kiwnął głową.

ROZDZIAŁ XVI

KU WOLNOŚCI

Wrzesień zbliżał się ku końcowi.

W zaimce Lisów wszystko szło dawnym trybem.

Zresztą — tylko pozornie. Coś nowego czaiło się w źrenicach polskiego zesłańca i jego żony. Było to niecierpliwe, trwożne oczekiwanie, a miało w sobie tyle niewypowiedzianych obaw i zwątpień, że unikali wszczynać o nim rozmowy.

Dla oczu obcych ludzi nic się nie zmieniło, a Roman i głupkowaty Garsa nic też nie spostrzegli. Lis zakończył żniwa i złożył żyto w śpichrzu, uczył młodzież samojedzką, naprawiał sieci i krzątał się po zagrodzie.

Pani Julianna sprzątnęła wórzywo z grzęd, zakopała je w piwnicy zasypawszy piaskiem i, jak zwykle, odwiedzała chorych w koczowisku na tundrze.

Pewnego dnia przyjechali niespodziewanie Rodionow z Wotkulem.

Rodionow przywiózł Lisowi pieniądze za sprzedane futra i zamknąwszy drzwi za sobą szepnął:

— Nowiny przywożę... ważne! Do Narymu przybył urządnik Leszczenko z pismem dla was. Lada dzień tu będzie. Może znowu coś złego? Naradziliśmy się z Wotkulem i postano-

wiliśmy, żeby nie pozwolić skrzywdzić was po raz drugi... Wotkuł ukryje was na Tymsko-Karakońskiej tundrze.

Lis błysnął oczami i odparł wesolo:

— Będę tu czekał na Leszczenkę! Niech się przekona, że potrafiłem przecież zbudować sobie chatę.

Rodionow pokręcił głową i szepnął trwożnie:

— Ej, nie mówcie tak, abyście potem nie żalowali!... Pamiętajcie, że uprzedzałem was...

— Dziękuję wam, Michale Szymonowiczu! — rzekł Lis.

— Jakie tam „dziękuję“! — mruknął gderliwym głosem kupiec. — Nie po to tu przyjechałem.

Pomyślał chwilę i dodał niepewnym głosem:

— Jutro rano muszę powracać, bo obawiam się, że Leszczenko oskarży mnie o znowę z wami...

— Powracajcie, Michale Szymonowiczu, bo nie chciałbym, abyście cierpieli za nas! — odpowiedział zesłaniec. — A wy, Wotkule, czy też jutro odjeżdżacie?

Samojed potrząsnął głową i mruknął:

— Pozostanę tu... muszę odwiedzić rodaków w koczo-wisku.

Rodionow, serdecznie żegnany, odjechał nazajutrz a w dwa dni potem przybył do osady Leszczenko, bardzo grzeczny i nawet uniżony.

— Pismo mam dla was! — oznajmił na wstępie. — Tym razem — dobre pismo!

Lisowie wskazali mu miejsce, gdzie mógłby się umyć i oporządzić przed wieczerzą, a sami zamknęli się w swej izbie i odczytali przywieziony papier.

„Kancelaria gubernatora, z rozkazu ministrów sprawiedliwości i spraw wewnętrznych, oznajmia, że polskiemu zesłańcowi, Władysławowi Lisowi, za uratowanie życia wychowawcy cesarzewicza nadaje się prawo zamieszkania w dowolnym, podług jego wyboru, mieście Syberii, oraz poleca się władzom w najbliższym terminie przewieźć go do Petropawłowska na

Kamczatkę do dyspozycji radcy tajnego, profesora Karola Ernesta von Baera, na cały czas jego naukowej ekspedycji. Żona zesłańca Lisa, jako doświadczona lekarka, ma towarzyszyć swemu mężowi“.

W kopercie Lis znalazł drugi papier. Zawierał on ulaskawienie dla katorżnika Romana Wasina, któremu, zgodnie z rezolucją najwyższego sądu, ciężkie więzienie zostało zamienione na osiedlenie w obwodzie Czin-Waru.

Lisowie bez słowa padli sobie w ramiona, a potem wzięszy się za ręce długo, gorąco modlili się przed obrazem Matki Boskiej Częstochowskiej.

W dwa dni po przyjeździe Leszczenki żegnali na zawsze Algim. Zaimkę ze wszystkim, co w niej było, podarowali Romanowi i wiernemu Garsie, który porywał się jechać za swoją panią.

Odjechali wierzchem na reniferach, wynajętych u Samojedów przez uradnika.

Wraz z nimi wyruszył też Wotkuł.

Jechali razem całe pięć dni, aż w Jenisejsku wsiedli Lisowie do wózka pocztowego, zaprzężonego w trójkę koni. Teraz dopiero nastąpiło rzewne i pełne wzruszenia rozstanie z tym wiernym, oddanym im przyjacielem.

Gdy konie ruszyły, Lis się obejrzał.

Na wysokim brzegu, nad rzeką, długo jeszcze stał Wotkuł.

Mała, topniał coraz bardziej, aż pochłonęło go oddalenie i kurz, podnoszony kołami szybko toczącego się wózka.

Przez cały miesiąc wieźli uradnicy zesłańca polskiego i jego żonę, aż stanęli w małej osadzie nad brzegiem morza.

Był to Petropawłowski Ostrog.

Po chwili do izby na stacji pocztowej wpadł doktor Rudolf Haaze.

— Chwała Bogu! — zawołał. — Jesteście! Żyłem w ciągłej obawie o was, drodzy przyjaciele!

Pochyliwszy się Lisowi do ucha, długo coś szeptał i objaśniał patrząc przed siebie niebieskimi, ciągle zdumionymi oczami i błyskając szkłem okularów.

Polak słuchał w milczeniu i kiwał głową.

Wreszcie Haaze wstał i z rozrzewnieniem na twarzy ucałował rękę pani Julianny, a potem długo ścisnął zesłańca szepcząc urywanym głosem:

— Szczęśliwego życia! Szczęśliwego życia!

Tego samego wieczora od drewnianej przystani Petropawłowska odbił duży, dwumasztowy okręt amerykański „Rekin“.

Wszystko odbywało się na nim jak zwykle. Szyper, stojący przy sterniku, przepłatał klątwami rzucane rozkazy. Bosmani pokrzykiwali na majtków, a ci w pośpiechu zamykali luki rumów, gdzie zostały starannie ułożone towary, nabyte na Kamczatce. Drogie to były towary: futra, skóry, ryby i kość mamutowa. Tego dnia jednak luki zostały zamknięte niezwykle starannie, a bosman, pilnujący tej czynności, mruzczał do ludzi z załogi:

— D a m m ! Rzućcie na pokrywę stos starego płótna! Na wszelki wypadek... Szyper nie życzy sobie, aby rosyjska straż zabrała nam tych dwoje ludzi, co to w nocy przekradło się na pokład „Rekina“... Zapłacili dobrze, a poza tym on, to jakiś, widać, tegi, promienny chłop, ona zaś nie wiem, ale podobne do niej kobiety tylko na obrazach świętych się chyba widuje! Rzućcie jeszcze kawał żagla!...

Gdy brzegi Syberii znikwały we mgle, na pokład wyszło dwoje ludzi, a za nimi węsząc nieufnie, dreptał kosmaty, rudy szpic.

Niewysoki, lecz nad wyraz barczysty mężczyzna o twarzy śmiałej i pogodnej, otoczył ramieniem wiotką kobietę o złocistej koronie włosów i stanął przy burcie.

Długo trwali w milczeniu, wpatrzeni w tonące w mroku

i słonej mgle ostatnie wysepki ziemi wygnania, siedziby mroźnej, nielitościwej Białej Śmierci.

— Słonko ty moje!... umiłowana nad życie, Julianko moja luba... Przed nami wolność! Wolność! — szepnął mężczyzna.

— Wolność! — powtórzyła złotowłosa kobieta garnąc się do kopolastej, szerokiej piersi stojącego obok męża.

Szumiała i pluskała fala, płataną ostrym dziobem okrętu, pogwizdywał wiatr wśród lin i tętnił w wyprężonych żaglach, co biegały ni to łabędzie, ku szczęściu swój lot kierujące...

Objaśnienia słów staropolskich i obcych.

Basiur — myśliwska nazwa wilka.

Bitte — (niemiecki wyraz) — proszę.

Błonica — inaczej dyfteryt.

Bosman — starszy marynarz.

Brodziaga — (wyraz ros.) — włóczęga, zbieg z więzienia.

Brodzień — sieć na ryby, które się chwyta brodząc w wodzie.

Burunduk — pasiasta wiewiórka syberyjska.

Chajruz — syberyjski rodzaj pstrąga lub sigi.

Czum — szalas koczowników północno-azjatyckich, sklecony z żerdzi, okrytych korą lub skórą.

Czyże — pończochy skórzane, noszone przez północnych koczowników.

Czałdon — syberyjska nazwa niedźwiedzia, a także prawdziwego, od dziada — pradziada wieśniaka syberyjskiego.

Damm — przekleństwo angielskich marynarzy, odpowiada naszemu wykrzyknikowi: „do licha“.

Dymokur — małe ognisko, mocno dymiące, dla odpędzania owadów.

Fauna — świat zwierzęcy.

Gimga — przyrząd do łapania ryb, nazwa samojezdka.

Gnädige Frau — szanowna pani (po niem.).

Gnus — syber. nazwa dla gryzących owadów.

Isprawnik — naczelnik policji całego powiatu.
 Ja, ja — natürlich — tak, tak — oczywiście (po niem.).
 Jaz — zagroda w łożysku rzeki dla połowu ryb.
 Jukoła — suszona ryba.
 Jur — głęboki dół na dnie rzeki lub jeziora.

Katorga — ciężkie więzienie na Syberii. Więzień kryminalny — katorżnik.
 Kisy — buty samojedzkie na futrze.
 Kiścień — pierwotna broń, składająca się z rzemienia z uwiązany doń kamieniem lub kawalkiem żelaza.
 Klanger — krzyk łabędzi.
 Kieranie — krzyk żurawi.
 Kleć — lamus, spiżarnia, skład.
 Klempa — samica łośia.
 Kluczyć — biegać zawilym szlakiem.
 Kokcielić, kłochtać, puchać — określenie głosów różnych ptaków kuro-watych.
 Kotce — przyrząd rybacki, sznur z uwiązanymi doń hakami.
 Krzywda — sieć na trójkątnej ramie.

Lapis — azotan srebra.
 Leming — północny gryzoń, żyjący dużymi koloniami.
 Lampy — ślepie wilcze.
 Luka — otwór, prowadzący do wnętrza okrętu.

Łajka — myśliwski pies z gatunku szpiców północnych.
 Łyżki — myśliwska nazwa uszu łośiów, jeleni i sarn.

Malcia — samojedzka nazwa kozuska.
 Malachaj — czapa futrzana.
 Mein Herr — mój panie (po niem.).
 Mereża — sieć na obręczach do chwytania ryb.
 Morda — pleciona z prętów pułapka na ryby (polska nazwa więcierz).
 Mrzeźnia — sieć do łapania drobnych zwierząt.

Nabat — dzwon na alarm.
 Najda — ognisko północnych szczepów.
 Narty — zwykły przyrząd do chodzenia po śniegu oraz wąskie sanie na długich płozach.
 Nast — zlodowaciała woda na powierzchni śniegu.
 Nasadka — pułapka na lisy i tchórze.
 Nesowo — futrzany czepek samojedzki.

Ni — pas samojedzki.

Niuga — koc, zszyty z kilku skór, do okrywania czumu.

Numa — główne bóstwo Samojedów, inaczej — Wielki Duch.

Obielać — zdejmować skórę z ubitej zwierzyny.

Obierz — sprzęt myśliwski.

Ornitologia — nauka o ptakach.

Ość, oścień — drąg z ostrzem o kilku zębach, do nabijania ryb.

Ostiacy — kocujący szczep na północy Syberii, dzielą się na Kamiennych, Jasackich, Czarnych etc.

Ostrów — wyspa, oaza.

Ostróg — mała twierdza (słowo ros.).

Pał — pożar leśny (syb. wyraz).

Pauzok — mała szkuta.

Paroksyzm — w określonych godzinach następujące objawy choroby.

Pardon — ogólnie w Europie używane słowo francuskie, oznaczające — „przepraszam“.

Pime — futrzane spodnie samojedzkie.

Pimy — syberyjska nazwa butów wołokowych.

Pojma — przerębla lub nie zamarzająca część rzeki.

Purga — syberyjska nazwa zamieci śnieżnej.

Pors lub pyrś — mąka z suszonej ryby (wyraz sam.).

Reje — poprzeczne belki do żagli na masztach okrętu.

Rufa — sterowy koniec łodzi.

Rum — skład na towary we wnętrzu okrętu.

Samojedzi — kocujący szczep w północnej Syberii. Niżowi Samojedzi — rybacy, inni — pastuchy lub myśliwi.

Sameednam — samojedzki wyraz, oznaczający „Synowie Ziemi“; nazwa „Samojed“ jest zepstutym słowem „Sameednam“.

Selekcja — dobór.

Slopecy — pułapka na zwierzęta, przywalająca je swym ciężarem.

Sochaty — syberyjska nazwa łosia.

Sok — samojedzka nazwa kozucha.

Sor — zatoka lub ślepa odnoga rzeki.

Spych — urwisty, stromy brzeg.

Stanowoj — komisarz policji jednego z obwodów powiatowych.

Stępica — potrzask dla chwywania zwierza.

Stożary — ros. nazwa konstelacji „Plejady“.

Szaman — północny czarownik, znachor, wróżbita.

Szyper — komendant okrętu handlowego.
 Sliże — litewska nazwa drobnych ciasteczek, podawanych z utartym na miodzie makiem (danie wigilijne).

Tajga — syberyjska nazwa dzikiego lasu.
 Tajmień — duża ryba z gatunku łososi.
 Tanina — garbnik, środek używany w medycynie i w garbarstwie.
 Toros — zwałiska lodowe.
 Torsuk — worek ze skóry rybiej.
 Tundra — północne torfowiska i moczary.
 Tysaban — samojedzki wyraz, oznaczający: zdrada.

Urus — mongolska nazwa Rosjanina.
 Uriądnik — niższy funkcjonariusz policyjny, rewirowy.

Wart — szybki prąd.
 Więcierz — pułapka z sieci lub prętów na ryby.
 Wonż — syb. nazwa biegu ryby do miejsc składania ikry.
 Wnyki — cienka sieć i sidła do łapania ptactwa i zajęcy.

Zaimka — mały folwark, zagroda pojedynczej rodziny syberyjskiej.
 Zamór — masowe zdychanie ryb wskutek braku powietrza.
 Zator — nagromadzenie lodu, hamujące bieg rzeki.
 Zimnica — febra.
 Zybun — syb. nazwa przesyconego wodą, grząskiego piasku.

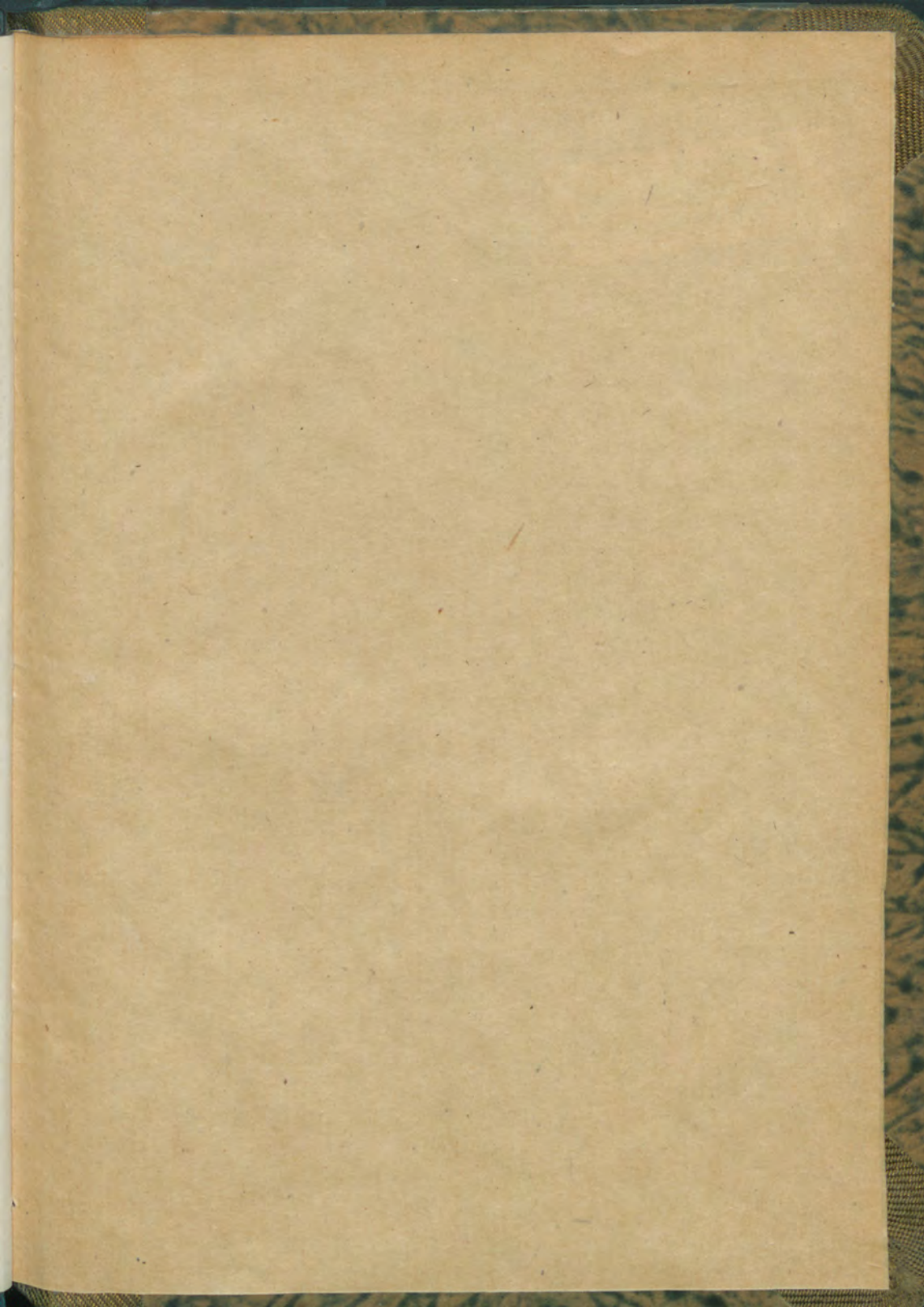
Zdziar — żwirowy brzeg.

Spis rozdziałów

	str.
I. Tajga	3
II. Wygnańcy	12
III. Nowy przyjaciel	21
IV. Słowem a pięścią	31
V. Rewizor	43
VI. Niebezpieczna gra	51
VII. Ludzie czynu	64
VIII. Zemsta	78
IX. Wierny przyjaciel	86
X. W zapadłym kącie	94
XI. W osadzie na Algimie	109
XII. Tchnienie śmierci	121
XIII. Łowy zimowe	131
XIV. Wiosna	148
XV. Cud	156
XVI. Ku wolności	172
Objaśnienia wyrazów staropolskich i obcych	177



U3267



Biblioteka Główna UMK



300047602281